

Michelle Martin

Awanturnica

Prolog

26 kwietnia 1804 roku, popołudnie

Ravenscourt, wiejska siedziba księcia Northbridge, okolice Fonon, Lancashire

Co mu jest, doktorze? - spytał księżę Northbridge.

Jest tylko wyczerpany, milordzie - odparł młody lekarz o rumianej, czerstwej twarzy, zamykając za sobą drzwi gabinetu. - Jeśli porządnie wypocznie i będzie się dobrze odżywił, po tygodniu powinien być zdrow jak ryba.

Czy mówił coś do pana? - indagował Henry Bevins, odwracając się na krześle stojącym przed biurkiem księcia.

Nie, sir Henry, nic sensownego. Parę razy wyszeptał coś, co brzmiało jak Jamie, i jeszcze coś jakby Howard, a może i gors. To wszystko.

Czy możemy zrobić coś więcej dla tego nieszczęśnika? - spytał lord Northbridge.

Udzieliłem ochmistrzyni wszelkich niezbędnych wskazówek, milordzie. Będę go codziennie odwiedzał, jednakże nie przewiduję żadnych komplikacji.

Kiedy możemy spróbować go wypytać? - chciał wiedzieć księżę.

Nie wcześniej niż po dwudziestu czterech godzinach, może nawet dwudziestu ośmiu.

Jest skrajnie wyczerpany.

Psiakrew! - rzucił księżę z irytacją.

Wygląda na to, że musimy na razie trwać w niewiedzy - zauważył łagodnie sir Henry.

Trudno uwierzyć, że to Monty spowodował całe to zamieszanie - rzekł księżę. - Dick musiał być chyba szalony, przedkładając tempo nad pożywienie i sen... No dobrze, kiedyś w końcu dojdzie do siebie. Dzięki, że przybył pan tak szybko, doktorze.

To dla mnie zaszczyt, milordzie, jak zawsze - odparł lekarz. Zgiął się w pełnym szacunku ukłonie i dyskretnie opuścił gabinet, zamykając za sobą drzwi.

Hmm - Henry Bevins odwrócił się do księcia. - No to mamy niezły pasztet. Myśli pan, że list jest prawdziwy?

Księżę Northbridge wziął z biurka powalany ziemią dokument.

Naturalnie może być sfalszowany. Znam jednak pismo Monty'ego i mógłbym przysiąc, że wyszedł spod jego ręki. A co ważniejsze, znam Dicka Rowana. Towarzyszy Monty'emu nieprzerwanie od trzydziestu lat, kiedy to wyjechali razem z Anglii. Nie opuściłby swego pana w najgorszych okolicznościach.

A zatem Montague Shipley rzeczywiście nie żyje, jak twierdzą jego brat i syn.

O ile to rzeczywiście syn Monty'ego przebywa teraz w Thornwynd.

Sir Henry poprawił pince-nez.

- Ale w liście Montague'a Shipleya wyraźnie jest mowa o jego synu, który wraz z opiekunem wraca do Anglii. Czy tym opiekunem nie jest wuj chłopca, Horacy Shipley?

Księżę wstał z krzesła i zaczął przemierzać tam i z powrotem chiński dywan w kolorze ciemnej zieleni.

Jeszcze wczoraj powiedziałbym „tak”. Ale dzisiejsze nieoczekiwane pojawienie się i zasłabnięcie Dicka Rowana, ten list i testament Monty'ego całkiem zamąciły wodę. Monty pisze w liście, że chłopiec przybędzie do Anglii nie wcześniej niż za tydzień. A Horacy i jego domniemany bratanek są tutaj już od dwóch tygodni!

Dwóch pretendentów do tytułu baroneta - mruknął sir Henry.
Otóż to. Który z nich jest prawdziwym Jamesem Shipleyem?
Dokumenty chłopca w Thornwynd zdają się być w porządku. No i zna hasło.
Książę zbył ten argument machnięciem ręki.
Dokumenty można podrobić, a hasła mógł go nauczyć Horacy. W rodzie Shipleyów jest znane od pokoleń.
Chłopak niewątpliwie wygląda jak Shipley.
Tak. I w tym cały szkopuł. - Książę wsunął rękę do kieszeni bryczesów; objeżdżał właśnie posiadłość, kiedy nieoczekiwanie pojawił się Dick Rowan. - Niewykluczone, że Horacy przywiózł Jamiego do Anglii, nie z życzliwości bynajmniej, gdyż jej nie zna, ale w nadziei, że poprzez niego uda mu się zyskać kontrolę nad Thornwynd.
Całkiem możliwe, sądząc z tego, co mi wiadomo o Shipleyu - zauważył sir Henry, wciągając duży niuch tabaki.
Tu jednak mamy list Monty'ego - książę podszedł do biurka i wziął do ręki pojedynczy arkusik papieru. - Równie dobrze można przypuszczać, że Monty nie oddałby swego syna w ręce Horacego, bo między braćmi nie było ani krzty uczucia. Całkiem możliwe, że powierzył opiekę nad nim komuś innemu. Ach, gdyby wymienił nazwisko opiekuna Jamiego!
No cóż, ostatecznie biedak był umierający. Sam pisze o tym w swoim liście. Trudno po nim oczekiwać, by w takiej chwili pomyślał o wszystkim.
Tak - lord Northbridge wpatrywał się w list, jak gdyby samą siłą woli mógł zmusić papier do powiedzenia tego, co chciał wiedzieć. Wreszcie upuścił go z westchnieniem na biurko i opadł na krzesło. - O ile rzeczywiście jest to list od Monty'ego. Zawikłany problem, Bevins.
To prawda, milordzie. Co więc pan zamierza zrobić?
Jedyną rzecz, którą jestem w stanie zrobić: wypełnić powinność. Testament Monty'ego powierza mi kuratelę nad Jamesem Shipleyem. Bez względu na to, czy dokument jest prawdziwy, czy sfalszowany, moim obowiązkiem, jako człowieka o wysokiej pozycji w naszej sferze, jest zapewnienie właściwej sukcesji Thornwynd, a zatem również zapewnienie chłopcu bezpieczeństwa. Jeden Jamie jest już bezpieczny w Thornwynd. Muszę więc spełnić ostatnią, jak mniemam, prośbę Monty'ego i spotkać się z drugim Jamesem Shipleyem w Northamptonshire. Dojdę prawdy, jeśli nie w drodze powrotnej do Lancashire, to z pewnością kiedy skonfrontujemy obu chłopców.
Jeśli list Monty'ego jest sfalszowany, mogą was spotkać w drodze nieprzyjemności - zauważył sir Henry. - Jedynie łotr mógłby się poważnie na uknucie takiej intrygi.
Och, będę uważał - powiedział niedbale lord Northbridge. - Sądzę, że sama moja obecność wystarczy, by zapobiec kłopotom.
Sir Henry zachichotał.
- Nie posiadałbym się z radości, gdyby ten drugi Jamie okazał się dziedzicem, a testament Monty'ego był prawdziwy. Wszystkie nadzieje Horacego Shipleya zostałyby wówczas zniweczone. Niewątpliwie spodziewa się, że zostanie mianowany kuratorem chłopca. Jeśli pan obejmie to stanowisko, nie uda mu się splądrować Thornwynd.
W momencie gdy James Shipley, numer jeden czy numer dwa, zostanie mianowany

kolejnym baronetem, Horacy Shipley będzie wyłączony z gry - zgodził się książę z ponurą satysfakcją.

Czy powiemy Horacemu o tym drugim Jamiem?

Lord Northbridge odchylił się na oparcie krzesła i westchnął. To, co powinno być sprawą prostą, okazywało się diabelnie skomplikowane.

Będziemy musieli. Już teraz usiłuje zyskać wpływ na Thornwynd. Trzeba go powstrzymać. Jedyńm sposobem, by zrobić to w zgodzie z prawem, jest podanie do wiadomości, że istnieje drugi pretendent do tytułu baroneta.

Ależ będzie wściekły - rzekł sir Henry z błogim uśmiechem.

Tak - na twarzy lorda Northbridge rzadko gościł wyraz rozbawienia. Książę był dżentelmenem statecznym, który poważnie traktował swoją pozycję, posiadłość i siebie samego. Jego ojciec większość spędzanego z synem czasu przeznaczal nie na frywolne przyjemności, ale na wdrażanie go do przyszłych obowiązków jako jedyne go męskiego potomka, spadkobiercę tytułu i rozległych włości. Gdy więc lord Northbridge jako zupełnie młody człowiek objął sukcesję po ojcu, nie oddawał się bynajmniej hulankom i rozpuście. Jego zainteresowania szły w całkiem odmiennym kierunku.

Ubierał się w rzeczy proste, ale w dobrym gatunku, wiedział bowiem, że stanowi wzór dla innych młodych ludzi w okolicy i nie chciał sprowadzić żadnego z nich na zgubną drogę dandyzmu. Był znany i wysoko ceniony jako utalentowany jeździec, bokser i szermierz, słowem jako znakomity sportowiec. Traktował to jednak jako nieodzowny atrybut swojej pozycji.

Staranny i surowy zarządca swoich włości, miał jako właściciel ziemski doskonałą opinię. Dbał o dzierżawców, służbę i partnerów w interesach. Szanowano go za to, ale nie kochano. Nawet jeśli ludzie nie byli w stanie właściwie ocenić jego uniwersyteckiego wykształcenia, to wiedzieli wystarczająco dużo, by móc ocenić różnicę między panem, który działa z obowiązku, a tym, który działa z odruchu serca.

Jego siostra Fanny, która w dzieciństwie i w okresie dojrzewania cierpiała na powtarzające się ataki febry, utrzymywała, że książę nie ma serca. Matka, jeśli już była w stanie przenieść uwagę z własnej osoby na kogokolwiek innego, słabo przytakiwała. Syn z roku na rok kategorycznie odmawiał występowania w roli gospodarza w ich miejskim domu przy Grosvenor Square podczas sezonu londyńskiego, wdowa Northbridge zaś uważała podobne zachowanie za niedopuszczalne. Mimo iż nie najmłodszy, książę nadal uważany był za doskonałą partię, a jego obecność przydałaby atrakcyjności organizowanym przez nią balom, rautom, śniadaniom wiedeńskim i spotkaniom przy karcianych stolikach.

Nawet jeśli ktokolwiek odważyłby się poinformować lorda Northbridge, iż świat uważa go za zimną rybę, z pewnością by się tym nie przejął. Dumny był ze swojego chłodnego, racjonalnego stosunku do rodziny, interesów oraz sąsiadów, wierzył bowiem święcie, że tylko w ten sposób może wypełnić swoje obowiązki wobec nich, a obowiązek był jego bogiem.

Kiedy trzy lata temu Fanny wychodziła za mąż, spytała brata, dlaczego właśnie poczucie obowiązku nie zaprowadziło go już dawno temu do ołtarza. Odpowiedział jej grzecznie, że musiałby w tym celu spotkać osobę godną tego, by mogła zostać kolejną księżną

Northbridge. Poinformował siostrę, iż jego żona, poza wybitną urodą, szlachetnym urodzeniem i odpowiednio dużym majątkiem musi mieć wyrafinowany umysł, władać kilkoma językami, grać przynajmniej na jednym instrumencie i mieć doskonały gust. Powinna również znać poezję zarówno antyczną, jak i współczesną, a także nosić się wytwornie, co wyróżniałoby ją spośród pospolitego modnego tłumu.

Fanny rzekła z przekąsem, iż wobec tego bez wątpienia umrze on jako kawaler i jasne jest, że to do niej należy zapewnienie rodowi kolejnego dziedzica. Lord Northbridge odparł, że postąpi, jak będzie uważała za słuszne, po czym spokojnie poprowadził ją wzdłuż nawy ku blademu, ale pełnemu zapału panu młodemu.

W przeciwieństwie do reszty świata, książę nie uważał się za osobę bez serca. Na swój własny, pełen rezerwy sposób był czuły dla siostry, lubił jej męża i tolerował matkę. Przywykł po prostu postępować zgodnie z własnym zdaniem, które według niego zawsze było zdaniem najsłuszniejszym. Umiejętność szybkiej i beznamiętnej oceny sytuacji uważał za swoją główną zaletę, więc gdy zaczęły się kłopoty z Thornwynd, nikt nie był bardziej niż on powołany do tego, by je rozwikłać. Horacy Shipley to łajdak; co do tego nie było wątpliwości. Czy jednak dążył do uzyskania kontroli nad Thornwynd poprzez sprawowanie opieki nad rzeczywistym dziedzicem, czy poprzez zwykłe oszustwo - tę kwestię należało rozstrzygnąć.

- Niech pan go pilnie obserwuje podczas mojej nieobecności, Bevins - polecił książę. - Z jego reakcji na nowiny i z całego zachowania będzie pan mógł wywnioskować, czy jest wściekły na oszusta usiłującego wysadzić z siodła jego bratanka, czy też boi się, że prawdziwy James Shipley ujawni wobec świata jego własne oszustwo. Stawką jest ogromna fortuna i rozległe dobra. Musimy być bardzo ostrożni w ocenie.

Sir Henry Bevins, chociaż piastował urząd sędziego pokoju i był starszy od księcia, przywykł do jego apodyktycznego sposobu bycia.

Zdaje pan sobie naturalnie sprawę, że jeśli nie dostarczy pan tego drugiego Jamesa Shipleya do Thornwynd przed siedemnastym maja, to pytanie, czy jest on prawdziwym dziedzicem, czy też nie, przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie? - spytał. - Straci wszelkie podstawy do ubiegania się o tytuł baroneta z chwilą upływu terminu ustalonego w legacie Thornwynd.

Myślę o tym nieustannie. Cóż to za rodzina ci Shipleyowie! Żeby postawić spadkobiercy taki warunek! I jakie to dla nich typowe - dać nam dwóch spadkobierców do wyboru...

Kiedy wyjeżdża pan do Northamptonshire?

Dzisiaj - lord Northbridge wyprostował się na krześle i zaczął od razu sporządzać listę rzeczy, których będzie potrzebował w podróży. W interesach był zawsze szybki - tę cechę jego partnerzy znali i cenili od dawna. - Pogoda sprawiła, że drogi są niemal nieprzejezdne. Muszę mieć wystarczająco dużo czasu, by dotrzeć gdzie należy. Panu pozostawiam wypytanie Dicka Rowana, gdy odzyska przytomność, i przypilnowanie Horacego Shipleya do mojego powrotu.

Zastanawiam się, który z nas ma trudniejsze zadanie - powiedział z uśmiechem sir Henry.

Och, to jasne, że pan - odparł lord Northbridge, nie przerywając pisania. - Cokolwiek spotka mnie w drodze, będzie to miłe wytchnienie w porównaniu z towarzystwem

Horacego Shipleya. Jakie to rozumne ze strony sir Barnaby, że wydziedziczył tego łajdaka... Zaoszczędzona mi została groźba, że zostanie moim najbliższym sąsiadem.

1

3 maja 1804 roku, późne popołudnie
Rockingham Forest, pomiędzy Braybrok i Little Bowden,
Northamptonshire

Myślisz, że uda się to naprawić?

Z pewnością nie za naszego życia. Nie wydaje ci się, Tony, że ostatnio jakoś dziwnie nie mamy szczęścia?

Mylisz się, Jack. Mamy mnóstwo szczęścia... tyle że do niepowodzeń.

Jack uśmiechnął się z roztargnieniem. Jego szare oczy uważnie badały rozbitą dwukółkę i otaczające ich zarośla. Całą drogę stanowiły praktycznie dwie koleiny otoczone zwartą leśną gęstwiną; idealne miejsce do tego, by człowieka spotkała zła przygoda.

No cóż, a zatem pojazd nie nadaje się do użytku - powiedział. -Dobrze, że przynajmniej koń jest w dobrej kondycji. Możemy jechać na nim oboje. Bogu dzięki, nie muszę mordować się z halką.

Udawanie mężczyzny ma swoje dobre strony - zauważył Tony.

To prawda - odparł rzekomy Jack. - Główna zaleta to swoboda poruszania się. Jakies siedem kilometrów stąd jest gospoda. Będziemy mogli kupić tam wierzchowca, albo przynajmniej wypożyczyć.

Ale twoje kolano...

Wystarczająco długo już się z nim pieścę - powiedział Jack tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Z kolaniem wszystko w porządku. A zresztą wierzchowce będą szybsze i tańsze, niż nowa bryczka.

- Dobrze, dobrze, duży bracie - zgodził się Tony. - Wyprzęgam zatem konia i jedziemy. Dłoń na ramieniu powstrzymała go przed wprowadzeniem w czyn tych słów.

O co chodzi? - spytał cicho.

Ktoś jedzie za nami. Słyszę tętent konia. Uważaj.

Stali bez ruchu z pistoletami gotowymi do strzału. Po chwili ukazał się jadący klusem wysoki mężczyzna na karym arabie. Na widok dwu luf wymierzonych w jego szeroką pierś gwałtownie ściągnął cugle i zatrzymał się o dziesięć metrów od bryczki.

Czy to rozbój? - spytał, marszcząc brwi.

Zwykła ostrożność w niebezpiecznych czasach - Jack opuścił nieco broń. Rękę miał spokojną i pewną.

No tak -jeździec poklepał silny kark wałacha. - Ostrożności nigdy za wiele. Rabusie, rzezimieszki, polityczni radykałowie... Ale widzę, że macie kłopoty. Może mógłbym pomóc? - Zsiadł z konia. - Musicie wciąż mierzyć mi prosto w serce z tej pukawki?

Jack rzucił okiem na pistolet towarzysza.

Odłóż go, Tony.

Ale...

- On jest niegroźny. Odłóż, mówię ci.

Chłopak niechętnie opuścił broń.

Skąd możemy mieć pewność, że jesteśmy bezpieczni w towarzystwie tego dżentelmena?

Lata doświadczeń wyostrzyły moją intuicję. Możesz być spokojny.

W brązowych oczach chłopca odbiło się zaskoczenie, lekki ruch głowy Jacka mówił mu jednak jasno, że musi poczekać na wyjaśnienia. Jamie dawno już nauczył zachowywać się stosownie do rodzaju przebrania czy charakteru postaci, jaką odgrywał. Tym razem on i Isabel byli braćmi Cavendish. Musiał być więc posłuszny starszemu bratu. Uważnie śledzili ruchy przybysza, który zbliżał się do bryczki z gracją urodzonego atlety. Był niezwykle urodziwym dżentelmenem. Strój do konnej jazdy, aczkolwiek pokryty kurzem, był najwyraźniej nowy i z wdziękiem opinał sylwetkę, uwydatniając szeroką pierś i długie, kształtne nogi. Płowe włosy związane miał z tyłu czarną wstążką; błękitne oczy ze znanstwem taksowały uszkodzony pojazd. Koń, krój ubrania, coś królewskiego w typie urody i sposobie bycia - wszystko to niewątpliwie wywierało wrażenie.

- Boże, cóż to za zjawisko - mruknęła Isabel.

Podoba ci się ten typ mężczyzn? - spytał z niedowierzaniem Jamie.

Czasami - odparła, lekko zarumieniona.

No cóż, niewiele zostało z waszej bryczki - orzekł wysoki dżentelmen, zakończywszy oględziny. - Nie da się tego naprawić.

Tak też sądziliśmy - wtrąciła Isabel.

Parę kilometrów stąd - ciągnął dżentelmen - jest gospoda. W miejscowości Little Bowden. Będziecie mogli sprokurować sobie tam powóz i zaprzęg. Jedzenie jest znośne, można więc liczyć na przyjemny nocleg. Chętnie będę wam towarzyszyć. Nazywam się Avery, Brett Avery.

Avery? Król elfów? - spytała Isabel z figlarnym błyskiem w szarych oczach.

Niemożliwe - orzekł Jamie. - Jego wzrost wyklucza jakiegokolwiek związku ze światem elfów.

Nie sądzisz jednak, że ta grzywa złocistych włosów znakomicie spełnia rolę królewskiej korony?

Jeśli skończyliście już analizować moje nazwisko - rzekł Avery nieco poirytowany - rad bym poznać wasze.

O, nieba, gdzież podziały się nasze maniery? - wykrzyknęła Isabel. Jego Niezwykłość nie przywykła najwyraźniej do tego, by być obiektem drwin... A szkoda. - Jestem John Cavendish - skłamała gładko - a to mój mały brat Anthony.

Mały? - powtórzył Avery, unosząc brew.

Wprawdzie przewyższa mnie wzrostem, sir, ale za to ja przewyższam go wiekiem. Jestem mózgiem rodziny, a Tony to jej mięśnie.

O, czyżby? - Jamie był nieco urażony. - Ostatnio szło mi z łaciną całkiem nieźle. Tak powiedział mój nauczyciel.

To prawda - nie ustępowała Isabel - ale co z niemieckim?

Marnie - przyznał Jamie z uśmiechem.

To wstyd, panie Cavendish - powiedział bez ogródek Avery. -Znajomość niemieckiego to nieodłączny atrybut człowieka z pozycją. Ale jak to się stało - ciągnął, strzepując kurz ze swego nienagannie skrojonego płaszcza - że dwóch tak znakomicie wykształconych młodych dżentelmenów znalazło się w tak nieciekawym miejscu?

Ach - rzekła Isabel - to nasze upodobanie do przygód wpędziło nas w kłopoty. Nasz ojciec, sir, zmarł parę lat temu, i od tamtej pory matka życzy sobie, byśmy stale

przebywali w domu.

Nasza matka jest niewiastą godną najwyższego szacunku - wtrącił Jamie, szczęśliwy, że może rozwinąć wątek - ale, niestety, nierozumną.

No, no - Isabel nie zamierzała pozwolić zepchnąć się na drugi plan - rozumna jest, tyle że po kobiecemu. Nie potrafi pojąć, że młody mężczyzna musi od czasu do czasu się przewietrzyć. A ponieważ za dwa miesiące osiągnę pełnoletniość...

- Moje gratulacje, sir - rzekł Avery.

Isabel skłoniła się.

.. jest to dla mnie ostatnia okazja, żeby się trochę nacieszyć życiem, bo gdy obejmę sukcesję, niewątpliwie po roku będę już żonaty. Nie zniósłbym myśli o żeniactwie, nie mając na koncie chociaż paru przygód. Tak więc uciekliśmy z Tonym, żeby zaznać trochę zakazanych światowych rozkoszy, zanim powrócimy do naszego majestatycznego dworu, jego spokoju i ciszy. - Ostatnie słowa zostały wypowiedziane z przekąsem.

No właśnie - podjął Jamie. - Szkoda, że to pan pojawił się na drodze, panie Avery, bo mieliśmy nadzieję, że nie spotkamy w czasie naszej podróży ani jednego przyzwoitego człowieka.

Błękitne oczy pana Avery rozszerzyły się ze zdumienia.

Proszę mi wybaczyć. Dopóki zatem podróżujemy razem, będę się starał zachowywać możliwie najmniej przyzwoicie. A poza tym karczma Pod Bykiem w Koronie jest niedaleko stąd.

A jak to się stało - spytała niewinnie Isabel - że tak szacowny i zamożny dżentelmen znalazł się w tak nieciekawym miejscu?

Avery spojrzał na nią, zaskoczony jeszcze bardziej. Najwyraźniej nie przywykł tłumaczyć się z jakichkolwiek swoich poczynań.

Mam do załatwienia pewną sprawę w Braybrock - odparł - i wybrałem ten krótszy szlak do Little Bowden, żeby nie złapała mnie po drodze noc. Choć prawdę rzekłszy, w tym lesie i tak jest ciemno jak o północy. Od godziny mojego konia straszły gobliny.

Może by mu zawiesić wianek czosnku na szyi? - zasugerowała Isabel.

Nie, nie - zaprotestował Jamie. - Czosnek jest na wilkołaki.

Skąd - orzekł Avery. - Na wampiry. Na gobliny wystarczy silna ręka.

Isabel nie wątpiła, że ręka pana Avery jest dostatecznie silna.

Wtem drgnęła i położyła dłoń na ramieniu Jamiego. Bez słowa sprawdzili broń. Isabel miała ponadto nóż w cholewie buta, a Jamie - mały zapasowy pistolet w kieszeni płaszcza.

A więc jednak rozbój? - spytał Avery.

Ćśśś - uciszyła go bez ceremonii Isabel, nie zwracając uwagi na jego płęć i starszeństwo. - Grozi nam pewne niebezpieczeństwo, sir. Proszę odejść na bok i pozwolić nam stawić mu czoła.

Avery nie przywykł ani do tego, by go uciszano, ani do tego, by komenderował nim jakiś wyrostek. Ciekawość jednak zwyciężyła. Przez chwilę przyglądał się uważnie dwóm niezwykle pewnym siebie młodzieńcom, po czym sprowadził konia z drogi i ukrył się w lesie.

Na zakręcie drogi ukazały się trzy spocone, galopujące rumaki. Równie spoceni jeźdźcy

leżeli wręcz na końskich karkach, ponaglając wierzchowce do biegu biczem i ostrogami. Na widok wymierzonych w nich luf, podobnie jak przed chwilą pan Avery, gwałtownie ściągnęli cugle i stanęli.

Rzućcie broń! - zakomenderowała Isabel.

Mam cię, chłopcze! - jeden z mężczyzn, niewielkiego widać rozumu, ruszył koniem prosto na nią.

Isabel odczekała, aż się zbliżył i pociągnęła za spust. Kula trafiła rzezimieszka w ramię.

Upadł na ziemię. Uwolniony od jeźdźca koń minął Isabel i pogalopował drogą.

- Do kroćset! - zaklął drugi z trójki, chwytając za broń. Jamie nie wahał się. Jednym strzałem strącił go z siodła.

Isabel spokojnie sięgnęła po swoją hiszpańską szablę, by stawić czoła trzeciemu, który z uśmiechem wyciągnął pistolet. Brakowało mu dwóch przednich zębów.

No, tym razem przeholowaliście, młodzieńcy! - zawołał.

Niezupełnie - odezwał się uprzejmie Avery. Osłonięty bryczką, mierzył z pistoletu prosto w serce napastnika. - Będę wdzięczny, jeśli odłóż pan broń.

Klnąc pod nosem i ciskając spode łba groźne spojrzenia, szczerbaty upuścił pistolet na ziemię.

Zdumiewa mnie - powiedział z naciskiem Avery - niski poziom, jaki reprezentują tutejsi rabusie. Niemowle w kolebce lepiej by się spisało w tej potyczce niż wy. Trzej uzbrojeni mężczyźni! Żeby nawet nie pofatygować się i nie sprawdzić czy to nie zasadzka! Wstyd mi nazywać was Anglikami. Zbieraj swoich kamratów, włóczęgo, i wynoście się stąd!

Trzech mężczyzn nie dosiędzie jednego konia, do kroćset! - zawołał jeden z nich, dodając parę barwnych, niepochlebnie oceniających pochodzenie Avery'ego epitetów.

Święta prawda - przyznał Avery bez cienia gniewu. - Ponieważ ty nie doznałeś szwanku, możesz iść piechotą, twoi poszkodowani towarzysze zaś pojedą konno tam, skąd przybyliście. Nie cieszyłaby mnie perspektywa podróżowania z wami tą samą drogą.

Ciskając groźne spojrzenia, opryszek pomógł rannym kamratom wgramolić się na konia, po czym, rzuciwszy jeszcze parę przekleństw, poprowadził ich z powrotem.

- Au revoir, mes amis - powiedziała Isabel, odprowadzając ich wzrokiem.

Avery schował pistolet do kieszeni i podszedł do Isabel i Jamiego.

Jestem pełen podziwu - rzekł. - Była to wyjątkowo sprawna akcja zespołowa i wyjątkowo skuteczne użycie broni.

Cóż, dziękujemy, panie Avery. To miło, że się pan włączył, aczkolwiek dalibyśmy sobie radę i bez pańskiej pomocy. - Jamie ponownie załadował pistolet, po czym wyciągnął zapasowy z kieszeni płaszcz, sprawdził czy jest nabity, i schował z powrotem.

Nie wątpię w to - odparł Avery, unosząc z zaskoczeniem wytworną brew na widok uzbrojenia tej pary. - Ale jakim sposobem dwóch rozpieszczonych młodzieńców potrafi z taką łatwością pokonać liczniejszych przeciwników?

Nie ma w tym żadnego sekretu, sir - odparła gładko Isabel, chowając szablę do pochwy i wieszając pistolet przy pasie. - Nasz ojciec był człowiekiem praktycznym i nauczył nas czego trzeba.

W przeciwieństwie do naszej matki, która ma zbyt delikatne nerwy, by pogodzić się z faktem, że jej dzieci dysponują tego rodzaju umiejętnościami - wtrącił Jamie.

Ojciec - ciągnęła Isabel - sporo nauczył nas na temat broni palnej - pistoletów, dubeltówek, rewolwerów - a także na temat fechtunku i walki wręcz. Ponieważ jesteśmy w podróży już blisko miesiąc, spotkaliśmy jedną czy dwie bandy rzezimieszków, którzy chcieli pozbawić nas naszych sakiewek.

Nie są takie znów ciężkie - wtrącił Jamie - ale rabuś to rabuś, wiadomo.

Sądziłem, że można nas oskubać, bo nie mamy jeszcze zarostu...

- Mów za siebie, Jack - przerwał jej Jamie.

Isabel uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Sądząc, że jesteśmy łatwym łupem, atakowali w sposób nieostrożny, jak pan miał możliwość zaobserwować, i dlatego łatwo było się z nimi rozprawić. Z tą ostatnią trójką rozstaliśmy się wczoraj rano, powiesiwszy ich uprzednio za nogi na gałęzi wielkiego dębu koło Tidbury w hrabstwie Bedfordshire. Nie rozumiem, jak zdołali uciec tak szybko. Może źle zawiązałem węzły?

- O, nie sądzę - powiedział z sarkazmem Avery. - Bardziej prawdopodobne jest, że zostali uwolnieni przez nieświadomego przechodnia.

- To z pewnością rozsądna supozycja - zgodziła się z powagą Isabel. - Tak czy inaczej, wczorajszy odwet najwyraźniej wyprowadził ich z równowagi, bo dziś rzucili się na nas dość zajadle. Mam nadzieję, że więcej ich nie zobaczymy.

Myślę, że zrozumieli, iż powinni trzymać się od was z daleka - orzekł Avery. - Ale do rzeczy. Czy zgodzicie się panowie towarzyszyć mi do karczmy Pod Bykiem w Koronie i pozwolicie, bym zaprosił was na kolację, aby uczcić tę ostatnią wiktoryę?

Trafił pan w sedno, sir - odparł Jamie. - Zgłodniałem. Naprzód! Jedziemy!

Odwiązali konia i wsiedli; najpierw Isabel, potem Jamie. Avery towarzyszył im na swoim arabie. Nie spiesząc się, przejechali siedem kilometrów do Little Bowden, miejsciny z jednym kościołem, jednym szynkiem i jedną gospodą. Wielki szyld, na którym wymalowany był buchający parą z nozdrzy byk z koroną na głowie, sięgał od krańca do krańca ulicy; niepokazna sylwetka zajazdu, jednopiętrowego budynku z paroma dymiącymi kominami niemal kryła się w jego cieniu.

Rozmiar nie miał jednak nic wspólnego z jakością obsługi. Dwóch stajennych rzuciło się biegiem, by ich powitać i zająć się końmi. Avery, Isabel i Jamie weszli do wnętrza zajazdu.

Utyka pan lekko, John - zauważył Avery. - Jest pan ranny?

Ech, drobny wypadek, który sam spowodowałem przed tygodniem - odparła niedbale Isabel. - Nawet już nie pamiętam o tym skręconym kolanie. Późno już trochę, Tony. Zostajemy tu na noc? Jak myślisz?

Dostrzegłszy błysk w oczach Isabel, Jamie przełknął słowa zaskoczenia i protestu.

Czemu nie - odparł. - Mój głód wymaga co najmniej dwóch godzin, aby go nasycić, a do tego czasu będzie ciemno. No i zdążą przewietrzyć pościel.

Rozsądna decyzja - pochwalił Avery.

Z miejsca przejął pełną kontrolę nad sytuacją. Zamówił obiad, ustalił gatunek wina, zażądał, by do wieczora pokoje były wysprzątane, wywietrzone, łóżka zaś zasłane najlepszą lnianą pościelą. Isabel rzuciła Jamiemu rozbawione spojrzenie.

Dosyć apodyktyczny jest ten nadzwyczajny mężczyzna - mruknął Jamie. - Nadal go

podziwiasz?

Będę, jeśli przyszykuje mi przyzwoite łóżko - odparła Isabel.

Zawsze byłaś obrzydliwie praktyczna - skomentował Jamie pod nosem.

Filigranowa właścicielka zajazdu, widząc jakoś strojów pana Avery, jego konia oraz sposób bycia, starała się jak mogła by dogodzić gościom. Zbladła, kiedy dowiedziała się, że potrzebują na tę noc trzech pokoi.

Trzy? - głos uwiązał jej w krtani. - Tak mi przykro, sir... Mogę zaoferować tylko dwa. Dwa wspaniałe pokoje, sir. Czyste, porządne, ale tylko dwa.

Nie bójcie się, gospodyni - uspokoiła ją Isabel. - My z bratem zamieszkamy razem. Pan Avery może zatrzymać drugi pokój dla siebie.

Och, sir, jestem panu niezwykle wdzięczna za wyrozumiałość - westchnęła oberżystka. - Proszę tędy, do jadalni. W tej chwili podaję posiłek.

Avery poszedł sprawdzić, czy wszystko w porządku z koniem, Isabel i Jamie zaś usiedli przy lśniącym od czystości stole, by poczekać na kolację. Salonik, o pociemniałych ze starości belkach, był dostatecznie wygodny. W wielkim kominku buzował ogień, skutecznie usuwając z pomieszczenia wieczorny chłód.

To szaleństwo! - zwrócił się Jamie do Isabel, skoro tylko gospodyni pospieszyła dopilnować ich kolacji. - Powinniśmy napchać kieszenie żywnością i natychmiast się stąd zabierać!

Wiem - Isabel zniżyła głos. - Musimy jednak liczyć się z panem Avery. Nie chcę, by jego podejrzenia rosły. Ten człowiek ma oczy, które dużo widzą.

Ale jesteśmy ścigani...

Nasi prześladowcy nie przywykli do tego, że zatrzymujemy się w gospodzie. Uspokój się, Jamie. Rano powiemy panu Avery adieu i pojedziemy w swoją drogę. Teraz zaś - zmieniła ton, jako że Avery wrócił do salonu - cieszymy się przyjemnościami, jakie są nam dostępne.

Posiłek, choć niezbyt wyszukany, był obfity i smacznie przyrządzony. Cała trójka spędziła leniwą godzinę, racząc się kolacją, niezłym burgundem i miłą towarzyską rozmową.

Dokąd zmierza pan obecnie, panie Avery? - spytała Isabel, pociągnawszy łyk burgunda.

Na północ, ale nie spieszy mi się z nadto.

Spróbuj tej leguminy, Jack! - wykrzyknął Jamie. - Jest znakomita!

Dziękuję, ale mam dość. Najadłem się po gardło.

To mogę zjeść twoją porcję?

Naturalnie.

Jest pan niezwykle wspaniałomyślnym bratem, panie Cavendish - zauważył Avery.

Mój brat rośnie, sir, i musi dużo jeść.

Czyż jednak pan również nie rośnie?

Niestety, nie, sir - odparła Isabel, odsuwając swoją porcją deseru w kierunku Jamiego. -

Jestem podobny do rodziny mojej matki zarówno pod względem karnacji, jak i nikczemnej postury. Tony natomiast jest nieodrodnym synem swego ojca. Za parę miesięcy mnie przerośnie, wspomni pan moje słowa.

Wasz ojciec był więc wysokim mężczyzną, jak sądzą?

O, tak. Niczym Waligóra - odparła Isabel. - Wysoki, potężny w barach, brzuch jak z

żelaza. Proszą spytać Tony'ego.

Avery rzucił spojrzenie na Jamiego, który zdążył już pochłonąć sporą część drugiej porcji leguminy.

Wystarczy mi pańska opinia. A proszą mi powiedzieć, jak wasza szanowna matka znosi utratą dwóch uwielbianych - i głodnych - synów?

Och, obawiam się, że bardzo źle. Raz na tydzień piszemy jednak do niej i zapewniamy o naszym niezmiennie dobrym samopoczuciu. W życiu każdego młodego człowieka przychodzi czas, kiedy musi myśleć o sobie, nieprawdaż, panie Avery?

Miałem wrażenie, że każdy młody człowiek z zasady nie robi nic innego, tylko myśli o sobie - odparł chłodno dżentelmen.

Być może. Pochlebiam sobie jednak, że mamy lepsze maniere i więcej zdrowego rozsądku, niż to zwykle bywa. Tak nas wychowano.

Istotnie, na to wygląda - rzekł Avery.

Isabel odchyliła się na oparcie ciężkiego dębowego krzesła i ukradkiem przyjrzała się ich nowemu znajomemu. Przyjemnie było przebywać w towarzystwie tak inteligentnego i wrażliwego człowieka. Doskonale opanował subtelną sztuką konwersacji, no i niezaprzeczalnie był bardzo atrakcyjny, na ów chłodny, angielski sposób. A co najważniejsze - nawet jeśli towarzyszył im tylko chwilowo - był to drugi chwyt, który w razie potrzeby najpierw broniłby Jamiego, a dopiero później zadawał pytania. Szkoda, że rano będą musieli się rozstać... Nie należało jednak wciągać przyzwoitego dżentelmena w ich prywatne kłopoty.

- Jest pan niezwykle życzliwym człowiekiem - zauważyła Isabel. - Zabiera pan ze sobą dwóch nieznanych młodzieńców, organizuje im przyzwoity nocleg, zaprasza na kolację, zgadza się ze wszystkim, co mówimy. .. Nigdy nie spotkałem równie sympatycznego towarzysza.

Avery pozwolił sobie na lekki uśmiech.

Miło mi to słyszeć.

Ma pan zapewne pozycję i obowiązki w miejscu zamieszkania? - spytała Isabel, wiedząc już, jaka będzie odpowiedź.

Tak. Oprócz zarządzania posiadłością, co pochłania większość mojego czasu, mam jeszcze zobowiązania wobec rodziny, dzierżawców, ubogich w parafii, a także sąsiadów. Piekielnie nudne zajęcia - zaopiniował Jamie.

Służyć innym - rzekł chłodno Avery - to zaszczyt.

Pańska postawa w istocie przynosi panu zaszczyt, sir - pospieszyła Isabel, wymierzywszy Jamiemu kopniaka pod stołem. - Iluż to dżentelmenów myśli w tych czasach wyłącznie o własnej przyjemności, a nie o obowiązkach.

No, to już lepiej - mruknął Avery z błyskiem uznania w niebieskich oczach.

Isabel udała, że tego nie słyszy.

Czy oprócz licznych obowiązków rodzinnych i towarzyskich jest pan również żonaty?

Ja? Nie, skądże. Muszę dopiero znaleźć odpowiednią żonę.

Czy nie jest pan jednak zbyt zaawansowany w latach, by pozostawać w stanie bezzennym?

Avery zeszywniał.

Jeśli chce pan nadal cieszyć się moim towarzystwem, mój chłopcze, radzę panu powściągnąć język. Mam lat trzydzieści pięć i z pewnością mogę się jeszcze ożenić i spłodzić potomków!

Ależ sir, nie zamierzałem bynajmniej poddawać w wątpliwość pańskiej męskości - w szarych oczach Isabel pojawił się łobuzerski błysk. - Jednakże, biorąc pod uwagę liczne zobowiązania, jakie pan wymienił, i pańskie poczucie obowiązku, jak to możliwe, że nie zaciągnięto pana dotąd, kopiającego i wrzeszczącego, do ołtarza?

Rozbrojony i ubawiony mimo woli, Avery z wielkim trudem stłumił śmiech.

- No cóż, jestem wyższy niż przeciętna kobieta. Widać uważały, że to zbyt trudne zadanie.

- Dolać komuś wina? - spytał Jamie.

Isabel potrząsnęła głową.

A pan, Jack? Czy za panem nie uganiają się młode kobiety? - spytał Avery. - Jest pan przystojnym młodzieńcem, o przyzwoitym stanie posiadania i ujmujących manierach. Czy nie jest pan obiektem polowania ze strony mamus organizujących mariaże swoich córek?

Istotnie, sir - Isabel starała się ze wszystkich sił, by nie zdradził jej rumieniec. - Sądzi pan, że mam jakiś inny powód, by uciekać?

Gdziekolwiek ruszy się mój brat - stwierdził Jamie z łobuzerskim uśmiechem - wszędzie zaczepiają go niewiasty o zalotnym spojrzeniu i wdzięczą się do niego.

To wystarczy - Isabel zmarszczyła brwi - by obrzydzić mi rodzaj żeński.

Zapewniam pana, że istnieje na świecie parę egzemplarzy tego gatunku, które się nie wdzięczą- rzekł Avery. - Proszę nie tracić nadziei.

Chciałbym być równie wysoki jak pan - powiedziała ze smutkiem Isabel. - Obawiam się, że zawleczenie mnie, wierzgającego i wrzeszczącego, do ołtarza będzie łatwym zadaniem. Czy może pan sobie wyobrazić, sir, małżeństwo przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia?

Istotnie, to przygnębiająca myśl - mruknął Avery.

To jeszcze nic - wtrącił Jamie. - Proszę pomyśleć o moim losie. Matka już teraz nie daje mi spokoju z tą Lucy Moriarty, a przecież dzielą mnie od dojrzałości jeszcze cztery lata!

Lucy jest uroczą młodą panią, zapewniam pana, ale jest pryszczata, a poza tym jedno oko ma niebieskie, a drugie żółte, i za nic w świecie nie potrafię się zdecydować, w które patrzeć, kiedy z nią rozmawiam. Jeśli zostanę zmuszony do poślubienia tej dziewczyny, dostanę zeza!

Za wszelką cenę trzeba starać się uniknąć tego losu - zgodził się pan Avery.

Isabel uśmiechnęła się, pochylając twarz nad kielichem burgunda. Pod powłoką poprawności i dobrego wychowania kryła się w tym jegomościu spora doza poczucia humoru. Było to sympatyczne odkrycie.

Godzina była już dosyć późna, gdy cała trójka, eskortowana przez bladą pokojówkę, wstępowała powoli wąskimi schodami na piętro, gdzie znajdowały się trzy gościnne pokoje. Jeden zajmował wędrowny handlarz win, drugi przeznaczony był dla pana Avery, do trzeciego zaś weszli Isabel i Jamie.

No cóż, Tony, nienajgorzej będziemy spać tej nocy - Isabel sprawdziła oba łóżka, z

kórych jedno było, trzeba wyznaczyć, łóżkiem na kółkach, ale zawsze łóżkiem.

Miło będzie nie leżeć na gołej ziemi - zgodził się Jamie. - No to co, duży bracie?

Rzucamy monetą, komu przypadnie łóżko na kółkach?

Nie. Twoje długie kończyny wymagają dłuższego postania. Z chęcią będę spać na ruchomym. Wyświadczysz mi grzeczność i pomożesz zdjąć ten płaszcz?

Jamie wyświadczył.

Oooh - Isabel przeciągnęła się z ulgą. - Marzę o czystych rzeczach.

I o jakiejś twarzowej wieczorowej sukni, bez wątpienia - wykrzywił się w odpowiedzi Jamie.

Sukien nie brakuje mi tak bardzo, Tony, ale wiele bym dała za kąpiel, służącą i czyste ubranie... O Boże! W tej chwili byłoby to dla mnie niebo.

- Zawsze cechował cię osobliwy brak ambicji, Jack - zauważył Jamie, kładąc nacisk na ostatnim słowie. Skinął od niechcienia głową i wyszedł z pokoju, by Isabel mogła się przebrać.

Wzdychając z ulgą, zdjęła buty, spodnie, koszulę i gorset, który od blisko tygodnia krępował jej piersi. Wygoda, jaka wiązała się z podróżowaniem w roli mężczyzny, swoboda ruchów, którą dawały bryczesy, możliwość udania się gdziekolwiek bez podejrzliwych spojrzeń otoczenia, wszystko to było bardzo miłe, ale jakże nienawidziła tego gorsetu!

Dopracowanie go w szczegółach zajęło jej dwa lata. Skonstruowany był tak, by raczej spłaszczal niż uwydatniał biust i by ubranie zwodniczo opływało jej szczupłe kobiece biodra. W ciągu paru minionych lat doskonale spełniał swój cel, jako że Isabel nieraz przychodziło grać rolę chłopca, chociaż nigdy nie trwało to tak długo, jak tym razem. Spanie w nim było takie niewygodne! Cóż za błogosławieństwo uwolnić się od niego choć na jedną noc!

Szybko umyła się w misce i energicznie wyszczotkowała swoje czarne loki. Możliwość umycia głowy była następną rzeczą, za którą oddałaby życie. Być chłopakiem to jedna sprawa, ale brudnym chłopakiem - całkiem inna.

Zaplatając włosy przed malutkim lusterkiem, wpatrywała się w swoje odbicie. Ciekawe, co by powiedział nienagannie poprawny, przystojny pan Avery, gdyby odkrył, że ona jest kobietą? Ta myśl była przygnębiająca. Avery zdawał się być człowiekiem o bardzo zdecydowanych poglądach. Nie zaakceptowałby jej gry. Mało który mężczyzna by zaakceptował.

Westchnęła i założyła nocną koszulę. Co za życie - pakować się w przebraniu w niebezpieczne przygody! Kiedyś miało to niewątpliwie swój urok, teraz jednak pozostał tylko gniotący piersi strach. A jeśli to partackie trio zaatakuje ich ponownie? Isabel zadrżała. Nie sposób odetchnąć spokojnie w tej Anglii.

Wsunęła pistolet pod poduszkę, myśląc, nie po raz pierwszy zresztą czy kiedykolwiek będzie wolna od niebezpieczeństwa. Nie wątpiła ani przez chwilę we własne umiejętności, i nie żałowała, że wzięła na plecy to ciężkie brzemie. Ale, o nieba, była już taka zmęczona! Marzyła o spokoju, którego od tak dawna nie zaznała, i o spokojnym porcie, do którego nigdy nie było jej dane zawiąć.

Nagle zmarszczyła brwi. Co za wstyd tak użalać się nad sobą! Bądź wdzięczna losowi za

to, co masz - powiedziała sobie surowo. Rozejrzała się po pokoju. Wielkie, zasłane pierzynami łóżko, w którym miał spać Jamie, ogień płonący tak spokojnie i pewnie w kominku... Wygląda na to, że na tę jedną noc znalazła bezpieczny port. W sąsiednim pokoju spał Brett Avery. Nie będzie więc dzisiaj lamentowała nad awanturycznym życiem, jakie przyszło jej prowadzić, ani nad niebezpieczeństwem, które zawisło nad jej głową. Ma łóżko, ogień i Brett Avery w zasięgu ręki. Czyż można pragnąć więcej?

2

4 maja 1804 roku, wczesny ranek
Hanning's Brook, Northamptonshire

Brett Avery stał w drzwiach i obserwował rozgrywającą się w jadalni uroczą scenę. Przy zastawionym obfitym śniadaniem stole siedzieli, rozmawiając cicho, Jack i Tony Cavendish. Jack był przystojnym młodzieńcem o szarych oczach, które wyglądały najładniej, gdy rozświetlał je psotny błysk, co niestety zdarzało się rzadko. Nie był zbyt wysoki, miał jednak kształtne nogi, przyjemny głos i był bardzo inteligentny. Swój sprany strój do konnej jazdy nosił z pewną wyniosłością, która sprawiała, że wydawał się starszy i wyższy niż był w rzeczywistości. Avery bez trudu mógł uwierzyć, że każda niewiasta w jego hrabstwie wkłada kapelusz tylko dla niego.

Co do Tony'ego, to nawet jeśli od dojrzałości dzieliły go cztery lata, wyglądało na to, że nie minie rok, a przekroczy metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Nie był chłopcem szczególnie urodziwym, jednak jego twarz miała w sobie coś przyciągającego. Kiedy brązowe oczy błyskały łobuzersko, a zdarzało się to często, Avery wątpił czy znalazłoby się choć parę kobiet, które nie uległyby jego urokowi.

- Witajcie, młodzieńcy! - wykrzyknął. - Musieliście chyba wstać o brzasku.

Bracia Cavendish uśmiechnęli się na powitanie.

Prosimy, sir! - zawołał Jamie. - Czekamy na pana ze śniadaniem.

Bardzo to uprzejme z pańskiej strony, młodzieńcze - rzekł Avery, siadając. - Zdaję sobie sprawę, ile musiało was kosztować czekanie z taką ilością pożywienia przed nosem.

Niech pan da spokój, panie Avery - obruszył się Jamie. - Źle mnie pan zrozumiał. Ja nie myślę wyłącznie o jedzeniu; ja myślę o jedzeniu z ogromną przyjemnością.

Avery uśmiechnął się, nalewając sobie kawy.

- Doceniam subtelność tego rozróżnienia.

Cała trójka z apetytem zabrała się do śniadania. Avery uraczył towarzyszy paroma skandalizującymi opowiastkami z życia londyńskiego towarzystwa, opisem najnowszego scenicznego triumfu Keana, a także wyśmiał niezwykle zabawne kokardy, jakie prezentują niektórzy szczególnie odważni modnisie przechadzający się po Bond Street. Było tak przyjemnie, że godzina minęła niepostrzeżenie. Patrząc na pana Avery rozpartego swobodnie na krześle i rozprawiającego ze swadą, Isabel czuła łaskotanie w sercu. Wkrótce muszą się rozstać... Isabel zdała sobie sprawę, że czuje jakby smutek. Co za brak rozsądku! Nigdy dotąd nie cierpiała z powodu nieobecności jakiegoś mężczyzny, więc nie będzie i teraz.

Pan fundował kolację, sir, proszę więc pozwolić, że ja zapłacę za śniadanie - powiedziała chłodno, wyciągając sakiewkę.

Jak pan sobie życzy - odparł Avery.

Chcielibyśmy wraz z Tonym podziękować panu za towarzystwo i mnóstwo grzeczności, jakie nam pan wyświadczył. Przyszła pora, by się rozdzielić. Kiedy pan zajęty był poranną toaletą, udało mi się zorganizować dwa zdatne do jazdy konie.

Oczywiście nie umywają się do pańskiego araba - wtrącił Tony - ale są silne i poniosą nas, dokąd zechcemy.

A zatem - Isabel wstała i wyciągnęła do pana Avery szczupłą dłoń - jesteśmy zmuszeni

się pożegnać i życzyć panu szczęśliwej podróży.

Wysoki dżentelmen uniósł głowę i spojrział na nią z uśmiechem.

- Chyba jednak nie.

Isabel i Jamie zamarli. Chłopak ścisnął rękojeść pistoletu w kieszeni płaszcza, a Isabel, czując, jak wali jej serce, przejrzała w myśli broń pochowaną w różnych zakamarkach swojej odzieży. Czy okno albo drzwi jadalni mogą posłużyć jako droga ucieczki?

- Przybyłem, by sprowadzić was do Lancashire - ciągnął Avery - na osobistą prośbę Montague'a Shipleya.

Więszszego wrażenia doprawdy nie mógł wywołać. Isabel i Jamie stali, wpatrując się w niego wytrzeszczonymi oczyma.

Jest pan w błędzie, sir - Isabel oprzytomniała pierwsza. - Nie znamy żadnego Montague'a Shipleya i nie pojmujemy, dlaczego ktokolwiek miałby prosić pana o eskortowanie nas dokądkolwiek.

Jest pan niezwykle opanowany - rzekł z uznaniem Avery - ale dajmy spokój tej grze. Znałem Montague'a Shipleya co najmniej od dwudziestu lat, podobnie jak Tony, a raczej James, znał go od urodzenia, bo jak mógłby syn nie znać własnego ojca? Jest pan bardzo podobny do Monty'ego, młodzieńcze. Zwłaszcza z nosa. Cieszyłem się na objęcie Thornwynd przez Monty'ego, oplakałem jego śmierć, a teraz przybyłem, by zapewnić jego synowi sukcesję, która mu się prawnie należy. Być może jednak to wyjaśni wam więcej - Avery wyciągnął z kieszeni płaszcza list i, patrząc na Jamiego, podał go Isabel.

Jedno spojrzenie powiedziało jej wszystko. List napisany był ręką Monty'ego.

Jamie skinął przyzwalająco głową. Isabel zaczęła czytać czując, że Avery bacznie się jej przygląda.

Mój drogi Brezie!

Umieram. Wysłałem do Anglii mego syna wraz z opiekunem, któremu powierzyłem jego życie. Poleciałem im, by udali się do Ravenscourt, gdzie, mam nadzieję, będą mogli żyć w miarę wygodnie i bezpiecznie, dopóki Jamie nie zostanie ogłoszony prawdziwym baronem Thornwynd.

Aby lepiej zabezpieczyć mego syna przed zdradą czy innymi niebezpieczeństwami, jakie mogą spotkać go w Anglii, proszę, by w jakiś sposób odnalazł ich pan na drodze wiodącej na północ i eskortował w dalszej podróży. Przewiduję, że Braybrok lub Little Bowden w Northamptonshire będą najlepszym miejscem do spotkania. Może to jednak nastąpić nie wcześniej niż pierwszego maja, jako że opuszczenie przez nich kontynentu może wiązać się z licznymi trudnościami. Cokolwiek był mi pan winien, zostanie spłacone przez wysiłek, jaki włoży pan w załatwienie tej sprawy.

Jeśli to nie zaświadcza o moim nieograniczonym zaufaniu i przyjaźni, jakie żywię dla pana od dawna, nic nie jest w stanie tego uczynić.

Pański przyjaciel na śmierć i życie

Montague Shipley, baron Thornwynd

Głos zawiódł Isabel dopiero przy ostatnich słowach. Jamie odwrócił twarz ku niewielkiemu oknu.

W jaki sposób list ten znalazł się w pana rękach, sir? - spytała cicho Isabel, utkwivszy w

panu Avery nieubłagane spojrzenie swoich szarych oczu.

Zna pan, jak sądzę, nazwisko Dicka Rowana, służącego Monty'ego od wielu lat? To on przywiózł mi ten list, podobnie jak testament.

Isabel spojrzała na Jamiego. Monty, już na łożu śmierci, wysłał Dicka Rowana do Anglii niespełna godzinę przed ich ucieczką z Wiednia.

- Dick mógł znaleźć się na pańskiej drodze przypadkiem, sir - zauważyła spokojnie. - Mógł pan zabić go i ukraść list.

- Istotnie, to możliwe, ale niezgodne z prawdą. Czy chcecie, bym powiedział wam na ucho pewne słowo?

Jamie odwrócił głowę od okna.

- Zna pan hasło, sir?

- Wkrótce w Thornwynd będzie bardzo wietrznie - rzekł Avery.

Isabel gwałtownie zaczerpnęła tchu i pośpiesznie usiadła.

- Dowiódł pan, że jest przyjacielem, sir - spokojnie wytrzymała badawcze spojrzenie błękitnych oczu, zastanawiając się, co też się za nim kryje. Wyciągnęła ku niemu list. - Będziemy panu ufać... na ile będziemy w stanie.

Avery zawahał się.

Monty dobrze pana wyszkolił. Wydaje się pan jednak zbyt młody, by być opiekunem Jamiego.

Jestem starszy i bardziej doświadczony, niż się wydaje.

A pańskie prawdziwe nazwisko?

Jack Cavendish jest równie dobrym nazwiskiem jak każde inne.

No dobrze, Jack - powiedział Avery z nutką dezaprobaty w głosie, chowając z powrotem list do kieszeni. - A czy mógłbym wiedzieć, jakie są pana związki z młodym baronetem?

Jesteśmy kimś w rodzaju kuzynów, sir. Zostałem nieoficjalnie zaadoptowany przez jednego z Shipleyów wiele lat temu i od zawsze byłem stałym towarzyszem Jamiego. Znów ten badawczy wzrok.

- Jestem zaskoczony - rzekł Avery - gdyż pańska twarz wydaje mi się znajoma. Czy przypadkiem nie spotkaliśmy się już kiedyś?

Serce Isabel załomotało. W jaki sposób mógł ją rozpoznać?

Nie, sir - odparła. - Zapewniam pana, że zapamiętałbym to.

Niewątpliwie. Ja również. No cóż, a zatem musi to pozostać tajemnicą - powiedział z westchnieniem Avery. Najwyraźniej nie przepadał za tajemnicami. - Słońce jest już dość wysoko. Umówiłem się, że mój woźnica podjedzie tu po mnie, proponuję więc, byśmy się zabierali. Musimy dotrzymać terminu legatu Thornwynd.

Na moment zapadło milczenie. Avery z niejakim zdumieniem patrzył na swoich niedawnych towarzyszy podróży.

Nie podoba mi się to - powiedział Jamie.

Mnie też nie - zgodziła się Isabel. - To nie było w porządku ze strony Monty'ego, sir, wciągać pana w grożące nam niebezpieczeństwa. Proszę, by pozostał pan tu wraz ze swoim powozem i pozwolił nam odjechać.

Nie - rzekł stanowczo Avery. - Nie będę uchylał się od ciężących na mnie zobowiązań. Proszę pozwolić, by rozsądek wziął górę nad poczuciem obowiązku - nalegała Isabel. -

Nie zdaje pan sobie sprawy z rozmiaru kłopotów, jakie bierze pan na swoje barki, i w gruncie rzeczy nie ma pan prawa się wtrącać. Monty mnie uczynił opiekunem Jamiego. Wyzначył także dla niego kuratora, księcia Northbridge, który z pewnością zapewni mu bezpieczeństwo, gdy dotrzemy do Lancashire. Pańskie towarzystwo, jakkolwiek miłe, nie jest niezbędne.

Niech pan posłucha dobrej rady, panie Avery - wtrącił Jamie. - Proszę pozostawić mnie umiejętnej opiece Jacka i łaskowości losu, a także kaprysom księcia Northbridge.

Kaprysom? - Avery wytwornie uniósł brew.

Jamie ma zwyczaj koloryzować - pospieszyła Isabel, marszcząc czoło. - Monty opisał nam kiedyś księcia jako dżentelmena nadzwyczaj dbałego o etykietę, domatora, pozbawionego do tego stopnia ducha przygody, że nawet przez myśl mu nie przejdzie, iż mógłby kiedykolwiek opuścić swoją posiadłość.

Ach tak.

Monty zachował się nieładnie, każąc mi przebywać z tym zreumatyzowanym starcem - poskarżył się Jamie. - Myślałby kto, że to dla mojego dobra.

Proszę nam pozwolić zadbać o pańskie dobro, panie Avery - podjęła Isabel. - Proszę zostawić nas samych. Nie zdaje pan sobie sprawy, w jakim znalazł się pan niebezpieczeństwie.

Wobec tego będziecie mogli wyjaśnić mi to w szczegółach, kiedy będziemy już w drodze. Isabel i Jamie znów wymienili spojrzenia.

Strasznie uparty człowiek - powiedział Jamie.

A czy Monty prosiłby o pomoc innego? - zauważyła Isabel.

Chciałbym zwrócić uwagę - zabrał ponownie głos Avery - że kimkolwiek są wasi wrogowie, nie spodziewają się, że będziecie podróżować wygodnym ekwipażem, i do tego w towarzystwie.

To prawda - przyznała Isabel. - Niemniej widziano pana z nami. Kiedy zostaniemy odkryci, pan również znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Avery spojrzał na zegarek.

Sądzę, że mogę być przydatny, kiedy przyjdzie do walki. Nie pozbędziecie się mnie, panowie. Proszę uznać ten fakt i poddać się.

Na pewno znajdziemy jeszcze po drodze jakieś dęby, dostatecznie silne, żeby wytrzymały ciężar pana Avery - mruknął Jamie. - W wolnej chwili powiesimy za nogi i jego.

Isabel uśmiechnęła się. Plan ten nie był wyłącznie żartem, aczkolwiek miała wrażenie, że przyłapanie tego dżentelmena na chwili nieuwagi wymagałoby sporego wysiłku.

- Doskonale, panie Avery. Będziemy towarzyszyć panu... przez jakiś czas.

Avery skłonił się.

- Zaufanie panów to dla mnie zaszczyt. Pójdę teraz dopilnować powozu i woźnicy, panowie zaś w tym czasie zdążą się spakować. Spotkamy się przed zajazdem.

Skierował się ku wyjściu. Już przy drzwiach odwrócił się z uśmiechem.

- Lucy Moriarty, doprawdy! - I wyszedł.

Isabel i Jamie patrzyli na siebie w konsternacji.

- Czy jesteśmy bezpieczni w jego towarzystwie? - spytał Jamie. - Na razie tak - odparła

Isabel. Zabębniła palcami po stole. - Tak mi się przynajmniej wydaje. - Nie ufasz panu Avery? Isabel zaśmiała się gorzko.

- Nie ufam żadnemu mężczyźnie. I nie będę ufać, dopóki nie obejmiesz Thornwynd. - Nie zamienisz bryczesów na spódnicę? - Jeszcze nie teraz. W tej chwili ważne jest, żeby pan Avery zaakceptował moją rolę w tej awanturze. Monty nie był taki głupi, zwracając się o pomoc właśnie do niego. Pan Avery wydaje się być niezwykle przebiegłym dżentelmenem.

- Wciąż jesteś zachwycona Jego Niezwykłością?

Isabel zmarszczyła brwi.

- Podziwiam go po prostu.

Jamie podszedł do okna i popatrzył na toczące się na podwórku przygotowania do wyjazdu.

Czemu ojciec nie powiedział nam, że zorganizował wszystko tak, żeby pan Avery spotkał się z nami?

Monty zawsze lubił sekrety - powiedziała powoli Isabel. - A poza tym bezpieczniej jest, jeśli to pan Avery szuka nas i wyjaśnia nam swoją rolę, niż gdybyśmy to my mieli szukać jego i wpaść w pułapkę przygotowaną przez Horacego Shipleya. Czemu jednak pan Avery nie ujawnił się wczoraj wieczorem? Po co czekał aż do dzisiejszego ranka? Za tym kryje się coś więcej, niż nam powiedział; jestem tego pewna.

Jamie odwrócił się do niej.

- To znaczy, że jesteśmy w niebezpieczeństwie?

Z pewnością jakieś niebezpieczeństwo tkwi w tym, że on wie coś, czego my nie wiemy - czoło Isabel przecięła głęboka zmarszczka. - Ale co to może być?

W każdym razie Dick dotarł na miejsce bez szwanku. Nasza wyprawa też nie jest więc pozbawiona szans.

Na to by wyglądało - westchnęła Isabel. Coś się tu nie zgadzało, ale nie potrafiła powiedzieć co. - No, idziemy. Pora przyłączyć się do naszego nowego towarzysza podróży.

Wyszli z gospody na zalane porannym słońcem podwórze. Wysoki dżentelmen nie kłamał. Na dziedzińcu stał, zupełnie nowy, ciemnozielony powóz o znakomitych resorach.

Widzę, sir, że będziemy podróżować w luksusie - Isabel nie ukrywała swojej admiracji. Wygodnie, po prostu wygodnie - powiedział lekceważąco Avery. - Panowie Cavendish jadą z nami, Dawkins - zwrócił się do szpakowatego woźnicy, stojącego przy głowach dwóch rączych siwków.

Tak jest, sir - odparł Dawkins bez cienia entuzjazmu.

Jamie obejrzał konie, zaś Isabel ulokowała bagaże z tyłu pojazdu. Dawkins z ponurą miną wdrapał się, postępując, na kozioł.

Jedziemy do Lichfield, Dawkins - zarządził pan Avery.

Nie, sir - zaprotestowała Isabel - do Nottingham.

Avery zwrócił się ku niej z niezwykle kategoriycznym wyrazem twarzy.

Jest pan teraz pod moją komendą, panie Cavendish, czy jak tam się pan nazywa, i będzie pan wykonywał moje polecenia.

Przeciwnie - Isabel bynajmniej nie zbiła z tropu ta męska władczość. - Monty dokładnie zdefiniował pańską rolę jako eskortę, a nie przywództwo czy przewodnictwo. Mnie powierzył bezpieczeństwo Jamiego, dopóki nie osiadzie w Thornwynd i nie znajdzie się pod opieką księcia Northbridge. Jedziemy zatem tam, gdzie ja zdecyduję.

Błękitne oczy pana Avery błysnęły nieprzyjaźnie na to rzucone jego autorytetowi wyzwanie.

- Już wypełnił pan swój obowiązek, młodzieńcze. To ja jestem księciem Northbridge. Isabel i Jamie wpatrywali się w niego przez chwilę. Wreszcie spojrzeli po sobie. Myślałem, że to Brett Avery - powiedział Jamie.

Albo przynajmniej sekretny król elfów - głos Isabel brzmiał lekko, pomimo iż czuła ucisk w sercu. Coś takiego! Książę... Doprawdy, nie mogło być gorzej.

- Nie wy jedni pozwoliliście sobie na odgrywanie ról – powiedział książę, odrobinę poirytowany tym, że jego rewelacja została przyjęta tak spokojnie. - Na chrzcie istotnie dano mi na imię Brett, a Avery to nazwisko używane kiedyś w mojej rodzinie.

- O tak, naturalnie - pośpieszyła łagodzącym tonem Isabel.

Jamie wybuchnął śmiechem.

A ja myślałem, że jest pan zręcznym staruszką, który nie rusza się z fotela!

Doskonale zagrane, sir! Moje gratulacje - mówił, ściskając dłoń księcia.

Dzięki - rzekł chłodno książę, wygładzając rękaw płaszcza. - A teraz, ponieważ jestem pańskim kuratorem i dotarł pan do mnie cały i zdrowy, proszę pozwolić, że to ja zdecyduję, dokąd pojedziemy.

Nie, sir - powtórzyła po raz kolejny Isabel. - Monty powierzył mi opiekę nad Jamieem do czasu, gdy bezpiecznie dotrze do Thornwynd i zostanie zaprzysiężony jako następca. Dopóki to się nie stanie, podróżuje pan pod moim przewodnictwem.

Na to nigdy się nie zgodzę - oznajmił zniecierpliwiony lord Northbridge.

Wobec tego będzie pan podróżował w pojedynkę.

Drogie dziecko - powiedział książę z wyższością- ani pan, ani nawet Monty nie znał tego kraju tak, jak ja go znam. Zawiozę was do Thornwynd wystarczająco bezpiecznie.

Odeskortuje nas pan pod moim kierunkiem, sir, albo nie pojedzie pan w ogóle - odparowała Isabel.

Lord Northbridge uchylił drzwi powozu.

Do środka, chłopcze. Koniec dyskusji. Isabel skłoniła się i odstaąpiła o krok.

Jamie, bierz walizki. Miło było poznać pana, milordzie. Widać było, iż książę jest zaskoczony, nie poddawał się jednak.

- Mógłbym was zakneblować, związać i wrzucić do powozu - zauważył.

- Proszę spróbować - odparowała Isabel.

Spojrzenie księcia rozjaśnił uśmiech aprobaty.

- Cóż za lojalny i nieustępliwy młodzian, doprawdy! Zaczynam myśleć, że Monty wybrał właściwego opiekuna dla swego syna. Dobrze, uparciuchu, ustępuję... ten jeden raz.

Dokąd zdążamy?

Isabel odetchnęła. Nie chciałaby codziennie staczać podobnych walk z tym wysokim dżentelmenem. Było to zbyt poruszające.

- Najpierw do Bardon Hill w Leicestershire, a stamtąd do Nottingham.

- Słyszałeś, Dawkins - zawołał księżę do woźnicy. W odpowiedzi usłyszał chrząknięcie. Skłoniwszy się jego lordowskiej mości, Isabel wspięła się do powozu i usiadła obok Jamiego. Lord przytrzymał jej drzwiczki, po czym sam wsiadł.

- Tak przemija chwala świata - mruknął Jamie. W oczach miał isierki stłumionej wesołości.

Księżę zgromił go spojrzeniem.

Proszę pamiętać, że jest pan moim wychowankiem i rozsądnie byłoby raczej mi się przypochlebiać - powiedział, siadając naprzeciwko i krzyżując długie nogi. - No cóż, panowie, opowiedzcie mi zatem swoją historię. Jak to się stało, że Monty zmarł, wy zaś znaleźliście się niebezpiecznie blisko upływu terminu legatu Thornwynd? Niepodobna, by Montague Shipley zaaranżował tak niebezpieczną sytuację dla swego syna... i przyjaciela.

A czy Dick Rowan nic panu nie powiedział? - spytał Jamie.

Dick, niestety, nie był w stanie opowiedzieć nikomu o niczym, gdy dotarł do Ravenscourt. Dobry Boże! - wykrzyknęła Isabel. - Czyżby był ranny?

Nie, nie, proszę się uspokoić. Po prostu był skrajnie wyczerpany. Doktor zapewnił mnie, że wkrótce wydobrzeje, tak więc może się pan nie lękać. Musicie mi jednak powiedzieć, dlaczego wędrujecie bocznymi drogami Anglii jako rzekomi bracia Cavendish.

Może pan podziękować za to mojemu wujowi - powiedział Jamie z goryczą.

Horacy Shipley zamierza uniemożliwić Jamiemu objęcie dziedzictwa - wyjaśniła Isabel. Czy macie na to dowody? - spytał księżę.

Raczej trudno było uchronić dokumenty przed tymi, którzy nas atakowali - warknął Jamie.

Lord Northbridge wpatrywał się w niego przez chwilę z twarzą nie zdradzającą żadnych uczuć.

- Wygląda na to, że wiele przeszliście. Proszę, opowiedzcie mi swoją historię od początku, jeśli łaska. Chcę wiedzieć o wszystkim.

Jamie spojrzał na Isabel. Nie czuł się na siłach, by mówić.

- Dwudziestego czwartego lutego otrzymaliśmy list od prawnika Monty'ego - zaczęła Isabel, przezwyciężając opór. Ona również wolałaby nie powracać myślą do tamtej okropnej nocy, która dotąd straszyla ją w snach i leżała ciężarem na sercu za dnia. - List informował Monty'ego o spadku i określał termin objęcia sukcesji Thornwynd. Monty albo jego spadkobierca mieli stawić się w Thornwynd do siedemnastego maja; w przeciwnym razie tracili prawo do dziedzictwa. Trudność polegała na tym, że przebywaliśmy wówczas w Wiedniu.

W Wiedniu?! - zawołał księżę. - I dotarliście do Northamptonshire zaledwie w dwa miesiące? Przecież jest wojna!

Wiemy o tym - odparła sucho Isabel. - Mielśmy ogromne kłopoty. Dwa miesiące zajęła nam notyfikacja sukcesji Monty'ego, a potem trzeba było poradzić sobie z agentami Horacego Shipleya.

Błękitne oczy lorda Northbridge zwęziły się.

- Zaczynam podejrzewać, że Monty nie zmarł śmiercią naturalną.

Jamie spojrzał na niego zaskoczony.

- Czyżby pan nie wiedział, sir? Ojciec został zamordowany na polecenie mojego wuja. Książę milczał. Jego twarz była nieprzenikniona.

- Wiedziałem, że Horacy Shipley jest zdolny do niegodziwości - powiedział w końcu - ale do morderstwa? - Zwrócił twarz ku oknu i wpatrzył się w usiany obłokami błękit nieba. - Proszę mi opowiedzieć, jak to było.

24 lutego 1804 roku, wieczór

Wiedeń, Austria

Bardzo ci do twarzy w tej sukni, Isabel - powiedział z aprobatą Montague Shipley, wstając od stołu. Wysoki, krzepki, zdawał się wypełniać sobą całą salę jadalną. - Czy to nowa?

Tak - odparła Isabel, siadając na swoim krześle. Shipley zajął miejsce obok niej. - Powiedziałaś przecież, że mam dziś wieczorem wyrzucić odpowiednie wrażenie na obywatelu de Saville, prawda? Zielony to jego ulubiony kolor.

Ach, moja pilna Isabel - powiedział czule Shipley, podnosząc do ust jej szczupłą dłoń. W brązowych oczach pojawił się łobuzerski błysk, który знаła aż nadto dobrze. - Zanim wieczór się skończy, obywatel wsączy w twoje delikatne uszko wszystkie sekrety Bonapartego.

Czarująca perspektywa - skrzywiła się Isabel, cofając dłoń. - Nigdy nie przepadałam za odgrywaniem szpiegów, Monty.

Shipley wydawał się urażony.

- Szpiegów? Cóż za głupstwo! Shipley nigdy nie zniży się do takiej pospolitości. Po prostu lubię od czasu do czasu zrobić coś na rzecz mojego kraju.

Uważam, że jeśli chcemy wprawić de Saville'a w wystarczająco dobry humor, tak by zechciał szeptać to i owo w moje delikatne uszko, musimy się bardzo postarać i pozwolić mu dzisiaj wygrać przy stoliku. Gdzie tu korzyść, Monty?

Ach, moje dziecko - powiedział protekcyjnie Shipley - po tylu latach wciąż jeszcze nie doceniasz mojego geniuszu. Zanim skończy się noc, będziemy w posiadaniu zarówno sekretów de Saville'a, jak i pełnej sakiewki, nie obawiaj się.

No dobrze - Isabel nadal nie była szczególnie zachwycona rolą, jaką miała odegrać - jeśli uda mi się osiągnąć dziś wieczorem dziesięć procent, będę zadowolona.

Powinnaś się upierać, że zasługujesz na dwadzieścia procent od swojej wygranej.

Dwadzieścia? Dotąd mogłam przynieść ci najwyżej dziesięć!

To dlatego, że w twoim wieku nie masz jeszcze dostatecznego doświadczenia, by przy stole przetargowym ocenić moje intencje. W nieodległej przyszłości możesz spróbować renegocjować niektóre punkty naszej umowy.

Ale z ciebie drań - powiedziała Isabel.

Dzięki, moja droga. Będziesz miała dostatnią starość, już ja się tym zajmę.

Isabel uśmiechnęła się do starego łotra.

Będę szczęśliwa, jeśli w ogóle uda mi się doczekać starości.

Dobry wieczór, ojczu, dobry wieczór, Isabel - dał się słyszeć głos schodzącego po schodach młodzieńca.

- Ale się wystroiłeś - zauważyła Isabel, mierząc chłopca wzrokiem.

Tak było istotnie. James Shipley, młodsza kopia ojca, miał na sobie brązowy wieczorowy surdut w odcieniu czekolady, z kołnierzem, który niemal zakrywał mu uszy, i białe pantalone z bladożółtymi lampasami, ostatni krzyk mody pochodzący z dworu Napoleona.

Przynajmniej raz nie muszę być lokajem, krupierem czy kelnerem - stwierdził Jamie, siadając obok nich - i zamierzam wykorzystać to do końca.

Proszę tylko, żebyś nie mówił tym okropnym wiedeńskim akcentem, który naśladowałeś na balu w zeszłym tygodniu, a wszystko będzie dobrze - powiedział nieco surowo Montague Shipley.

Czy zdarzyło się kiedykolwiek, żebym źle zagrał rolę, jakiej się podjąłem? - spytał Jamie, dotknięty. - Jestem doskonałym aktorem. Sam to mówiłeś niezliczoną ilość razy, ojczu, a przecież wiesz, że nigdy się nie mylisz.

- Co prawda, to prawda - rzekł Shipley, rozważywszy tę kwestię.

Lokaje w nienaganych liberiach wnieśli pierwsze danie. Wraz z nimi wszedł drobny człowieczek z kępką siwych włosów na czubku głowy. W dłoni trzymał list.

Do pana, sir. Właśnie przyszedł - powiedział z rozwlekłym akcentem typowym dla ludzi z Lancashire.

Ile razy mówiłem ci, Dick, że to niebezpieczne przynosić korespondencję do sali jadalnej! - zgromił służącego Shipley.

Tylko trzy, panie - odparł flegmatycznie Dick. - A na liście jest pieczątką prawnika pańskiego ojca.

Trzy pary oczu wpatrzyły się w Dicka Rowana.

- Czyżby? - mruknął Shipley. Wziął kopertę do ręki. - Odwołuję naganę, Dick. Zobaczmy, co też ma do powiedzenia pan Stone.

Złamał pieczęć i szybko przebiegł wzrokiem dwie gęsto zapisane strony. Zdając sobie sprawę, że ma publiczność, co zresztą zawsze lubił, zwlekał przez chwilę, wreszcie odłożył list na stół i spojrzał na Jamiego, Isabel i Dicka.

Zmarł mój ojciec - powiedział po prostu.

Ależ to niemożliwe! - zawołał Jamie. - Zawsze mówiłeś, że jest zbyt przekorny, aby umrzeć za twego życia.

Daleki od oburzenia wobec tak niestosownej reakcji na tak poważną wiadomość, Shipley senior pokiwał po prostu siwą głową nad własnym brakiem przezorności.

Atak serca trzy lata temu osłabił sir Barnabę bardziej niż przypuszczałem. Nie udało mu się wydziedziczyć mnie tak jak Horacego. Jestem więc obecnie baronem Thornwynd.

Dobry Boże - szepnęła Isabel.

Właśnie - nowy baron nie krył satysfakcji.

Proszę przyjąć moje kondolencje z powodu śmierci pańskiego ojca, sir - powiedział Dick.

- To był stary tetryk o okropnym charakterze, ale przynajmniej konsekwentny w swojej złościwości.

Tak, i za to samo zawsze krytkował mnie - westchnął Shipley. - Dziwnie jest pomyśleć, że ojciec nie będzie mnie już straszyć swoimi przeklętymi listami. No cóż, ośmielę się powiedzieć, że zrobił co mógł, żeby przestraszyć mnie teraz. Jeśli ktokolwiek ujrzy ducha podzwaniającego łańcuchami przez całą noc, to z pewnością będzie to duch sir Barnaby. Tylko on jest do tego zdolny.

Ależ to niesamowite! - wykrzyknął Jamie. - Skoro ty jesteś nowym baronem Thornwynd, to mnie przysługuje status następcy! Najpiękniejsze panny w Anglii będą mi padać do stóp!

Masz dopiero siedemnaście lat - przypomniała mu Isabel - i dużo czasu, by zwiędnąć w kawalerskim stanie, zanim odpowiednia panna stanie na twojej drodze.

Dość tych pogwarek - przerwał im Shipley. - Musimy opracować plan natychmiastowego powrotu do Anglii.

Dobry Boże, ale dlaczego? - spytał Jamie.

Zapomniałeś o zapisie, jakim obwarowane jest dziedzictwo Thornwynd, mój chłopcze - Shipley odchylił się na oparcie krzesła i uniósł do ust kieliszek wina. Westchnął z zadowoleniem. - Każdy dziedzic musi stawić się osobiście w Thornwynd w ciągu pięciu miesięcy od śmierci dotychczasowego barona, w przeciwnym razie traci wszelkie prawa do spadku, a Thornwynd dziedziczy następny w kolejności męski potomek. W tym przypadku byłbyś to ty, po tobie zaś mój bratanek Nigel Clark. Nie chcę widzieć cię baronem już teraz, mój synu, będę więc ubiegać się o tytuł dla siebie. Twoja kolej przyjdzie później.

- Nieprędko, sir, mam nadzieję - Jamie wznosił kieliszek z winem.

Baron podziękował za toast czułym uśmiechem.

A zatem, musimy zmienić nasze plany. Jemy kolację, przyjmujemy naszych wiedeńskich i francuskich gości w Golden Chariot, ograbiamy kawalera de Saville z jego sekretów i wracamy tu nie później niż o drugiej nad ranem. Służba spakuje tymczasem nasze rzeczy, tak żebyśmy mogli wyjechać jeszcze przed świtem.

Tak wcześnie? - spytała zaskoczona Isabel. - Po co ten pośpiech?

Ze względu na datę śmierci mojego ojca - baron wyciągnął ku niej list prawnika. - Zmarł siedemnastego grudnia; list nosi datę dziewiętnastego grudnia. To nam daje niespełna trzy miesiące na to, by dotrzeć do Thornwynd przed upływem terminu sukcesji. Nie zapominaj, że jest wojna.

Nie wspominając już o blokadzie - dodał Jamie.

Niewątpliwie jest to utrudnienie - zgodził się ojciec. - Będziemy musieli użyć całego naszego sprytu, żeby wyprowadzić w pole Bona-partego, wojska austriackie, a także armię i marynarkę angielską.

No cóż - rzekła Isabel, pociągnąwszy dla kurażu wina, które nie zdołało jednak stłumić ani o odrobinę bólu, który ją przenikał - wobec tego niech Bóg ma was w opiece. Życzę wam tego z całego serca.

Baron i jego syn utkwili w niej zdumiony wzrok.

- Co ty pleciesz? - w głosie barona zabrzmiała nutka rozdrażnienia. - Dlaczego polecasz nas boskiej opiece, skoro i ty jedziesz z nami?

- Nie jadę - powiedziała spokojnie Isabel.

- Co to znowu za głupstwa?

- To nie głupstwa - Isabel wpatrywała się w wino, nakazując palcom zaciśniętym na nóżce kieliszka, by nie drżały. - W Anglii czeka na mnie nakaz aresztowania. Czyżbyś zapomniał?

Prawdę rzekłszy, baron, podekscytowany chwilą, istotnie zapomniał o tym drobiazgu. Teraz jednak, gdy przypomniano mu o tej przeszkodzie, odtrącił ją, niczym natrętną muchę.

Jako baron będę miał i majątek, i władzę. Nakaz przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ma on jednak wielkie znaczenie dla mnie, sir - odparła cierpko Isabel. - Ty możesz mieć pełne zaufanie do wpływów Thornwynd, ja jednak nie mogę pozwolić sobie na taki

optymizm.

Co to za gadanie o jakichś nakazach, o tym, że miałabyś nie jechać razem z nami? - zniecierpliwiał się Jamie. - Musisz jechać, Isabel. Nie możemy ruszać w drogę bez ciebie. Radzisz już sobie świetnie sam, dzieciaku. Na pewno nie będzie ci mnie brakowało. Jak możesz, Isabel? Jak w ogóle możesz mówić coś takiego? - młodzieńcze policzki Jamiego zalał rumieniec. - Niech raczej Anglia pograży się w morzu, niż miałbym przeżyć bez ciebie choćby jeden dzień!

Wybacz, Jamie - powiedziała łagodnie Isabel, nakrywając dłonią jego zaciśnięte pięści. - Usiłuję być twarda i dzielna, ale nie bardzo mi się to udaje. Myśl, że mam się rozdzielić z tobą i z Montym, jest dla mnie nie do zniesienia. Jesteście moją rodziną, ale w Anglii nie byłabym bezpieczna. Nie mogę jechać.

Nie bój się, Jamie - powiedział Montague Shipley. - Nasza separacja z Isabel będzie chwilowa. Jak tylko obejmę Thornwynd, załatwię unieważnienie nakazu, a wtedy nasza przyjaciółka będzie mogła bezkarnie wrócić do Anglii.

W czasie spożywania dwu kolejnych dań omawiali plany jutrzejszego wyjazdu i zastanawiali się, gdzie zatrzyma się Isabel do czasu, gdy Monty będzie mógł bez ryzyka wezwać ją do powrotu.

Czekali właśnie na czwarte danie - jeleni udziec - gdy zaczęły się kłopoty. Przez dobre dwadzieścia minut nie pokazał się ani jeden lokaj. Baron dwukrotnie już zadzwonił srebrnym dzwoneczkiem leżącym obok jego nakrycia. Uniósł go właśnie po raz trzeci, by zadzwonić z wigorem stosownym do wielkości zniewagi, gdy przez drzwi, w których powinien był ukazać się lokaj, wtargnęła gromada uzbrojonych po zęby mężczyzn z maskami na twarzach. Krew mogła ściec się w żyłach na ich widok.

- Atak jedyny w swoim rodzaju, być może - rzekł zimno Montague Shipley do intruzów - ale wyjątkowo niegrzeczny. Nawet najbardziej nikczemny złodziej wie, że nie należy przeszkadzać ofierze w posiłku.

Nie twojego złota chcemy, Shipley - burknął krzepki osilek cuchnący piwem - tylko życia. Twojego i chłopaka!

Widzi pan, sir - Jamie odwrócił się od okna powozu - mój wuj miał znacznie więcej czasu niż my, żeby się zastanowić, co robić, i wynająć odpowiednio wielu bandytów, by mieć pewność, iż zostanie to wykonane właściwie.

Nasi służący byli albo związani i zakneblowani, albo leżeli bez życia - ciągnęła Isabel. Och, jak trudno było grać dzielnego młodzieńca, podczas gdy znękana kobieta, jaką była naprawdę, tak pragnęła wyrzucić z siebie cały ten ból! - Napastnicy liczyli na to, że nas zaskoczą, i to im się udało. Mieli też nadzieję, że zastaną nas nie uzbrojonych, i tu się pomylili. Złocenia potrafią zamaskować zaskakującą solidność krzesła i pozbawić przytomności osobę, przeciwko której krzesło zostanie użyte. Noże też były pod ręką. Zdołaliśmy wycofać się z jadalni i dostać tam, gdzie można było znaleźć prawdziwą broń: do głównego hallu, do gabinetu, do biblioteki. Rozdzieliliśmy się; to była nasza jedyna szansa.

Ilu ich było? - spytał księżę.

Ja naliczyłem dziesięciu. A ty, Jamie? Lord Northbridge utkwił w nich spojrzenie.

Tak, dziesięciu - odparł ponuro Jamie.

- Mając do dyspozycji broń palną i szable, mogliśmy zabić czy zranić wielu napastników - ciągnęła Isabel. - Ale głównym celem ich ataku był Monty. Kiedy Jamie i ja byliśmy zajęci gdzie indziej, główne uderzenie skierowano przeciw niemu. Położył trzech. Czwarty... dosięgnął go szablą.

Jamie naciągnął kapelusz na oczy.

Jamie i ja - ciągnęła Isabel zmienionym głosem - dotarliśmy do niego, gdy tylko było to możliwe, ale rana była śmiertelna. Wiedzieliśmy o tym. Monty też. Zostało nam dwoje służących, człowiek, który przywiózł panu testament i list, i kucharz. Z ich pomocą przenieśliśmy Monty'ego na łożo i ułożyli możliwie najwygodniej. Był... wstrząśnięty. Przekonany, że Jamiemu nadal grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, nakazał mi strzec go, dopóki nie obejmie sukcesji. Nie musiał tego nakazywać. Ślubowałem sobie, że będę go bronić choćby z narażeniem życia.

Istotnie, byliście w niebezpieczeństwie. Skąd jednak pewność, że to ludzie Horacego Shipleya was zaatakowali? - spytał książę.

Horacy rzeczywiście jest tak skąpy, jak się o nim mówi. Jego chwaty dostały o wiele za mało za swoją robotę - powiedziała Isabel, zniżając głos.

A gdzie są teraz ci ludzie?

Nie wiem - Isabel siłą woli otrząsnęła się z czarnych wspomnień. -Przypuszczam, że zajęły się nimi wiedeńskie władze. Jeśli zrobiły to odpowiednio, to wątpliwe, czy któryś z nich jeszcze żyje.

Psiakrew! - zaklął książę. - Jak wobec tego udowodnię... No dobrze, dajmy temu spokój na razie. Niech pan kontynuuje swoją opowieść, Jack.

Isabel wzięła głęboki oddech.

Podczas gdy Jamie i ja pakowaliśmy się i przygotowywaliśmy do wyjazdu, Monty napisał list do pana, a potem, coraz słabszy, podyktował Dickowi Rowanowi swoją ostatnią wolę i wskazówki dla nas, jak dojechać do Ravenscourt. W pół godziny później zmarł. Nie mogliśmy zostać, żeby go pogrzebać. Nasz kucharz, który był z nami od jedenastu lat, zgodził się zająć ciałem Monty'ego, dopóki nie będziemy w stanie przewieźć go do Anglii. Tej samej nocy wyjechaliśmy. Na szczęście znaliśmy Wiedeń dość dobrze, jako że przebywaliśmy tu od paru tygodni. Nasi prześladowcy, chociaż wiedeńczycy, nie znali miasta tak jak my, zdołaliśmy więc wymknąć się niepostrzeżenie. Wojna była jednak przyczyną wielu przeszkód i opóźnień, tak jak przewidywał Monty. Śledzono nas. Dwukrotnie nas zaatakowano. Za każdym razem zadaliśmy jednak o wiele więcej ran, niż otrzymaliśmy. Do Hamburga dotarliśmy dwa tygodnie temu. Trzy dni zajęło nam szukanie statku i kapitana, który dałby się przekupić i zaryzykować sforsowanie blokady Anglii. Na morzu spędziliśmy dziewięć dni.

Dziewięć żalosnych dni - uściślił Jamie. - Nigdy nie zostanę marynarzem.

Choroba morska? - domyślił się książę.

Jeszcze jaka - mruknął Jamie. - Chorowałem tak strasznie, że nie byłem w stanie się obronić, kiedy zaatakował mnie jeden z marynarzy.

Jamie zazwyczaj potrafi doskonale obronić się sam - podjęła Isabel - ale tym razem byłem zmuszony interweniować i skręciłem sobie przy okazji to przekłute kolano.

Wypadek na własne życzenie? - książę ironicznie uniósł brew.

Raczej z własnej winy, sir, zapewniam pana - odparła chłodno Isabel - Powinienem być zauważyć ten taboret. Monty byłby przerażony moją nieostrożnością.

Błękitne spojrzenie księcia zatrzymało się na moment na jej twarzy.

A co z napastnikiem?

Przyznał się, że dostał pięćdziesiąt guldenów od jednego z agentów mojego wuja. Za karę był ciągnięty na linie za kilem - powiedział Jamie z satysfakcją. - Kapitan surowo zakazywał przekupstwa.

Zeszliśmy na ląd w Nave - podjęła Isabel. Teraz łatwiej już było opowiadać. - Od trzech dni jesteśmy w drodze. Z początku myśleliśmy, że jesteśmy bezpieczni: obszar wpływów Horacego Shipleya to kontynent, a nie Anglia. Nikt nie zszedł z nami ze statku. Przez cały pierwszy dzień nie zdarzyło się nic niepokojącego. A potem, dwa dni temu, napadła na nas ta trójka, którą tak uprzejmie pomógł nam pan wczoraj rozgromić. Wzięli nas za dwóch nieopierzonych smarkaczy, a spotkali się z oporem dużo silniejszym, niż się spodziewali. To, że spróbowali jeszcze raz, świadczy zarówno o determinacji Shipleya, jak i o jego otwartej sakiewce. Kto wie, ilu jeszcze ludzi wynajął, żeby nas powstrzymali w drodze? Czas działa na jego korzyść. Mamy zaledwie dwa tygodnie, by dotrzeć do Thornwynd i zadośćuczynić wymogom legatu.

Nigdy nie słyszałem, żeby Horacy miał otwartą sakiewkę - mruknął książę Northbridge. - Ale też nigdy nie grał o tak wysoką stawkę.

Chciałbym zwrócić pańską uwagę, milordzie - powiedziała szczerze Isabel - że to nie są żarty. To walka na śmierć i życie. I to może być pańska śmierć. Czy nie powinien pan ponownie rozważyć celowości dotrzymywania nam towarzystwa?

Bez względu na to, jak bardzo jest pan zręczny i utalentowany -a każda chwila dowodzi pańskich licznych zalet - ciężar, jaki włożono na pańskie ramiona, jest zbyt wielki jak na pański młody wiek - rzekł spokojnie książę. - Jest moim obowiązkiem uszanowanie prośby Monty'ego, jaką skierował do mnie na łożu śmierci, i zapewnienie Jamiemu opieki i ochrony. Żaden pański argument nie jest w stanie tego zmienić.

Westchnienie Isabel oznaczało poddanie się. Zrobiła, co do niej należało, próbując wyperswadować księciu dalszą wspólną podróż, ale prawdę powiedziawszy była zadowolona, że nie dał się przekonać. Co za ulga, móc komuś opowiedzieć to wszystko... Nie знаła dotąd przyjemności, jaką może dawać współczujące spojrzenie błękitnych oczu. Nie chciała z niego rezygnować.

Muszę przyznać - ciągnął lord Northbridge - że nie doceniałem bezwzględności Shipleya. Mam nadzieję, że mój błąd nie wpędzi was w kolejne kłopoty.

Zupełnie nie rozumiem - rzekła Isabel - dlaczego Horacy robi to wszystko. Zwykła złośliwość czy zazdrość? Sir Barnaba wydziedziczył go dawno temu. Gdyby nie tylko Monty, ale i Jamie zszedł z tego świata, Thornwynd odziedziczyłby kuzyn Jamiego, Nigel Clark. Jaką kartę trzyma Horacy w rękawie? Co skorzystałby na śmierci Jamiego?

Nie wie pan?

Nie - Isabel znieruchomiała. - A pan wie?

Mam pewne podejrzenia - wyznał książę. - Opowiem o nich później.

Doskonale, sir - powiedział nieco opryskliwie Jamie, prostując się na siedzeniu i zsuwając kapelusz na tył głowy. - Odpowiedzieliśmy na pańskie pytania, a teraz pańska

kolej, by odpowiedzieć na nasze. Jak to się stało, że znał pan mojego ojca, i co za dług sprawił, że był pan zmuszony podjąć tak niebezpieczną podróż?
Książę był nieco zaskoczony. Przywykł, że jego tytuł oraz fortuna budzą należyty respekt; nie przywykł, by indagował go byle młodzieniaszek. Z drugiej strony, jeśli prawdą jest, że przeszli przez to wszystko, o czym mówią, to pytanie jest w pełni uzasadnione.
Poznałem pańskiego ojca dzięki mojemu ojcu - zaczął powoli. - Chodzili razem do szkoły. Ojciec uwielbiał podróże na kontynent i właśnie w Brukseli, na obiedzie, który wydawał, spotkałem pana Shipleya po raz pierwszy.

Kiedy to było? - spytała Isabel.

Miałem wówczas zaledwie czternaście lat, a zatem zdarzyło się to dwadzieścia jeden lat temu, na długo przed narodzinami Jamiego i pańską nieoficjalną adopcją. - Uniósł pytająco brew w stronę Isabel, ona jednak uśmiechnęła się tylko i skinęła głową. Miała żelazną zasadę: nigdy nie należy się tłumaczyć. Książę z westchnieniem podjął opowieść.

Monty i mój ojciec korespondowali odtąd ze sobą, a ilekroć zdarzyło się, że obaj byli w Paryżu, Rzymie czy Kadyksie, zawsze się spotykali. Miałem wówczas możliwość przysłuchiwania się ich rozmowie i dzięki temu wiele nauczyłem się o świecie.
Isabel nie zdołała stłumić chichotu. Mogła sobie wyobrazić, jaką to edukację otrzymał lord Northbridge w towarzystwie Monty'ego! Książę odwzajemnił jej uśmiech. Jakie ciepło emanuje z tego błękitnego spojrzenia... Szybko odwróciła głowę ku oknu.

W parę lat później rozpocząłem moją wielką podróż - podjął książę. - Shipleyowie byli wówczas we Florencji. Jamie przyszedł właśnie na świat i w czasie moich częstych wizyt miałem okazję podziwiać pańską czerwoną, pomarszczoną twarzyczkę, młody człowieku. Chyba miał pan do czynienia z innym dzieckiem, sir - powiedział Jamie. - Ja byłem niezwykle urodziwym niemowlęciem.

Książę skrzywił się.

- Miałem wtedy osiemnaście lat i interesowałem się przede wszystkim moją własną osobą, więc...

- Pan, sir? - mruknęła złośliwie Isabel. - To niemożliwe!

Lord Northbridge surowo zmarszczył brwi.

Wielu ludzi traktowałem wówczas niewłaściwie - ciągnął chłodno - włącznie z dżentelmenem, którego zdarzyło mi się pewnej nocy pokonać przy karcianym stoliku w domu gry, należącym wówczas do Monty'ego. Nie tylko go ograłem, ale na dodatek drwiłem z niego, iż przegrał z takim młodym kogucikiem jak ja. Dżentelmen przyjął to źle. Kiedy wyszedłem z domu gry, zaczepił mnie na ulicy i z miejsca wyzwiał na pojedynek. Jako że był o dziesięć lat starszy ode mnie, Włoch, i na dodatek dobrze władał szablą, miałem w starciu z nim niewielkie szanse i byłbym niechybnie zginął, gdyby nie Monty. Przeczuwając kłopoty, wyszedł za nami. Obronił mnie tak skutecznie, że następnego ranka dżentelmen zmarł, ja zaś wraz z twoją rodziną, Jamie, byłem zmuszony opuścić Florencję na rzecz bardziej sprzyjającego klimatu Lyonu. Tam Monty podjął się mojej edukacji w dziedzinie szermierki oraz dobrych manier. Nigdy nie zapomniałem tych lekcji. Skoro uczył pana mój ojciec - powiedział Jamie - nie zapomni pan tej nauki do końca życia.

Lord Northbridge z powagą skinął głową.

To prawda. Kiedy moja podróż dobiegła końca, utrzymywaliśmy bardzo regularną korespondencję. Był nawet w Anglii jakieś trzy lata temu, kiedy jego ojciec miał atak i spędziliśmy razem parę dni zanim wrócił do... Zdaje się, że był pan wtedy w Hiszpanii. W ten sposób, mam nadzieję, historia moich związków z pańskim ojcem została pomyślnie wyjaśniona.

W godny podziwu sposób - przyświadczył Jamie.

Rozliczył się pan z tego bardzo dobrze, sir - zgodziła się Isabel.

Nie przypominam sobie - podjął księżę, zwracając się do niej -by Monty kiedykolwiek wspominał o wiernym towarzyszu Jamiego.

Na moją prośbę - powiedziała Isabel niedbale. - Wiedział, że są w Anglii jacyś ludzie ciekawi mojego miejsca pobytu, a ja nie miałem chęci, by je odkryli. Przypuszczam, że z zasady nie wspominał o mnie komukolwiek.

Czy popełnił pan jakąś zbrodnię już w kołysce?

Nie, sir, w szkole.

Księżę spojrzał na nią twardo.

Nie wyjaśni pan tego, prawda?

- Nie widzę potrzeby - Isabel wzruszyła ramionami. Zawsze była dumna z tego, jak doskonale potrafi ukryć strach. Podejrzewała, że skoro tylko wypowie swoje prawdziwe nazwisko, księżę będzie wiedział wszystko. Nie mogła do tego dopuścić. Życie Jamiego było w jej rękach, a jej własne życie zależało od zachowania tajemnicy. - Monty poręczył moją zdolność do tego, by ochronić Jamiego, podobnie jak poręczył pańską. Czy nie możemy ufać sobie nawzajem, polegając na jego referencjach?

- Jak pan sobie życzy - skłonił głowę księżę. W błękitnych oczach można było jednak dostrzec ciekawość i determinację, które Isabel zdecydowanie się nie podobały.

3

7 maja 1804 roku, wczesne popołudnie
okolice Bardon Hill, Leicestershire

Isabel wyjrzała przez okno powozu, za którym majaczył poprzez mgłę przesiąknięty wilgocią szarozielony masyw Bardon Hill. Od czterech dni byli w drodze, z czego przez trzy nieprzerwanie padało, w rezultacie więc ich podróż często sprowadzała się do pełznięcia pod górę po fatalnie utrzymanej drodze. Przebyli dopiero połowę odcinka prowadzącego przez las Charnwood.

Powinni już do tej pory być w Yorkshire. No, ale od upływu terminu sukcesji Thornwynd dzieliło ich jeszcze całe dziewięć dni. Mnóstwo czasu, żeby dojechać do Lancashire i Thornwynd. Nie ma co się martwić. .. a w każdym razie nie za bardzo.

- Dwa asy - powiedział książę Northbridge.

Ukradkiem przyjrzała się siedzącemu naprzeciw księciu, wpatrzonemu w talię kart. W ostatnich dniach coraz bardziej zajmowało ją obserwowanie Jego Niezwykłości.

Szczególnie lubiła siedzieć z nim przy obiedzie, gdy światło lampy padało na jego płowe włosy, a cienie zmiękczały rysy twarzy, tak że na moment zapominała o braku zaufania.

Dziś miał na sobie błękitny surdut z niezwykle delikatnej materii, uwydatniający jego potężne barki. Żółte bryczesy opinały długie, muskularne nogi. Włosy lśniły w bladym świetle popołudnia. Mówiąc krótko, był niezwykle przystojnym mężczyzną; modnym, ale bez ostentacji. I tak doskonale grał w pikietę...

To za mało przeciwko moim trzem królowym, Brett. Książę zajął do jej talii.

Skąd pan wzięł tę trzecią królową?

Był pan tak uprzejmy, że dał mi ją przy rozdaniu, sir. Bardzo to nieroztropne z pańskiej strony - odparła Isabel, chowając do kieszeni pieniądze ze stojącego pomiędzy nimi stolika.

No to jeszcze raz jesteśmy kwita - książę zaczął tasować karty. - Jak pan to jednak wykoncypował, paniczu?

Myślę, że jesteśmy siebie warci, sir.

A ja przez całe lata myślałem, że pikietą to moja mocna strona - mruknął książę.

Ależ jest tak w istocie ~ zapewniła go Isabel. - Zna pan niesamowitą liczbę wszelakich tricków. Moim nauczycielem był jednak Monty, a to wiele znaczy.

Zbyt wiele - uśmiechnął się książę.

Uśmiechał się ostatnio coraz częściej, a uśmiech miał naprawdę uroczy; rozjaśniał jego twarz, usuwając z niej wszelki cień apodyktyczności. Gdyby tak udało się znaleźć sposób na to, żeby się roześmiał... Ciekawa była, jak brzmi jego śmiech. Nie mogła jednak pozbyć się resztek rezerwy.

A jak panu idzie w wista? - spytał Brett.

Och, zdecydowanie wolę go niż pikietę - zapewniła beztrąsko Isabel.

Brett wpatrywał się w nią przez chwilę.

Czy ma pan siostrę?

Nie - odparła zaskoczona Isabel.

Szkoda.

Wrócił do tasowania kart. Dał się słyszeć daleki odgłos grzmotu.

Pogoda była nieprzyjemna, ale bynajmniej nie towarzystwo. Lord Northbridge, Isabel i Jamie byli już trójką dobranych przyjaciół. Jamie szybko doprowadził do tego, że zaczęli sobie mówić po imieniu. Książę był dla nich obecnie Brettem, oni zaś dla niego - Jackiem i Jamiem. Grali w karty i w kości, ale przede wszystkim rozmawiali - zwłaszcza Jamie i Brett. Isabel, wciąż czując na sobie badawcze spojrzenie błękitnych oczu księcia, starała się mówić o sobie jak najmniej.

Brett i Jamie omawiali zatem liczne miejsca, jakie zdarzyło im się odwiedzić na kontynencie, wojnę z Napoleonem, a także trudności jakie napotkali Shipleyowie wraz z Jackiem, gdy przemieszczali się z miejsca na miejsce przed frontem armii francuskiej czy austriackiej, które czasami ich zagarniały. Monty, jak zwykle, każdą trudność potrafił obrócić na własną korzyść.

Z Isabel dyskutował Brett o literaturze. O tym, owszem, mogła rozmawiać. Okazało się, że mają podobne upodobania w dziedzinie poezji, całkowicie odmienne natomiast, jeśli chodzi o sztuki teatralne. Isabel bez wstydu wyznała, że ma słabość do komedii i romansów, podczas gdy Brett preferował tragedię i dramat.

Te dyskusje to były chwile, które Isabel lubiła najbardziej. Aczkolwiek książę uważał ją za młodzieńca o wiele mniej wykształconego i doświadczonego niż on sam, rozmawiał z nią jak z kimś równym. Niejednokrotnie dałaby się ukołysać rytmowi jego wymowy, gdyby nie chęć przedłużenia przyjemności, jaką dawały jej te słowne potyczki. Tak łatwo przychodziło jej śmiać się w obecności księcia, iż miała wrażenie, że zna go całe życie.

Jedynym źródłem niezgody było przekonanie Isabel, że to ona powinna wyznaczać drogę do Lancashire, a nie książę. Była to codzienna, często ostra, walka, gdyż książę nie mógł znieść tego, że wydaje mu polecenia jakiś żółtodziób, jak nazywał Isabel. Wciąż na nowo podkreślał swoje wieloletnie doświadczenie, wykształcenie, doskonałą znajomość kraju... Daremnie. Wiele lat temu Isabel złożyła swe życie w ręce Monty'ego i zyskała dzięki temu niejaki poczucie bezpieczeństwa. Nie miała zamiaru z tego zrezygnować. Każda potyczka kończyła się więc tak, że choć książę groził, iż zwiąże i zaknebluje upartego młodzieńca, a nawet posieka, jechali dalej szlakiem jaki wyznaczył Monty. Isabel była jednak dość rozsądna, by nie prowokować Bretta w jakiegokolwiek innej ważnej sprawie. Tak więc, na życzenie Bretta, zatrzymywali się każdej nocy w zajeździe, Isabel więc mogła codziennie zażywać rozkoszy kąpieli. Jamie, siedząc obok Isabel, chrupał jabłko i przyglądał się, jak Brett zręcznie rozdaje karty. - Nie sądzę, żeby Jack panu wspominał, jak to którejs nocy w należącym do ojca domu gry w Brukseli wygrał pięćdziesiąt tysięcy guldenów od barona Erslitza? To była pikieta, prawda, Jack?

Brett spokojnie odchylił się na oparcie i utkwiał wzrok w talii kart.

- Myślałem, że gram z szulerem.

- Wręcz przeciwnie - Isabel zmarszczyła brwi. - Jestem jedynie wilkiem, który od czasu do czasu przebiera się za owieczkę. Baron zanadto oskubał jednego z najlepszych przyjaciół Monty'ego. Monty poprosił mnie, żebym się tym zajął, no więc się zająłem. Sporo żądał od pana w ciągu tych lat - zauważył Brett, spoglądając na nią znad kart. - Mam piątkę.

Nie więcej, niż byłem gotów zrobić, sir. Pas.

Czy kareta wygrywa?

Wszystko jest możliwe na tym świecie, Brett. Co ją bije?

No jak to, mocna dziewiątka, rzecz jasna.

Niestety, sir. Mam czwórkę waletów.

Co za szkoda. Dwie dziesiątki wystarczą?

O tak, niewątpliwie... wystarczyłyby, gdyby nie to, że mam dwa króle.

Czemuż Monty nigdy nie wziął mnie pod swoją opiekę? - westchnął książę.

Isabel uśmiechnęła się do niego uprzejmie.

Moja kolej, jak sądzę. Mam szóstkę.

Niezwykle celne posunięcie - ocenił Jamie, gdy Isabel zbierała karty.

I niezwykle proste - dodał Brett. - Czy nie zamierza pan przypadkiem opróżnić moich kieszeni, tak jak zrobił to pan w przypadku barona Erslitza tamtej pamiętnej nocy?

Wciąż próbuję, Brett, ale nie chce mi pan wyświadczyć tej grzeczności. Nielatwo wyprowadzić pana w pole tak jak barona... I nie traci pan tak szybko głowy. Pod koniec był tak rozdrażniony, że postawił wszystko na jedną kartę. To było niemal krępujące, zabierać mu pieniądze.

A nie było krępujące pracować w domu gry?

Isabel spojrzała na Bretta, zaskoczona.

Dlaczego? Przecież to jeden z najlepszych domów gry w Europie.

Monty zawsze bardzo dbał o to, kto nas odwiedza - wyjaśnił Jamie. - Byli to wyłącznie ludzie bogaci i utytułowani.

Ale to chyba nie najlepsze środowisko dla młodego chłopca - zauważył Brett cokolwiek surowo. - A raczej dwóch młodych chłopców gdyż, jak zrozumiałem, ty także nie pozostawałeś za kulisami.

Pełniłem funkcję lokaja albo kelnera, zależnie od miasta - Jamie wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Miałem dzięki temu okazję podsłuchać wiele rozmów, z których skorzystałem nieskończenie wiele.

Szczególny system wychowawczy, mówiąc oględnie - mruknął Brett. Na moment jego błękitne spojrzenie zatrzymało się na twarzy Isabel.

Wzruszyła ramionami.

Jestem mu za to wdzięczny. Dzięki temu dowiedziałem się, jak funkcjonuje ten świat, i nauczyłem twardo stać na własnych nogach. Byłem krupierem, piekarzem, muzykiem, dziedzicem księstwa, aktorem w wędrownym trupie, lokajem, żołnierzem i akrobatą, między innymi.

Odwaga, zręczność, inteligencja. Dobrze to pasuje do pańskiej obecnej roli, mój chłopcze.

Zaszczyca mnie pan, sir - Isabel ze wszystkich sił starała się nie zarumienić.

Pomimo całej ostrożności, jaką starała się zachować, wciąż rosnąca uwaga księcia wobec młodzieńca, którego grała, zarówno cieszyła ją, jak i sprawiała kłopot. Zaczynała bowiem reagować na jego pochwały nie jak chłopak, a jak kobieta, którą czuła się w jego obecności. W ciągu długiej kariery u boku Monty'ego coś podobnego nigdy jej się nie zdarzyło. Nie wiedziała, co z tym począć.

Powinna powiedzieć Brettowi prawdę. Obawiała się jednak, że jeśli ujawni, iż jest

kobietą, zniknie to miłe koleżeństwo, które ich obecnie łączyło. Lubiła błysk respektu w jego błękitnych oczach, gdy wygrywała w karty, albo gdy komentowała jego opinie o literaturze. Podobało się jej, że walczy z nią jak z równorzędnym partnerem.

A kiedy dowie się, że jest kobietą? Wykluczone, by wtedy traktował ją jak równą sobie. Dżentelmen o takiej pozycji i fortunie, a co więcej, tak niezwykle poprawny jak Brett, mógłby wyłącznie ubolewać nad jej oszustwem. Niewątpliwie ma bardzo zdecydowane przekonania co do tego, jakie zachowania, postawy i poglądy przystoją młodej, dobrze wychowanej kobiecie. Isabel podejrzewała, że wypadłaby źle pod każdym względem. Choć знаła księcia zaledwie pięć dni, liczyła się z jego opinią i nie chciała narazić się na negatywną ocenę. Nie znaczy to, że zaczynała być wobec niego tendre; Isabel pochlebiała sobie, że ma na to za dużo zdrowego rozsądku. Te pięć dni w jego towarzystwie sprawiły jednak, że doceniała jego liczne zalety, a miała w sobie dosyć dumy, by pragnąć, aby i on cenił ją i szanował.

Pod koniec następnej partii zgarnęła więc jego pieniądze.

- Jeszcze bardziej bezlitosny z pana gracz - poskarżył się książę - niż kuzyn Jamiego, Nigel Clark.

Isabel podniosła wzrok znad tasowanych kart. Uderzyła ją w księciu jakaś zmiana. Mam nadzieję, że nie zarzuca mi pan wrogości, którą, jak się zdaje, przypisuje pan Clarkowi?

Nie, nie, chłopcze, skądże znowu - uspokoił ją Brett, poprawiając sygnet na małym palcu.

- Nienawidzicie się z moim kuzynem? - spytał Jamie.

Brett zastanawiał się przez chwilę.

- Jest to raczej wzajemna umowa co do tego, by czuć do siebie niechęć.

Isabel poczuła dreszcz. Dzięki Bogu, pomyślała żarliwie, że książę nie widzi w niej wroga.

Coś pan ukrywa. Proszę powiedzieć nam wszystko! - poprosił Jamie impulsywnie.

Nigdy - sprzeciwił się ostro Brett. - Dżentelmen nie opowiada takich...

- Ciagniemy karty? - zaproponowała Isabel. - Ten, kto przegra, odpowiada na każde pytanie drugiej strony.

Książę wpatrywał się w nią przez chwilę. Oboje wiedzieli, jak bardzo chciałby zapytać ją o jej przeszłość... Wyciągnął dłoń i przełożył podaną talię. Walet. Isabel beztrąsko otworzyła dłoń, ukazując króla. O to chodziło.

- No dobrze - zgodził się smętnie Brett. - Clark ożenił się z moją znajomą, dziewczyną, którą znałem i podziwiałem od dzieciństwa. Był dla niej złym mężem. Uciekła od niego w śmierć... przy porodzie. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Jamie wpatrywał się w niego przez chwilę.

Nie sądzę, żebym polubił mojego kuzyna Nigela - powiedział w końcu.

Będziesz jednak musiał, niestety, widywać się z nim dość często - odparł Brett. -

Zarządzał Thornwynd przez ostatnie trzy lata życia twojego dziadka, a obecnie robi to nadal jako egzekutor testamentu sir Barnaby.

Ale kiedy ja obejmę Thornwynd, mój kuzyn przestanie cokolwiek znaczyć.

Wręcz przeciwnie - zaproponował Brett. - Doświadczenie Clarka w sprawach Thornwynd może ci się bardzo przydać. Nigdy nie należy lekceważyć cudzego doświadczenia, które

mamy w zasięgu ręki, żółtodziobie.

To znaczy, że odnosi się pan uprzejmie do wrogów? - spytała Isabel.

O tyle, o ile uważam to za korzystne dla siebie - błękitne oczy Bretta patrzyły zimno.

Isabel starała się ukryć drżenie. Czyżby jego uprzejmość wobec niej i Jamiego to była wyłącznie poza, przyjęta ze względu na jakiś nie znany jej cel? Często przyłapywała go na tym, że wpatruje się w Jamiego z lekką zmarszczką między brwiami. A ona sama? Czowała, że i ją bacznie obserwuje... Znowu zadrżała. Nic niepomysłnego jak dotąd się nie zdarzyło, niemniej nie mogła się uwolnić od myśli: jak dalece bezpieczni są w jego towarzystwie?

Czy mój kuzyn będzie obecny na ceremonii przejęcia dziedzictwa? - spytał Jamie.

Jest do tego zobowiązany jako następny w kolejności męski spadkobierca.

I kto jeszcze będzie obecny? - spytała Isabel w nadziei, że rozproszy w ten sposób ów nieoczekiwany i niezrozumiały niepokój, który ją drażył.

Niewątpliwie sir Henry Bevins, miejscowy sędzia - odparł Brett. - Oprócz tego lord Farbel, najbliższy sąsiad Thornwynd, wielbny Dillingham, duchowny z parafii, a także pan Babcock.

Karty wysliznęły się z rąk Isabel. Zbladła. Czowała się tak, jakby krew odpłynęła z jej ciała. Babcock? - udało się jej powiedzieć, gdy pospiesznie zbierała rozsypane karty. - Monty powiedział, że to ma być Davenport, a nie Babcock.

Davenport sprzedał swoją posiadłość Babcockowi dwa lata temu - odparł Brett. - Zna pan Babcocków?

O, tak, pomyślała ponuro Isabel. Jednego z nich nawet zabiłam.

Słyszałem o nich, ale raczej w związku z Yorkshire niż Lancashire. Myślę, że to... trudni ludzie.

Nie dziwiłbym się. Znam jedynie Jonasza Babcocka i bynajmniej nie czuję do niego sympatii. Bezwzględny dla służby, dla dzierżawców...

Jonasz? - spytała Isabel, desperacko wpatrując się w karty.

Jonasz Babcock, Jack! - rzucił niecierpliwie Jamie. - Nie słuchasz, czy co?

To te karty mnie rozpraszają- powiedziała Isabel opanowanym głosem. O Boże, Jonasz Babcock, brat człowieka, którego zabiła! Bez wątplenia rozpozna ją, obojętne, czy będzie ubrana jak kobieta, czy jak mężczyzna. Spotkała go parę razy w domu ojczyma. Jonasz będzie miał coś do powiedzenia nie tylko w sprawie sukcesji Jamiego, będzie miał coś do powiedzenia również w sprawie jej śmierci! Im bliżej do Lancashire, tym bliżej do szubienicy!

Monty o tym nie wiedział. Nie mógł wiedzieć! Nie mianowałby jej wówczas opiekunem Jamiego i zabroniłby jechać do Anglii, gdzie czekał ją pewny areszt i śmierć. Powierzyłby ten obowiązek Dickowi Rowanowi, jej zaś nakazałby pozostać na kontynencie.

To ona była jednak opiekunem Jamiego, i nie miał znaczenia fakt, że znajdował się on obecnie w towarzystwie księcia Northbridge. Nie mogła ufać księciu, że ochroni Jamiego tak jak ona. Cóż może wiedzieć poważany członek socjety o lotroństwach tego świata? A zresztą czy mogła w ogóle ufać temu księciu, który miał swoje własne tajemnice?

Tkwiała w pułapce. To nie była obawa, iż zostanie odkryta; to była pewność. Ze względu na przywiązanie i lojalność wobec obu Shipley-ów nie może jednak porzucić teraz

Jamiego, by ratować własną skórę. Musi go dowieźć do Thornwynd, być świadkiem oficjalnego zaprzysiężenia go jako baroneta, a potem uciec jakoś z kraju, zanim Jonasz Babcock wsadzi ją do więzienia.

Jak to zrobić, nie miała na razie pojęcia. Zostało jeszcze parę dni, by coś wymyślić. Gdyby tylko mogła uwolnić się od tego przerażenia, które ścinało jej serce! Zdawało się jej, że znów ma trzynaście lat i kuli się ze strachu w domu Hirma Babcocka. Ledwie mogła przypomnieć sobie kobietę, jaką stała się później - dzięki Monty'emu.

Zmusiła się, by wziąć głęboki oddech. Panika nie pomoże ani jej, ani Jamiemu. Musi w jakiś sposób dotrzymać danej Monty'emu obietnicy, bez względu na koszty. A póki co, nie wolno nic mówić Jamiemu. Jamie wie o nakazie aresztowania, ale nie o morderstwie. Nie będzie obarczać go swoimi zmartwieniami, ma on wystarczająco dużo własnych. Musi się znaleźć jakiś sposób ucieczki. Gdyby tylko mogła spokojnie pomyśleć!

Jeszcze jedna partyjka, sir? - spytała, gdy Brett schował do kieszeni wygraną.

Nie, dzięki - Brett odchylił się na oparcie. - Pańska gra jest zbyt wyrafinowana, paniczku Jack. Muszę pozwolić odetchnąć mojemu umysłowi.

Nie kupiłbym podobnego stwierdzenia za całe złoto chrześcijańskiego świata - zareplikowała Isabel, z wdzięcznością odkładając karty.

Błękitne oczy przewierciły ją na wylot.

Wątpi pan w swoje umiejętności, Jack?

Nic podobnego - odparła lekko Isabel, walcząc z zakłopotaniem, w jakie zawsze wprawiał ją ten badawczy wzrok. ~ Mam ogromne zaufanie do swoich umiejętności, podobnie jak nie wątpię w pańską zdolność do tego, by grać w pikietę dwadzieścia cztery godziny bez przerwy. Nie dam się nabrać na tak lichy wybieg. Musi pan rzeczywiście wyostrzyć swój dowcip!

Zostałem rozszyfrowany - wyrzekł książę tragicznym tonem.

Jack to niezwykle mądry chłopak - zauważył Jamie.

Isabel pozwoliła sobie na uśmiech, po czym wpatrzyła się w deszcz za oknem. Jonasz Babcock, Jonasz Babcock, Jonasz Babcock, stukały o szybę krople.

Ten czwarty dzień wspólnej podróży był równie szary i wilgotny jak trzeci. Idealnie pasował do jej nastroju. Jak bardzo chciałaby móc pofolgować swoim nerwom! Musiała jednak odegrać wyznaczoną rolę, spełnić obietnicę. Do roboty, dziewczyno - mruknęła do siebie. Wyciągnęła z kieszeni włoski orzech i zgmiotła go w swoich smukłych palcach.

Miała nadzieję, że Brett zauważył ten typowo męski wyczyn.

Doprawdy - powiedziała, pozorując szerokie ziewnięcie - gdybym wiedział, że ta podróż przez Anglię będzie tak wygodna i tak mało kłopotliwa, włożyłbym szlafmycę i przespał całą drogę.

Czyżby osłabiał pan swą czujność, młody protektorze? - spytał Brett.

Pojazd o tak doskonałych resorach jak ten z pewnością powoduje senność... Obserwuję jednak uważnie otoczenie i nie zauważyłem, by ktokolwiek jechał naszym śladem. Mam pewną, choć niewielką nadzieję, że i w dalszej drodze nic się nie wydarzy. Może pan zostawić powóz pod naszą opieką i wracać do Londynu, by zażywać tam rozkoszy, zamiast nudzić się na tym przesiąkniętym deszczem odludziu.

Czy zauważyłeś - zwrócił się Brett do Jamiego - że nie ma dnia, by Jack nie próbował

pozbawić cię mojego towarzystwa?

Bardzo to nieładnie z jego strony - ocenił Jamie. - Wykazuje w ten sposób brak choćby cienia wdzięczności za liczne uprzejmości, jakie nam pan wyświadczył. Wczoraj wieczorem zafundował nam pan wspaniałą kolację, sir, a dzisiejszym śniadaniem najedliśmy się po uszy.

Jack zaprosił nas za to na obiad - zauważył ksiązę. - Moglibyśmy podróżować ze znacznie lżejszymi sakiewkami; jestem pewien, że Jack zadbałby o wszystko.

Wystarczy, że Monty kazał panu poświęcić czas i bezpieczeństwo, angażując pana w charakterze naszej eskorty - odcięła się Isabel. - Nie widzę powodu, by poświęcał pan także swój majątek.

Wytrzymałbym i to obciążenie - uśmiechnął się ksiązę.

Czy jest pan bardzo bogaty, kuratorze? - spytał Jamie.

Brett wpatrywał się w niego przez moment.

Niezwykle bogaty, mój wychowanku.

Cóż za radość! Wobec tego żywię nadzieję na obfite przydziały pieniężne.

Nabieram przekonania - powiedział ksiązę ponuro - iż dobrze się stało, że sir Barnaba nigdy cię nie poznał, James.

A to dlaczego, sir? - spytał Jamie, bynajmniej nie zmieszany.

Twój język sprawiłby, że zostałbyś wydziedziczony, zanim skończyłbyś dziesięć lat.

No cóż - uśmiechnął się Jamie - tak to bywa w rodzinie.

Coraz bardziej żałuję sir Barnaby - ciągnął ze współczuciem Brett. - Czy jest drugi człowiek, którego los pokarałby takimi synami jak Horacy i Montague? Pierwszy to łajdak, drugi - gorąca głowa, w której więcej było samowoli niż rozsądku. Sir Barnaba wydziedziczył Horacego i wygnał na kontynent, tak jak zrobiłby każdy człowiek honoru, po czym zwrócił się w poszukiwaniu synowskiej miłości ku drugiemu potomkowi - i co znalazł?

Wyrostka, który nie znosi jakiegokolwiek kontroli nad sobą? - podsunęła łagodnie Isabel.

Książę uśmiechnął się.

- Niewdzięcznego, nieodpowiedzialnego diabła, który wściekał się o byle głupstwo i w końcu też uciekł na kontynent, pozostawiając sir Barnabie na pociechę tylko jedną córkę. Niewielką miał zresztą z Marii pociechę.

Czy to jakaś harpia? - spytała z zainteresowaniem Isabel.

Cierpiała na wapory.

O, Boże - powiedziała Isabel z niesmakiem.

No właśnie.

Współczułbym mojemu dziadkowi - odezwał się Jamie - gdybym nie wiedział, że był swarliwym starym piernikiem, zbyt skupionym na sobie, by brać pod uwagę czyjekolwiek opinie czy pragnienia.

Trochę jak ksiązę Northbridge - zauważyła ze słodkim uśmiechem Isabel.

Będę musiał sprać pana któregoś dnia - poinformował ją ksiązę miłym tonem.

Uśmiechnęła się do niego i zgniotła następny orzech. Nagle powóz gwałtownie przechylił się na bok i stanął. Isabel i Jamie momentalnie chwycili za pistolety. Brett uniósł zapadkę przy suficie.

Co się stało, Dawkins?

Zdaje się, że jeden z koni zgubił podkowę, sir - odparł woźnica.

Raczej błoto ją wessało - ocenił książe. - Wyjdę i pomogę ci.

Niech pan będzie ostrożny, Brett, proszę - Isabel próbowała uciszyć gwałtowne bicie serca.

Posłał jej szybki uśmiech i wyszedł z powozu na zewnątrz. Wrócił po minucie, cały przemoczony.

- Jeden z prowadzących koni zgubił podkowę i niedługo okuleje. Jedziemy dalej pańską trasą, Jack. Musimy wymienić ten zaprzęg najszybciej jak się da. Gdzie trzeba skręcić? Isabel dawno nauczyła się wskazówek Monty'ego na pamięć.

Zaraz za Bardon Hill jest wiejska droga, która zaprowadzi nas do Lennox. Ale to jakieś piętnaście kilometrów, obawiam się. Czy koń wytrzyma?

Chyba tak. To silna bestia. W tym deszczu dotrzemy do Lennox za godzinę lub dwie.

Książe wspiał się do wnętrza powozu. Tonąc w błocie, dotarli do miejscowości większej niż te, które dotąd spotykali na trasie. Lennox mogło się poszczycić dwoma czy trzema znakomitymi rodami i sporą liczbą modnych sklepów. Ciemnozielony ekwipaż podjechał, turkocząc, do dużego, przysadzistego budynku, w którym mieścił się zajazd. Deszcz osłabił tymczasem i zmienił się w delikatną mżawkę.

Przyjemne miasto - rzekł Jamie. - Chyba trochę rozprostuję nogi, zanim załatwicie sprawę.

Bądź ostrożny, Jamie - ostrzegła go Isabel.

Jak zwykle - uśmiechnął się i przeszedł na drugą stronę zabłoconej ulicy.

Ja się zajmę końmi, Brett - powiedziała Isabel. - Ma pan dłuższe nogi niż Jamie i z pewnością też potrzebuje pan je rozprostować.

Jak pan sobie życzy - książe westchnął ze znużeniem i ruszył w kierunku księgarenki.

Isabel z niejaką ulgą odetchnęła świeżym, przesyconym wilgocią powietrzem. Przez jakiś czas będzie mogła uciec od myśli o Jonaszu Babcocku i od zamknięcia w ciasnym wnętrzu powozu.

Zgodzenie koni na następny etap podróży zajęło jej parę minut. Zadowolona z transakcji, ufna, że Dawkins zajmie się jak należy ich zaprzężeniem, przypomniała sobie o sklepach, które mijali. Nieźle by było kupić sobie nową koszulę czy dwie... Pokonawszy zalegające ulicę błoto, które przylepiało się z cmokaniem do jej wysokich butów, spędziła kwadrans na oglądaniu wyłożonych w witrynach towarów. Lennox, aczkolwiek położone prawie dwieście mil od Londynu, mogło się poszczycić sklepikarzami o zupełnie niezłym guście.

Nabyła trzy nowe koszule, elegancki surdut do konnej jazdy i stosowną parę pantalonów. Wyszła na ulicę i rozejrzała się. Nigdzie nie było widać Jamiego. Przeszyta nagłym niepokojem, ruszyła za róg ulicy... i zobaczyła go, jak stoi tyłem do niej, twarzą zwrócony w kierunku grubego mężczyzny, który mierzy do niego z pistoletu.

Serce załomotało jak oszalałe. To był ich szczerbaty prześladowca z dnia, kiedy po raz pierwszy spotkali Brettą!

Chyłkiem skoczyła z powrotem za róg, dysząc ciężko. Upuściła świeżo nabyte rzeczy na drewniany chodnik i rzuciła się za pobliską ścianę sklepu. Zastrzelenie grubego mogło

niepotrzebnie zwrócić na nich uwagę otoczenia. Łotr pewnie miał w tym mieście kompanów.

Rozpaczliwie wpatrywała się w błoto, w poszukiwaniu czegoś stosownego. W końcu znalazła spory głaz. Okrążyła budynek. Złoczyńca stał teraz tyłem do niej, Jamie zaś przodem. Zobaczył ją, tak jak na to liczyła, ale nawet drgnięciem powieki nie zdradził się, że ją widzi.

- Przyniesiesz mi niezły pieniądz, mój chłopcze - mówił szczerbaty. - Dość, żeby wynagrodzić mi wszystkie kłopoty, które...

Nie skończył. Isabel cisnęła kamieniem, trafiając go w skroń. Z jękiem upadł na kolana. Wtedy z całej siły walnęła go w głowę rękojeścią pistoletu. Jak worek zwałił się na ziemię.

Jednym wytężonym szarpnięciem przewróciła go na plecy, żeby nie udusił się błotem. Sprawdziła puls: był równy i mocny. Nie umrze. Ale i nie obudzi się przez co najmniej godzinę.

- Co tak długo cię nie było? - spytał Jamie, podchodząc do niej niespiesznym krokiem. Zdaje się, że miałeś być ostrożny! - wybuchnęła Isabel. Jamie zaczerwienił się. Jakoś go... nie zauważyłem.

Módl się, żeby nie przydarzyło ci się to jeszcze raz - warknęła.

- Przepraszam, Isabel - powiedział spokojnie Jamie. - Będę uważał. Ale jak do diabła nas tu znalazł?

Oddech Isabel powoli się uspokajał. Tak nieoczekiwanie otarli się o śmiertelne niebezpieczeństwo!

- Albo jechał naszym śladem - co wydaje mi się mało prawdopodobne, bo pilnie obserwowałam drogę - albo, znając cel naszej podróży i dostępne drogi, domyślił się, że musimy przejeżdżać przez Lennox. Są inne, trudniejsze trasy prowadzące do tego miasta. Na dobrym koniu można się przedrzeć, jak się bardzo chce, pomimo błota. Zawrócili w kierunku zajazdu.

Czy jest z nim ktoś jeszcze? - spytał Jamie.

Nie sądzę - odparła Isabel, zbierając z chodnika swoje pakunki lekko drżącymi rękami. Mieć głowę nabitą nowymi ubraniami, kiedy powinna myśleć o zagrożeniu! Ależ by ją Monty zbeształ! - Dwukrotnie pokonany, ten bandzior wiedział, że nie jesteśmy łatwym łupem. Gdyby istnieli jacyś inni, byłiby tu z nim teraz. Niewątpliwie kontaktuje się z twoim wujem, listownie albo przez posłańca. Prawdopodobnie pogoda opóźniła posiłki, których oczekiwał.

To całkiem możliwe. Nadal grozi nam niebezpieczeństwo. Myślisz, że powiedział mojemu wujowi o Brezie?

Niewykluczone. Musiał opisać nas i naszą trasę, żeby zapewnić pojmanie nas, gdyby jemu się nie udało.

Najważniejsza wydaje się wobec tego zmiana kostiumów.

Tak - powiedziała głucho Isabel. Jak ona to wyjaśni Brettowi? Nie miała pojęcia. - Muszę włożyć strój kobiecy, i ty też potrzebujesz stosownego przebrania. Zabierz te pakunki do powozu i zostań z Dawkinsem, dopóki nie wrócę. Muszę zaryzykować wizytę w „Damskim Imperium” Greya. Nie zabawię długo.

- Co mam powiedzieć Brettowi?

Isabel poczuła wewnętrzny dreszcz.

- Na razie nie mów nic. Wynajmij pokój w zajęzdzie i zadbaj o własny kostium. Niedługo do was dołączę.

Z dwiema nowymi książkami pod pachą Brett wrócił do zajazdu. Na podwórzu stało parę ekwipaży. Dawkins siedział na koźle; cztery nowe, potężne niczym lwy gniadosze wprost rwały się do drogi.

Gdzie jest ten berbec i panicz Jack, Dawkins?

Panicz Jamie powiedział, że chce się trochę oczyścić z błota, zanim ruszymy dalej, sir. Powinien zaraz być gotów. Panicz Jack jeszcze nie wrócił.

Brett spojrzał ostro na woźnicę.

Obawiasz się kłopotów?

Skądże, sir - zapewnił Dawkins. - To roztropny młody dżentelmen. Na pewno niedługo się pojawi.

Niewątpliwie masz rację. No dobrze, skoro czekamy, mogę się uraczyć szklanką piwa. Wszedł do zajazdu i przedarł się przez tłum do szynkwasu. Po dziesięciu minutach znowu lunął deszcz. Książę wysączył resztkę doskonałego napoju i skierował się ku wyjściu.

Powstrzymał go tłok przy drzwiach. Jakiś duchowny i jego liczna rodzina usiłowali wyjść wszyscy naraz. Kiedy się w końcu rozdzielili i zdołali wydostać, bezceremonialnie odepchnął Brett korpułentny ziemianin. Gdy wreszcie zobaczył w prześwicie drzwi światło dnia, napadł na niego starszy dżentelmen, przypominając mu o manierach i nakazując, by przepuścił damę.

Brett posłusznie odstepił na bok i z pewnym zaciekawieniem przyjrzał się wchodzącej parze. Starszy mężczyzna, zgięty wiekiem i reumatyzmem, sięgał mu zaledwie pierwszego guzika od kamizelki. Na głowie miał bujną grzywę białych włosów, na twarzy zaś - jeszcze bujniejsze wiechy białych wąsów. Choć kruchy był i zgrzybiały, niezwykła energia ożywiła jego starcze członki.

- Do tyłu, mówię! - zaskrzeczał zrzędlawie, wymierzając cios laską w nogę Brett'a.

Książę Northbridge uchylił się zręcznie, unikając uderzenia, i spojrzał na kobietę, z powodu której o mało nie został okaleczony. Była wysoka i wiotka, o obfitych czarnych lokach okalających twarz, chyba urodziwą, o ile mógł się domyślać, gdyż, najwyraźniej onieśmielona, uparcie wpatrywała się w podłogę. Modna zielona suknia podróżna uwydatniała kobiece kształty.

Poczuł dreszcz podziwu. Nie widział wyraźnie twarzy nieznajomej, mógł dostrzec jedynie lekki rumieniec na policzkach; pomimo to, stwierdził z zaskoczeniem, był w stanie bez trudu wyobrazić sobie resztę. Z pewnością ma pełne wargi, lśniąco oczy o inteligentnym, pozbawionym śladu kokieterii spojrzeniu... A głos? Niewątpliwie... zmysłowy.

Przez chwilę Brett nie poznawał samego siebie. Nieprzywykły do podobnych ukłuc emocji, był w stanie jedynie wpatrywać się w starego dżentelmena, który, nie spuszczać z księcia groźnego spojrzenia, wyprowadzał młodą kobietę na zewnątrz. Zawiedziony i rozdrażniony, niepewny co robić, zdołał w końcu wyjść na podwórko. Nigdzie nie było widać oryginalnej pary.

Psiakrew! - zaklął pod nosem. Dawkins czekał na koźle z ponurą miną.

Wrócili? - spytał Brett.

A jakże - mruknął Dawkins - wrócili, wrócili. Przyzwyczajony do nieustannego ponuractwa woźnicy, Brett skinął

jedynie głową i pozwolił, by chłopiec stajenny otworzył mu drzwiczki powozu.

Doznał szoku. Zamiast dwóch młodzieńców, których spodziewał się wewnątrz zastać, zobaczył starego dżentelmena o obfitych wąsach i czarującą młodą niewiastę w modnej, zielonej podróżnej sukni.

- Zaniknij usta, Brett, i wsiadaj - powiedziała zjawa. – Wyjaśnimy ci wszystko po drodze.

4

7 maja 1804 roku, popołudnie

Lennox, Leicestershire

Brett zamknął usta i wspiął się po stopniach do wnętrza powozu, gdzie został popchnięty na siedzenie. Dawkins strzelił z bata. Ruszyli.

- A Jack? - spytał Brett.

Spokojny uśmiech wydawał się znajomy.

- Charlotta, jeśli łaska.

Różne nieznane dotąd uczucia owładnęły księciem Northbridge. Ulga, że piękna młoda kobieta nie zniknęła z jego życia; zdumienie, że jakkolwiek niewiasta może być tak urodziwa; zaskoczenie, że jego imaginacja tak trafnie wyczarowała jej obraz; zmieszanie, że był na tak koleżeńskim stopie z rzekomym Jackiem, podczas gdy naprawdę miał do czynienia z kobietą; jeszcze większe zmieszanie, gdyż w głębi duszy cieszył się z odkrycia prawdziwej tożsamości Jacka; złość, że nie ufał własnej intuicji, która coraz natarczywiej podpowiadała mu, że Jack nie jest tym, za kogo się podaje; upokorzenie, że został oszukany i wykorzystany przez tę kobietę; furia, że mu nie ufano; i wreszcie ekscytacja oraz wstyd, że ją odczuwa. Ten wewnętrzny konflikt mógł znaleźć tylko jedno ujście.

Kobieta?! - wybuchnął. - Jest pan... kobietą?!

Tak - odparła z nienagannym spokojem.

Ależ to niedopuszczalne! Wystarczy, że rządzi człowiekiem rozdokazywany wyrostek, nie mający pojęcia o dobrych manierach, ale żeby kobieta?... Niedelikatna, nienaturalna, wrzaskliwa?...

Dżentelmen nie obraża kobiety - powiedziała chłodno. - Nawet jeśli jest ona nienaturalna. Bretta zamurowało, ale tylko przez chwilę.

Nigdy w życiu nie zostałem tak znieważony! - zawrzał. - Żeby kobieta paradowała w spodniach, zachowywała się jak mężczyzna, wtykała nos w sprawy społeczeństwa, własności i... i...

Obowiązków? - poddała uprzejmie.

Tak, na Boga! Pani obowiązkiem jest utrzymywanie się w granicach dobrego obyczaju i przestrzeganie towarzyskich konwenansów!

Obawiam się, sir, że nienaturalne pragnienie Horacego Shipleya, by pozbawić życia Jamiego, przekreśla mój kobiecie obowiązek przestrzegania towarzyskich konwenansów. Naprawdę sądzi pani, że uwierzę, iż Monty oddał swojego syna pod opiekę kobiecie? Kobiecie?!

Łatwiej uwierzyć w to, niż że Monty wyznaczył na kuratora swojego syna świętoszkowatego, zadufanego w sobie pedanta! - odparowała, cała czerwona z emocji. Brettowi zabrakło tchu. Przez chwilę nie mógł odzyskać głosu. Nikt nigdy - a już z pewnością kobieta - nie odważył się zwrócić do niego w ten sposób!

- Czy nie sądzicie, że jestem zbyt młody, by być świadkiem podobnie gorszących scen? - spytał Jamie.

Brett spojrział na siedzącego obok starego dżentelmena z wąsami.

Nadal utrzymujesz, że jesteś synem Montague'a Shipleya?

Przysięgam na moje życie.

Dlaczego miałbym wierzyć tak doskonałemu komediantowi? Czy raczej, powinienem powiedzieć, komediantom? - Brett przeniósł zimne spojrzenie na Charlotte.

A dlaczego nie? - odpowiedziała spokojnie. - Ma pan przed sobą list i testament Monty'ego, a także jego żywą podobiznę. Wobec niebezpieczeństwa, w jakim znajduje się Jamie, nasza maskarada jest w pełni uzasadniona.

- Być może dla kogoś z pani sfery - zauważył Brett szyderczo.

Nieoczekiwanie poczuł pod brodą lufę pistoletu.

- Niech pan spróbuje jeszcze raz obrazić mojego opiekuna, sir - warknął Jamie - a nie odpowiadam za swoje czyny!

Dość tego, Jamie! - zawołał ostro opiekun. Chłopak spojrzał zdumiony.

Ale...

- Odlóż to, Jamie! Reakcja Bretta na moje przebranie jest w pełni zrozumiała. Nie można oczekiwać od dżentelmena wychowanego tak jak Brett, by zrozumiał sposób życia, jaki prowadziliśmy. Przestań zachowywać się jak młodzik broniący honoru swojej damy. Monty byłby przerażony takim wypadnięciem z roli.

Ku zaskoczeniu księcia, chłopak zaczerwienił się i schował pistolet do kieszeni.

- A co do pana, sir - podjęła dziewczyna, zanim księżę zdołał odzyskać głos - to proszę w mojej obecności nie zapominać o dobrych manierach, bo w przeciwnym razie będę zmuszona zabrać Jamiego z pańskiego powozu i dostarczyć go do Thornwynd osobiście! Tym razem to księżę oblał się rumieńcem. Do jakiegokolwiek sfery należała ta kobieta, on był dżentelmenem i zachował się wobec niej niewłaściwie. Dla kogoś, komu przez całe dotychczasowe życie nie można było zarzucić, by kiedykolwiek postąpił niegodnie, był to szok.

Proszę mi wybaczyć, madame, że dopuściłem się obrazy - powiedział sztywno. - Nie przywykłem, by mnie oszukiwano w tak skandaliczny sposób. - Przenikliwość jej szarego spojrzenia dziwnie odbierała mu odwagę. - Jak mam panią nazywać? Charlotta Cavendish?

Nie, nie, Charlotta Hampstead. Jamie to mój dziadeczek, Charles Hampstead. Pan zaś nazywa się William Fanley i jest moim narzeczonym.

Kim?!

Musi być przecież jakieś usprawiedliwienie tego, że nas pan wiezie, sir.

Nie zamierzam bawić się w aktora dla pani kaprysu, panno Hampstead!

Nie dla mojego kaprysu, tylko dla dobra Jamiego. Mieliśmy trochę kłopotów w Lennox i dlatego musieliśmy zmienić przebranie.

Mieliście... - księżę zbladł.

Wygląda na to, że człowiek nasłany przez Horacego ma teraz instrukcje, by szukać trzech mężczyzn podróżujących luksusowym ekwipażem. Nie możemy na razie zmienić powozu, zmieniliśmy więc braci Cavendish na inny układ rodzinny. Człowiek Horacego wypatruje chłopca, a nie zgrzybiałego dziadka podróżującego ze świeżo zaręczoną wnuczką. Przez następny dzień czy dwa będziemy bezpieczni.

Jedyne, do czego był zdolny Brett, to wpatrywać się w nią bez słowa. Traktowała niebezpieczeństwo jak chleb powszedni! Ale czy istotnie było jakieś niebezpieczeństwo?

Nie zauważył w Lennox nic, co by na to wskazywało. Najwyraźniej tych dwoje to urodzeni łgarze. Przemiana braci Cavendish w rodzinę Hampsteadów przyszła im nad wyraz łatwo...

Och, dlaczego świat stał się nagle taki skomplikowany?

Charlotta sięgnęła do niewielkiego sakwojażu i wyjęła rudą perukę i wąsy.

A to rekwizyty dla pana - powiedziała, podając je Brettowi, który wpatrywał się w nią z przerażeniem. - Dziadek i ja mieszkamy w Worcestershire, pan zaś jest tak uprzejmy, że odwozi nas do domu po krótkim, acz niezwykle przyjemnym pobycie w Londynie, gdzie poznaliśmy się i zaręczyli.

Chyba nie oczekuje pani, że będę nosił te śmieszne...

Ależ oczekuję.

Nie niżę się do tak bezwstydnej przebieranki! - oświadczył książę. ~ Wszystko we mnie protestuje przeciw takiemu pomysłowi.

Jak pan sobie życzy - powiedziała chłodno i otworzyła drzwiczki powozu. Do środka wpadły deszczowe krople. - Wioska Isleton jest zaledwie trzydzieści mil stąd.

Nie może mnie pani wyrzucić z mojego własnego powozu!

- Ależ tak - odparła ze słodkim uśmiechem. - Mogę. Najbardziej przeraziło księcia Northbridge to, że jej uwierzył. Kobieta, która mogła przebrać się za mężczyznę, była zdolna do wszystkiego.

- Doskonale - mruknął i zabrał się do przymocowywania peruki.

Charlotta z niezmaconym spokojem zamknęła drzwiczki.

Przez parę minut panowała cisza. Pograżony w odmętach obrazy, zakłopotania i niebotycznego zdumienia - jak może jakkolwiek kobieta zachowywać się w ten sposób?

- książę nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

- Jamie, miej trochę zrozumienia dla uczuć księcia - Charlotta zwróciła się surowo do swego podopiecznego - i przestań uśmiechać się jak idiota.

- Jak to się stało, że Monty wyznaczył panią na opiekuna Jamiego? - mruknął Brett.

Charlotta wyjęła z podręcznej siatki buteleczkę gumy arabskiej i podała ją księciu, by mógł przytwierdzić wąsy do swojej górnej wargi.

- Zostałam nieoficjalnie zaadoptowana przez Shipleyów jakieś trzynaście lat temu. Monty był moim wychowawcą i nauczycielem, miał więc całkowite zaufanie do mnie i moich umiejętności.

Nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, książę nie odpowiedział nic.

Jechali jeszcze przez parę godzin, na ogół w milczeniu. Atmosfera miłego koleżeństwa, jaka panowała dotychczas między Brettem a pozostałą dwójką, bezpowrotnie zniknęła. Utkwiwszy wzrok w jednej ze świeżo nabytych książek, czuł dotkliwą stratę. Z żadnym ze swoich znajomych nie doświadczył dotąd podobnej bliskości i łatwości obcowania, niż z Jackiem i Jamiem. Utrata tego była zaskakująco gorzka.

Dotarli w końcu do małej wioski Isleton, gdzie znajdowały się dwie gospody. Brett nastawał, by zatrzymali się w większej z nich. Niestety, z powodu niepogody zważyło się mnóstwo podróżnych, tak że gospodyni miała do zaoferowania zaledwie dwa pokoje, przy czym jeden bardzo mały.

Ja i pan Hampstead zamieszkamy razem - powiedział ponuro Brett. - Panna Hampstead

będzie miała do dyspozycji drugi pokój.

Mniejszy, rzecz jasna - dodała Charlotta. - Nie pozwolę, by kochany pan Fanley cierpiał niewygodę.

Jak pani sobie życzy - mruknął Brett, nachmurzony.

Podczas gdy przygotowywano im pokoje, spożyli w zatłoczonej sali jadalnej niesmaczną kolację. Podróżni, przemoczeni i ubłoceni, głośno uskarżali się na swój los. Brett, czując nieznośne swędzenie górnej wargi, nieprzywykłej do wąsów, słuchał ze wzrastającą urazą, jak jego „narzeczona” opisuje ostatni bal, na którym byli razem w Londynie. Cóż to była za przyjemność tańczyć z nim! Pomimo iż tak wysoki, jest on niezwykle zręcznym i utalentowanym tancerzem. Ma nadzieję, że w Worcestershire będą mogli uczestniczyć w nieskończonej liczbie balów wydanych z okazji zaręczyn i zaznać tej przyjemności jeszcze nieraz.

Stary pan Hampstead zapewniał ją, że wyda tyle balów, ile tylko będzie chciała, tak jest rad, że nareszcie ma ją z głowy.

Następnie Charlotta wciągnęła dziadka w dyskusję na niezwykle istotny temat, a mianowicie czy uda im się przekonać drogą mamę, by przyjęła kochanego pana Fanleya na łono rodziny, pomimo że nie ma on tytułu i tylko trzy tysiące dochodu rocznie.

Księżę Northbridge miał już zamiar położyć kres temu żalostnemu spektaklowi, gdy gospodyni zaanonsowała, że ich pokoje są gotowe. Szybko opuścili jadalnię, pozostawiając na stole niedokończony – bo niejadalny - posiłek. Charlocie został zaprezentowany mansardowy pokój z wąskim łóżkiem, rozlatującą się szafą i nadtłuczonym lustrem, za to bez okna. Zanim Brett zdołał skrytykować tak nędzne wyposażenie, Charlotta oznajmiła, że to więcej niż mogła oczekiwać i grzecznie życzyła dobrej nocy narzeczonemu i dziadkowi, zupełnie jakby naprawdę była szlachetnie urodzoną panią, a w niedalekiej przyszłości zarumienioną ze wstydu panną młodą. Brett udał się wraz z Jamiem do ich pokoju, wyposażonego znacznie porządniej. Było w nim duże łóżko, szafa, nadtłuczone lustro, kominek i okno.

Tylko jedno łóżko? - zwrócił się Brett do oberżystki.

Och, sir, chyba nie będzie pan miał nic przeciw temu, żeby dzielić łóżko ze starcem, zwłaszcza że wkrótce będziecie przecież rodziną - odparła.

Nigdy w życiu nie spałem z kimś... - zaczął Brett.

Wszystko w porządku, pani gospodyni - przerwał mu Jamie skrzeczącym, zaflegmionym głosem. - Możecie odejść.

Skłoniwszy się nisko, kobieta opuściła pokój. Jamie wyprostował się i spojrzał na Bretta.

Kto śpi z lewej, a kto z prawej? Rzucamy monetą?

Możesz wybierać, starcze - warknął Brett, z ulgą odrywając rude wąsy.

Ojej. Nadal jest pan zły.

Brett odetchnął głęboko.

Dałem ci moją opiekę, a co dostałem w zamian? Kłamstwa!

Im mniej pan wie, tym mniej może pan niechcący zdradzić.

Na Boga, tego już doprawdy za wiele!

Monty pochwaliby mojego opiekuna za zręczność, z jaką ukrył przed panem swoją tożsamość.

Zatem Monty nie był dżentelmenem!

Proszę nie uwłaczać mojemu ojcu, sir!

Brett przyjrzał się chłopcu. Jego nagły gniew wydawał się prawdziwy. Ale życzliwość Jacka Cavendisha też się taka wydawała.,.

- Przepraszam - powiedział sztywno.

Jamie wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym zdjął kapelusz, perukę, płaszcz i buty. Tylko w pończochach, podszedł do rozklekotanego stołka przed roztrzaskanym lustrem i z niezwykłą zręcznością zaczął usuwać z twarzy krzaczące białe brwi, wąsy i brodę. Brett obserwował go z niechętnym zainteresowaniem.

- Robiłeś to już wcześniej, jak widzę?

Ależ naturalnie - odparł chłodno Jamie. - Grałem już wiele ról - od dziadka, który jest już jedną nogą w grobie, do zawstydzonej dziewczicy w pąsach.

Co?!

- Byłem wtedy młodszy, sir - wyjaśnił Jamie wyniośle - i niższy. Czy świat wróci kiedykolwiek na swoje bezpieczne, utarte tory? - pomyślał Brett.

A Charlotte często grywała chłopaka?

Bywała chłopcem równie często jak dziewczyną - zaśmiał się Jamie. - A kiedy była dziewczyną... o rety! To dopiero były ekscytujące chwile. Ojciec kazał jej grać swoją żonę, moją matkę, moją siostrę, moją ciotkę, swoją kochankę, kochankę Napoleona - długo można by wyliczać. Nic na to nie mogła poradzić, że gdziekolwiek się pojawiła, wszędzie robiła wrażenie. A jako chłopak była moim bratem, moim służącym, służącym ojca, włoskim księciem, francuskim pułkownikiem, i czym tam jeszcze... Raz nawet chłopcem stajennym: Całkiem nieźle potrafi obchodzić się z końmi, a wtedy w Holandii rozpaczliwie poszukiwaliśmy jakiegoś lokum.

Zdumiewające - rzekł książę. Że też jakkolwiek kobieta może prowadzić takie życie! A w dodatku kobieta tak urodziwa i rozumna... Książę pospiesznie powściągnął swoje samowolne myśli. - No cóż - powiedział, zrzucając z ramion płaszcz - choć uważam taką maskaradę za wysoce niewłaściwą, jestem chyba zmuszony zrobić co w mojej mocy, by właściwie zagrać ukochanego tak znakomitej damy.

Jamie wstał. Brwi miał ściągnięte, na jego twarzy zagościł chłód.

Niech pan tylko nie próbuje zachowywać się niewłaściwie wobec Isabel. To, że ma tyle typowych dla mężczyzny umiejętności, w niczym nie umniejsza jej statusu jako szlachetnie urodzonej damy.

Przestań warczeć, szczeniaku, jest ze mną całkowicie bezpieczna - powiedział Brett, nieco ubawiony. Rzeczywiście, miałby flirtować z tego rodzaju istotą! - A zatem naprawdę nazywa się Isabel, tak?

Jamie zalał się rumieńcem.

Ten mój przekłęty temperament! Ona skróci mnie za to o głowę.

Nonsens. Obowiązkiem Isabel jest chronić twoją głowę, a nie pozbawiać cię jej.

Przynajmniej tak twierdzi. A jak to się stało, że znalazła się pod opieką Monty'ego? Tylko jeśli powiesz, że została nieoficjalnie zaadoptowana trzynaście lat temu, uduszę cię!

Niewiele wiem o życiu Isabel - Jamie uśmiechnął się powściągliwie. - Przybyła do nas, kiedy miałem zaledwie cztery czy pięć lat. Jej przeszłość zawsze była owiana tajemnicą.

Monty spotkał Isabel w czasie swojej wizyty w Anglii i postanowił włączyć do naszej rodziny. To wszystko, co wiem.

Książę westchnął ciężko.

Wiesz przynajmniej, ile ma lat?

Jamie zachichotał.

Dwadzieścia siedem, sir.

Niemożliwe.

Isabel ma zdumiewającą umiejętność, by wyglądać tak staro lub tak młodo, jak chce, czy jak tego wymaga dana rola.

Dlaczego nie wyszła za mąż? - spytał podejrzliwie Brett.

Prawdę powiedziawszy - Jamie usiadł na powrót przed lustrem, by usunąć resztki charakteryzacji - nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nie wygląda na to, żeby w ogóle interesowała się tymi sprawami.

To niezwykle - odparł Brett, nie całkiem przekonany. Z jego doświadczenia wynikało, że nie ma kobiety, która nieustannie nie polowałaby na męża. Ale cóż, doświadczenie nie przygotowało go na spotkanie z tak wyjątkową istotą.

Fakt, że jakaś kobieta chodzi po tym świecie przebrana za mężczyznę, był niepokojący. Znacznie gorsza była jednak świadomość, że zaczął traktować rzekomego młodzieńca jak przyjaciela, podziwiać jego intelekt i rozliczne umiejętności, czerpać przyjemność z rozmów z nim - w ogóle cieszyć się jego towarzystwem. No cóż, w końcu opadły mu łuski z oczu. Jack nie był przyjacielem, był zwykłą awanturnicą. Książę Nortbridge nie czuł do niej nic poza niesmakiem. Nic.

Nazajutrz rano, zapłaciwszy za niewygodny nocleg i niesmaczne śniadanie, wsiedli do wysłużonej pocztowej karetki i opuścili Isleton. Słońce przygrzewało, osuszając drogę. Jeśli będą mieli szczęście i jeśli dopisze pogoda, powinni być w Ravenscourt za trzy dni. Przez kwadrans jechali w milczeniu. Wtem Jamie zaczął odrywać wąsy.

A to co znowu, chłopcze? - spytała Isabel.

Mam już wyżej uszu jazdy w tym pudełku w towarzystwie was dwojga - oznajmił uprzejmie Jamie. - Zwłaszcza że żadne z was nie potrafi spojrzeć na drugie, żeby nie spiorunować go wzrokiem. Zamierzam uciec. Teraz, gdy świeci słońce, mogę zagrać stajennego. Wiekowy dżentelmen nie może podjąć się tak mozolnej funkcji, wracam więc do mojej młodzieńczej wersji. Dawkinsowi przyda się pomoc, jestem tego pewien.

Ja mu tego nie powiem, mój mały - oznajmił Brett.

Cóż, Jamie, jeśli ty zamierzasz być stajennym, to ja też muszę zmienić mój status - westchnęła Isabel. - Samotna, szlachetnie urodzona kobieta nie może podróżować w towarzystwie samotnego dżentelmena, zwłaszcza o tak niewątpliwym uroku, jaki rozłacza pan Fanley. Muszę zostać kobietą wyzwoloną albo żoną. No więc czym?

Moją żoną - powiedział Brett z mocą.

Data ślubu została przyspieszona - wyszczerzył zęby Jamie.

Na to by wyglądało. Ale czy jest pan pewny, Brett? - w szarych oczach Isabel igrały łobuzerskie iskierki. - Ja znakomicie gram kobiety wyzwolone.

Nie wątpię - zadrwił Brett. - Ale ja muszę dbać o reputację. Proszę sobie tylko wyobrazić, jak musiałyby się rumienić moja matka i siostra, gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że w

powozie z herbem Northbridge podróżowała piękna liberynka!

Doskonale - oznajmiła chłodno Isabel. - Zagram więc niezwykle posłuszną żonę. Grałam już kiedyś taką rolę. Zapewniam, że uczynię pana godnym szacunku małżonkiem.

Liczę na to - warknął Brett.

Polecił Dawkinsowi, by zatrzymał powóz. Jamie radośnie zeskoczył na ziemię. Isabel podała mu nowy surdut wyciągnięty z jego walizki. Włożył na głowę kapelusz i po chwili, porozmawiawszy krótko z Dawkinsem, siedział już z tyłu pojazdu, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Naprzód! Naprzód! - zawołał wesoło.

Dawkins strzelił z bata. Ruszyli.

Po raz pierwszy od początku ich znajomości Brett znalazł się sam na sam z Isabel jako kobietą. Targany sprzecznymi emocjami, milczał jak zakłęty. Isabel sięgnęła do niewielkiego sakwojażu, który zabrała z sobą do wnętrza powozu, i po chwili poszukiwania wyjęła ślubną obrączkę.

O, tak - wsunęła ją na palec. - W ten sposób zostajemy oficjalnie małżonkami Harcourt. Harcourt? - Brettowi zabrakło tchu.

To pańskie nowe nazwisko. Harcourt Fitzwilliam Gollings. A ja jestem Matylda.

Madame, nie zamierzam ciągnąć tej upokarzającej gry!

Och, niech pan przestanie mówić do mnie „madame”. Brzmi to tak, jakbym była pięćdziesięcioletnią wdową w koronkowym czepcu na głowie i z pieskiem na kolanach! Wargi Bretta mimo woli drgnęły w uśmiechu, tak dalece ten obraz różnił się od siedzącej naprzeciw niego urodziwej istoty w białych błękitach, w zawadiackim włoskim kapeluszu, spod którego wymykały się czarne loki.

- Doskonale. Wobec tego będę panią nazywać Isabel. To brzmi lepiej niż Matylda.

Miał szczęście zobaczyć, jak Isabel lekko się czerwieni.

- Skrócę za to Jamiego o głowę.

Uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. Raz przynajmniej on był górą!

Chłopak powiedział to samo. Wygadał się przypadkiem, może być pani pewna, Isabel. Sprowokowałem go.

W to bez trudu mogę uwierzyć.

A ja nie wierzę, by kobieta pani kondycji miała prawo ze mnie szydzić!

Jak pan śmie! - krzyknęła Isabel, unosząc dłoń w rękawiczce, tak jakby miała zamiar go uderzyć.

Czy zrezygnowała już pani z wszelkich prób uprzejmej konwersacji? - spytał chłodno Brett.

Wbiła w niego pełne wściekłości spojrzenie. Książę nie był do tego przyzwyczajony. Co jednak irytowało go najbardziej, to admiraacja - nie znana mu dotąd! - którą czuł na widok ciskających iskry szarych oczu tej prowokatorki i dumy, z jaką zwracała się do niego.

- Mogę przypomnieć sobie zasady dobrego wychowania, pod warunkiem, że zrobi pan to samo, milordzie - odcięła się.

Książę zaczerwienił się. Nie był również przyzwyczajony, by przywoływano go do porządku. Jego zachowanie do czasu tej pożałowania godnej awantury zawsze było nienaganne.

- Ponieważ zmuszeni jesteśmy podróżować wspólnie jeszcze przez parę dni, dołożę starań, by traktować panią z grzecznością należną każdej kobiecie - odparł chłodno.

- Och, sir, to nadmiar łaski - Isabel zwróciła głowę ku oknu.

Zapadła cisza.

- Zawsze nosi pani przy sobie ślubną obrączkę? - spytał w końcu Brett, czując, że to na nim jako starszym spoczywa obowiązek wznowienia konwersacji.

Isabel niechętnie odwróciła głowę od okna. Przez chwilę wydawało mu się, że dostrzega łzy w jej oczach, uznał jednak, że to złudzenie spowodowane błyskiem światła, przemówiła bowiem dość spokojnie:

- Nigdy nie wiadomo, kiedy taka rzecz może się przydać. Zdarzało się, że musiałam zagrać żonę czy wdowę zupełnie nieoczekiwanie. Monty nauczył mnie, że trzeba być przygotowanym na każdą okoliczność.

Fala nieoczekiwanego gniewu wezbrała w piersi księcia.

Monty'ego należałoby wychłostać!

Za późno. Monty nie żyje.

- Uważam - powiedział książę przez zaciśnięte zęby - że dżentelmen pokroju Monty'ego w żadnym wypadku nie powinien stawiać dziewczyny, obojętne jakiego pochodzenia, w sytuacji, która zmusza ją do udawania chłopaka lub czyjejś żony!

To prawda - zgodziła się Isabel. - Jednakże Monty nie był pospolitym dżentelmenem, a poza tym maskarady, jakie obmyślał, okazały się dla mnie niezwykle pouczające.

O tak, nauczyły panią dwulicowości!

Przeciwnie. Nauczyły mnie cenić uczciwość, odwagę i honor. A także nie być od nikogo zależną i polegać na własnym rozumie. Może pan nie dać wiary, milordzie, ale zanim spotkałam Monty'ego, byłam nieśmiałą, bladą istotą bez krzty wiary w siebie, bez charakteru. Zawdzięczam mu bardzo wiele.

Brett nie wierzył własnym uszom. Żeby cenić takie życie? Życie awanturnicy? Wszystkie jego uczucia, wszystkie najgłębsze przekonania sprzeciwiały się podobnej postawie.

Lepiej już zakończyć rozmowę, niż wytrzymywać przejawy tak oczywistej deprawacji...

Pospiesznie ukrył twarz za świeżo nabytą książką. Kolejne trzy godziny minęły w całkowitym milczeniu.

Nie wybiło jeszcze południe, gdy dojechali do wioski Oakham. Była to urocza miejscowość, pełna ogrodów i kwietników zdobiących fronty domostw. Zatrzymali się w niewielkiej gospodzie o ścianach malowniczo porośniętych bluszczem. Pomny, że jest dżentelmenem, bez względu na to, w jakim towarzystwie przyszło mu obecnie przebywać, Brett podał ramię schodzącej po stopniach powozu Isabel, tak jakby naprawdę była damą, którą udawała. Zgiąwszy się, wszedł przez niskie drzwi do wnętrza gospody.

Jamie, jako stajenny, pozostał wraz z Dawkinsem przy zaprzęgu, rozkoszując się drugim śniadaniem pod słonecznym niebem. Brett, ponury, usiadł z Isabel w małej salce, dbając, by znaleźć się po przeciwnej stronie stołu niż ona. W pomieszczeniu znajdowało się jeszcze parę osób, które podobnie jak oni zatrzymali się tu na wczesny lunch. Brett, wściekły, zdał sobie sprawę, że w tej sytuacji nie może dłużej milczeć, skoro jest w towarzystwie kobiety. Zasady dobrego wychowania wymagały prowadzenia konwersacji,

a ponieważ ona nie miała najwyraźniej pojęcia o jakichkolwiek zasadach, on musiał zacząć pierwszy. Ale jak tu rozmawiać z tak zatwardziałą awanturnicą?

Na szczęście pojawił się kelner. Isabel, wierna swojej roli skromnej, posłusznej żony, zwróciła się z prośbą do Gollingsa, by to on zdecydował, co będą jedli. Rozdrażniony Brett, najchętniej zamówiłby wyłącznie dania, których ona nie cierpi, nigdy dotąd jednak nie miał okazji usłyszeć z jej ust słowa niezadowolenia z posiłków, jakie im serwowano. Nie mając innego wyjścia, wybrał dania, ustalił gatunek wina, po czym niechętnie zwrócił się ku „małżonce”:

Mam nadzieję, madame, że podróż nie zmęczyła cię za bardzo?

Nie, mój mężu - odparła, wachlując się, Isabel - wiesz przecież, że jestem wytrzymała niczym dąb. Tak bardzo pragnę wrócić do domu, że mogę jechać nawet kilkaset kilometrów dziennie, jeśli będzie trzeba. Marzę, by zobaczyć wreszcie nasze drogie dzieci.

Nigdy dotąd nie zdarzyło się Brettowi, by gapił się na kogoś z otwartymi ustami. Zdarzyło mu się to teraz.

- Niania doskonale spełnia swoje obowiązki - ciągnęła Isabel z niezmaconą powagą - ale serce mi mówi, że dzieciom najlepiej jest przy matce.

- Zupełnie dobre jest to wino, nieprawdaż? - zauważył oschle Brett.

Uśmiechnęła się do niego słodko, jak przystało na oddaną żonę.

- Zawsze można na tobie polegać, jeśli chodzi o posiłek i wino, mój małżonku.

Przyniesiono zamówione dania. Brett nie czuł smaku tego, co jadł, gdyż Isabel nieustannie paplała o „drogich dzieciach” i ich osiągnięciach: nauce Tommy'ego, haftach Sally i o małym Robby'm, który, choć ma dopiero trzy latka, mówi jak dorosły.

Chciałby czuć się znieważony koniecznością brania udziału w tej farsie. Tak, zdecydowanie powinien czuć się znieważony. Zamiast zniewagi jednakże czuł rosnące zainteresowanie swoją fikcyjną rodziną. Parokrotnie w czasie monologu Isabel łapał się na tym, że sam miałby chęć wtrącić jakieś komentarze na temat zajęć ich dzieci!

Przeklinał siebie za tę nieznaną dotąd słabość. I przeklął się podwójnie, gdy zdał sobie sprawę, jak głęboko wciągnęła go Isabel w tę grę. W jej towarzystwie na amen zapomniał przecież o Jacku Cavendishu! Doprawdy, gdy patrzył na tę dziewczynę, w zawadiackim kapeluszu na lśniących czarnych lokach, z błyskiem radości w szarych oczach, gdy odpowiadała z uśmiechem na pełne podziwu spojrzenia wszystkich mężczyzn w sali, trudno mu było uwierzyć, że jeszcze wczoraj rano przekonany był, iż ma do czynienia z inteligentnym, pełnym fantazji młodzieńcem, w którego towarzystwie czuł się tak dobrze, tak swobodnie...

Czyżby rzuciła na niego urok? Gdzie się podział chłodny, racjonalny umysł, którego posiadaniem zawsze się szczycił? Czyżby aktorski talent Isabel naprawdę skruszył jego niezłomne zasady?

Nie! To niemożliwe. A jednak... Płacąc za posiłek i później, gdy wychodzili z gospody, łapał się na tym, że nieustannie obserwuje jej zachowanie i wyraz twarzy. Ani na moment nie wypadła z najnowszej roli. Była piękna, swobodna, i wszyscy mężczyźni - od gospodarza do stajennego - wydawali się nią oczarowani.

On - książę Northbridge - nie był bynajmniej oczarowany. Nigdy nie zapomniałby się do

tego stopnia. Niemniej, wbrew sobie, czuł się zaintrygowany. Nigdy nie znał kogoś takiego jak Isabel, kogoś, kto z taką łatwością odgrywałby role, zmieniał maski... Zupełnie jakby była zrodzona do każdej z tych sytuacji i każdą była w stanie się cieszyć. Zaczynała być dla księcia zagadką, książę zaś był mężczyzną, który nie umiał spocząć, dopóki nie rozwiązał każdej zagadki, jaką stawiało przed nim życie.

5

8 maja 1804 roku, wczesne popołudnie

Oakham, Leicestershire

Jamie ponownie zajął swoje miejsce stajennego. Dawkins zasiadł na koźle i ujął lejce.

Brett pomógł Isabel wsiąść do powozu, zajął miejsce naprzeciw niej i przez chwilę przypatrywał się jej zupełnie otwarcie. Konie ruszyły truchtem.

Ponownie zirytowała go, odpowiadając równie otwartym spojrzeniem.

- Tak, panie Gollings?

Zaczerwienił się. Chyba nigdy nie poczuje się swobodnie w towarzystwie tej kobiety...

Ma pani niezwykle... bujną wyobraźnię.

Dzięki.

Choć z najwyższą niechęcią- powiedział Brett, krzywiąc się -muszę jednak przyznać: rzeczywiście potrafi pani zagrać godną szacunku małżonkę.

Sir! Zaszczycza mnie pan, doprawdy.

Brett spojrzał na nią ze złością. Nawet komplementu nie potrafi przyjąć normalnie?

Zachowywała się pani tak, jakby... jakby naprawdę sprawiała to pani przyjemność.

Zawsze wolałam role żeńskie niż męskie. Nie wymagają takiej pracy i takiego zwracania uwagi na każde słowo i gest.

Bretta zainteresowało to stwierdzenie.

Podobało się pani to życie wagabundy? - spytał.

Czasami. Zamrugał oczami.

A co się pani w nim nie podobało?

Isabel, bawiąc się obrączką, wyjrzała na chwilę przez okno powozu. Potem skierowała wzrok wprost na księcia. Ta kobieta chyba nie wie, co to zawstydzone spojrzenie.

- Przyznaję, że coraz bardziej męczy mnie nieustanne zagrożenie. Brakuje mi też stabilizacji, jaką daje stały dach nad głową. Monty nigdy nie zatrzymywał się w jednym miejscu dłużej niż parę miesięcy.

Brett patrzył na nią przez chwilę.

- To chyba dość samotny i niemiły sposób życia dla dziewczyny.

Isabel uśmiechnęła się smutno.

- Proszę mi wierzyć, sir, że dzięki niemu wiele zyskałam. A poza tym - rozjaśniła się - wcale nie czułam się samotna. Byli ze mną Monty i Jamie. Byliśmy - a raczej jesteśmy - rodziną, i to lepszą niż jakakolwiek z tych, które znam. Cokolwiek niemiłego spotkało mnie w czasie naszych podróży, zrekompensowała mi to z nawiązką przyjemność przebywania w ich towarzystwie, bezwarunkowa miłość, radość, kiedy siedziałam na kolanach Monty'ego i słuchałam jego nauk... Szkoda, że nie wziął pana pod opiekę, milordzie, bo może umiałby pan wtedy dostrzegać w zadaniach również przyjemność, a nie wyłącznie odpowiedzialność. Wcześniej musiano włożyć panu obowiązki na barki, skoro jest pan tak zgorzkniały.

Książę aż podskoczył z oburzenia.

Nikt nie jest dalszy od zgorzknienia niż ja!

Brednie - odparowała Isabel. - Każdy, kto trzyma się z daleka od przyjemności i śmiechu, jest zgorzkniały. Pańskie oddanie dla obowiązków odbiera panu całą radość życia.

Książę Northbridge poczerwieniał.

Życie to nie rozrywka.

Być może pańskie życie nie, ale moje - tak. Monty'ego też. Nigdy nie spotkałam człowieka, który umiałby czerpać z życia tyle radości. Był dla mnie odkryciem... Szkoda, że nie spędził pan w jego towarzystwie więcej czasu. Mogłoby to panu wiele dać, a w każdym razie nauczyłby się pan dostrzegać różnicę między wyborem odpowiedzialności a ciężarem obowiązków.

Książę nie był w stanie wykrztusić ani słowa, zwłaszcza że nie miał pojęcia, o czym do diabła ona mówi.

- Powiedział pan, sir, że ma pan siostrę, prawda? - odezwała się Isabel po chwili milczenia.

- Tak, młodszą - odparł Brett z ulgą. Rodzina to przynajmniej twardy grunt. - Fanny. Jej mężem jest sir Robert Clotfelter.

Isabel nie zdołała powstrzymać śmiechu. Szybko zakryła usta dłonią. Brett również mimo woli się uśmiechnął. Przeklęta baba! Najwyraźniej jej rozbawienie jest zaraźliwe.

No cóż, moja reakcja była taka sama, kiedy przedstawiono nas sobie po raz pierwszy. Och, współczuję panu, sir, a jej jeszcze bardziej. Że też odważyła się wyjść za takie nazwisko!

To nazwisko nosi przemiły młody człowiek, który ją uwielbia. Chyba na tym polega tajemnica jej wyboru.

Bardzo to rozsądne z jej strony. Ale że wielki książę Northbridge pozwolił jedynej siostrze poślubić zwykłego baroneta? Nie do wiary!

To prawda, ale Clotfelterowie są właścicielami połowy Cumbrii i ogromnej flotylii statków. W ciągu nadchodzących dekad niewątpliwie staną się potęgą.

Wobec tego to stosowny mariaż.

Bardzo stosowny - odparł książę. Nie rozumiał jej uśmiechu.

A pańska matka? Co z nią? Czy mieszka z panem?

Przez kilka miesięcy w roku. Mieszka też czasem u Fanny i jej męża, zaś pozostałą część roku spędza w Londynie. To kobieta światowa i towarzyska. Najszczęśliwsza jest, gdy planuje i organizuje bal czy spotkanie przy kartach.

Wygląda na to, że księżna wdowa potrafi cieszyć się życiem. Dlaczego nie zdołała nauczyć tego pana?

Ależ ja umiem cieszyć się życiem!

Bzdura. Umie pan cieszyć się obowiązkami, a to nie to samo. Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że może pan wypełniać swoje powinności wobec krewnych i dzierżawców, a równocześnie zabawić się od czasu do czasu z przyjaciółmi z college'u czy spędzić wieczór w mieście?

Och, taka rzecz jest całkowicie poza dyskusją. Wszystkim znany jest mój zdrowy rozsądek, siła charakteru i niechęć do trwonienia czasu na łatwe rozrywki.

Isabel zmarszczyła nos.

Okropność!

Gdybym brał udział w hulankach, jak pani proponuje - powiedział surowo Brett - zaszokowałbym mnóstwo moich znajomych i ściągnąłbym na moją głowę potępienie.

Ale gdyby sprawiło to panu przyjemność, Brett, jakie znaczenie miałyby cała reszta? Brett wlepił oczy w Isabel, skrajnie zdumiony.

- Pani musi być anarchistką.

Roześmiała się. Książę zdał sobie sprawę, że lubi jej śmiech. Był swobodny, dźwięczny... zachwycający... Zamrugał. To przecież niemożliwe, by cokolwiek go zachwycało w tej... w tej istocie!

Biedny Brett - powiedziała z rozbrajającą szczerością. - Ubogie, surowe życie prowadził pan dotąd, nieprawdaż? Czy nie wiedział pan o tym, że człowiek ma prawo być szczęśliwy? Mistrz frazy, Aleksander Pope, mówi w swoim Eseju o człowieku: „O, szczęście! Celem jesteś naszego istnienia!”. A Rousseau w Umowie społecznej twierdzi, że „pragnienie szczęścia nigdy nie gaśnie w sercu człowieka”. Nie mówi: z wyjątkiem tych, którzy mają pozycję i powinności, prawda? Jego stwierdzenie jest jednoznaczne. Mogłem się spodziewać, że będzie pani cytować rewolucjonistów francuskich.

Doskonale, a co pan wobec tego powie na owego szlachetnego patrycjusza, który uważa, że zostaliśmy wyposażeni przez stwórcę „w pewne niezbywalne prawa: między innymi do życia, do wolności i do pogoni za szczęściem”?

Coraz gorzej - odparł Brett, potrząsając głową. - Teraz cytuje pani rewolucjonistę amerykańskiego. A zatem przyjechała pani do Anglii, aby wszcząć rebelię, tak?

Skądże znowu. Wyłącznie po to, żeby „osiągnąć poczucie wspólnoty celu i przynieść końcową wygraną”.¹ Szekspir, Henryk V, akt pierwszy. To znaczy po to, by zainstalować Jamiego w Thornwynd, sir, nic więcej.

Brett nie mógł ukryć zaskoczenia.

Wygląda na to, że ma pani lepsze wykształcenie niż przeciętny wagabunda.

To Monty nauczył mnie miłości do książek i wiedzy. Sporo zaczerpnęłam również od guwernerów Jamiego. Czemu tak pan na mnie patrzy? - spytała z uśmiechem. - Nawet zwykły dzierżawca w tym kraju może cytować Szekspira.

Brett milczał. Czuł się tak, jakby uniosła się jakaś zasłona albo jakby słońce wyjrzało nagle zza chmury.

Wydaje mi się - powiedział powoli - że Monty nie zdołał do końca popsuć pani charakteru. Pani wykształcenie, manieri, prezencja, wszystko to świadczy, że nie zawsze była pani awanturką.

To prawda - przyznała z oporem Isabel. - Nie przez całe życie tańczyłam tak, jak zagrał mi Montague Shipley. W swoim czasie miałam okazję poznać smak szacownej stabilizacji.

Na pewno brakuje pani takiego życia?

Szacowności nie - odparła Isabel, a Brett złapał się na tym, że wpatruje się w nią z otwartymi ustami - gdyż przynosi ona tyleż szkody, co pożytku. Ale brakuje mi - ciągnęła powoli - spokoju, wygody, możliwości spędzenia całego popołudnia w fotelu, z książką w ręku, bez obawy, że nakryją mnie władze, spania każdej nocy w tym samym łóżku, noszenia tych samych rzeczy, stałego porządku dnia, pewności, komu można ufać, a kogo należy unikać, zamiast nieustannego zgadywania i niepokoju... Tych rzeczy, owszem, czasem mi brakuje. Ale w ostatecznym rozrachunku uczucia, jakie mam dla

¹ Przekład Stanisław Barańczak.

Jamiego i Monty'ego, zrekomensowały mi z nawiązką niedostatek takich drobiazgów. Własny dach nad głową i poczucie bezpieczeństwa to nie drobiazgi - powiedział poważnie Brett.

Isabel spojrzała mu prosto w oczy. Wiedziała o czym mówi; poczucie ważności tych rzeczy dręczyło ją od co najmniej pół godziny. Opuściła wzrok i utkwiała go w ślubnej obrączce.

Trudno zaprzeczyć - powiedziała.

Nigdy nie myślała pani o zamążpójściu, żeby uzyskać tę stabilizację i szczęście osobiste?

Isabel wybuchnęła śmiechem.

- Nigdy - odparła krótko. Zwróciła twarz ku oknu i nagle zamilkła jak głaz. Dziwny wyraz malował się na jej twarzy, gdy wpatrywała się w wiejski krajobraz przesuwany za szybą powozu. Brett nie był pewien, czy w ogóle zdawała sobie sprawę z ciszy, jaka zapadła między nimi.

Nie mógł dłużej udawać przed samym sobą, że nie zrobiła na nim wrażenia jako kobieta. Była śliczna! Grała przystojnego młodzieńca, ale była piękną kobietą, widział to doskonale. Co by o niej pomyślał, gdyby spotkał ją po raz pierwszy na przyjęciu w którejś z wiejskich posiadłości, albo gdyby zostali sobie przedstawieni w „Almack's”? Nie wiedział. Nie potrafił wyobrazić jej sobie w tym środowisku.

Zresztą nie powinien nawet próbować! Książę ostro przywołał się do porządku. Jego obowiązkiem jest dotarcie do prawdy pośród tej potwornej gry pozorów i nowe wcielenie osoby towarzyszącej mu w podróży nic nie zmieniło w tej sprawie.

- Dziwnie pani wygląda - zauważył. - O czym pani myśli?

Isabel drgnęła, wracając do rzeczywistości, i zwróciła spojrzenie na Brett'a.

- Właśnie zdałam sobie sprawę - powiedziała zdumiona - jak bardzo brakowało mi Anglii! Wypowiedz ta nasunęła Brettowi mnóstwo pytań, nakazał sobie jednak spokój. Za wcześnie było na ich stawianie, a informatorka była zbyt czujna.

Od jakiegoś czasu przebywała pani poza Anglią? - spytał oględnie.

Prawie trzynaście lat - odparła. - I nigdy nie sądziłam, że tu wrócę. A już z pewnością nie sądziłam, że powrót mnie ucieszy. A tymczasem - uśmiechnęła się lekko - okazuje się, że owszem, cieszy mnie. - Ponownie wyjrzała przez okno. - Tak tu zielono... Zdażyłam o tym zapomnieć.

Anglia ma bardzo wiele do zaoferowania - powiedział niedbale Brett, zakładając nogę na nogę. - Zdrową, bujną wieś, tętniące życiem miasta, towarzystwo podobnych nam ludzi, niezłe możliwości wykształcenia i rozwoju...

Dziwne - rzekła Isabel - ale nigdy dotąd o tym nie myślałam.

Brett rzucił jej zdumione spojrzenie.

Nie zostawiła pani w Anglii nikogo, za kim by pani tęskniła?

Żywej duszy - powiedziała zdecydowanie Isabel.

Ale chyba są jakieś osoby, które tęsknią za panią? Ironiczny uśmiech zaigrał na jej wargach.

Nie ma nikogo, kto życzyłby mi dobrze.

Brett poczuł nagły dreszcz.

Ale przecież miała pani nie więcej niż czternaście lat, kiedy Mon-ty zabrał panią na kontynent. Tak - rzekł w odpowiedzi na jej zdumiony wzrok - znam pani prawdziwy wiek. Nie zakazała pani przecież Jamie-mu wyjawiania tego sekretu, prawda?

Liczyłam - parsknęła - że Jamie okaże się bardziej rycerski.

Kto, ten siedemnastoletni brzdąc? Co za pomysł! Chodzi mi o to -ciągnął nieubłaganie - że była pani dzieckiem, opuszczając Anglię. Z pewnością pani rodzina...

Nie mam żadnej rodziny oprócz Jamiego - przerwała Isabel lodowatym tonem. Zapadła równie lodowata cisza. - Cieszę się, że jest słonecznie - powiedziała nieoczekiwanie, wyglądając przez okno. - Jamie zaczynał już być rozdrażniony. Wie pan, większą część życia spędził na świeżym powietrzu, w podróży, na ulicach.... - Zamilkła na chwilę.

- Nawet nie miał możliwości, żeby opłakać Monty'ego.

Zaskoczyło księcia to stwierdzenie. Czy oszustka, obojętne jak sprytna, mówiłaby o czymś takim?

A pani, Isabel? - spytał. - Płakała pani?

Jeszcze nie - odparła. - Znadto byłam zajęta.

Więcej nie pozwoliła mu się wypytywać. Podjąwszy jeszcze raz i drugi próbę podtrzymania konwersacji, Brett ponownie oddał się lekturze.

Jechali prawie do zmierzchu. Wreszcie dotarli do wioski Bilby, gdzie Dawkins zatrzymał powóz przed ogromnym budynkiem stacji dyliżansu. Podwórko wypełniały wszelkiego rodzaju pojazdy, których właściciele, podobnie jak oni, pragnęli zatrzymać się tu na noc. Weszli do środka. Brett podszedł do chudego, kłótliwego oberżysty i oznajmił, że wraz z żoną i jej dziadkiem potrzebują pokoju na jedną noc. Gospodarz zaczął się uskarżać na ogromną liczbę klientów, jakich ma do obsłużenia, i już miał zamiar odejść, gdy Brett wcisnął gwineę w jego gruzłowate palce. Natychmiast znalazł się pokój dla państwa Gollings; Jamie, ponownie w peruce i z wąsami, zgodził się dzielić pokój z pewnym korpulentnym prawnikiem. Gospodarz poprowadził ich na górę.

Pokój, do którego wprowadził Brett i Isabel, był duży, przestronny i wygodny. Stało w nim tylko jedno łóżko.

- Będzie nam tu znakomicie - powiedział Brett do gospodarza i gestem wyprawił go z pokoju. - Proszę teraz zajrzeć do dziadka mojej żony.

Zamknął drzwi i rozbawiony spojrzał na Isabel. Może to niewybaczalne, ale znajdował jakąś perwersyjną przyjemność w tym, że awanturnica nareszcie została złapana w pułapkę swoich własnych kombinacji.

- Zostawiam cię, pani Gollings, byś się nieco odświeżyła. Zechciej zejść na kolację, kiedy będziesz gotowa.

Wycofał się, zanim Isabel zdążyła cisnąć dzbanem z wodą w jego głowę.

Rozejrzała się po pokoju. Nie myślała dotąd o trudnościach „małżeństwa” z Brettem. W przeszłości, gdy grała żonę Monty'ego, nie było problemu, jeśli chodzi o sprawy sypialniane. Z księciem Northbridge jednakże to zupełnie inna sprawa... Dał do zrozumienia zupełnie jasno, co myśli o kobiecie-wagabundzie, która jednakowo dobrze czuje się w bryczesach, jak w halce. No cóż, z niejednym dżentelmenem dała sobie radę w ciągu lat wędrówki u boku Monty'ego.

Isabel zdała sobie nagle sprawę, że przygnębia ją myśl o umieszczeniu Brett w ich

szeregu. Ale tak czy owak, musiała być praktyczna. Ona była awanturnicą, on był księciem, nie powinna o tym zapominać.

Westchnąwszy lekko, umyła się, wyszczotkowała włosy i zmieniła podróżny strój na suknię z białego muślinu, ze stanikiem przybranym czerwoną wstążką. Zeszła na dół i z maską pogody na twarzy wkroczyła do sali jadalnej.

Brett na jej widok wstał od stołu. Z błyskiem uznania w oczach skomplementował jej suknię oraz sposób ułożenia włosów. Bez zarzutu grał uwielbiającego ją małżonka...

Isabel marzyła, by wbić mu łokieć w przeponę, on jednak -być może świadom jej morderczych zamiarów -trzymał się w stosownej odległości.

Twój dziadek, pani Gollings, jest dziś w znakomitej formie - powiedział Brett donośnym głosem, nalewając jej kieliszek wina. - Sam zamówił niemal wszystkie dania, jakie były w kuchni.

Mam nadzieję, że nie masz mu za złe, mężu, iż zje coś niecoś od czasu do czasu? - odparowała szorstko. - Lawrence'owie zawsze cieszyli się znakomitym apetytem. Świętej pamięci babcia Lawrence była znana jako najlepsza gospodyni w całym Shropshire. Nikt nie zastawiał stołu tak obficie jak ona. Pamiętam pewien bal...

Przez cały czas, gdy jedli, Isabel z czułością wspominała babcię oraz jej niezliczone dania, jakimi uraczyła gości na balu wydanym z okazji Bożego Narodzenia w roku 1798.

Niestety, obecny posiłek nie mógł ciągnąć się w nieskończoność. Nawet żołądek Jamiego miał ograniczoną pojemność.

Brett zapłacił rachunek i poprowadził Isabel na górę, do sypialni.

Uroczy pokój - powiedział, zamykając drzwi i opierając się o nie, wysoki i pewny siebie. - Nieprawdaż, moja droga?

O, tak, mój mężu - odparła, popatrując na niego ostrożnie. Czowała przyspieszone bicie serca. Ach, gdyby to był inny mężczyzna... Nie byłaby wtedy tak przerażona.

To łóżko sprawia wrażenie znacznie wygodniejszego niż te, jakie oferowano nam dotychczas.

Istotnie, mamy szczęście. - Zawsze można w razie czego uciec przez okno, pomyślała desperacko.

Brett ruszył w jej kierunku.

- Powinnaś położyć się już do łóżka, pani Gollings. Ja będę spać na kanapie.

Isabel musiała uruchomić wszystkie swoje umiejętności aktorskie, by nie zdradzić głosem i wyrazem twarzy ulgi, jaką odczuła.

- Nonsens, mój mężu! Jesteś o wiele za duży na tak skromną przestrzeń. Męczyłbyś się tylko przez całą noc. Ty będziesz spał w łóżku, mnie zaś z powodzeniem wystarczy kanapa.

Stanął tuż przy niej, tak, że niemal stykali się czubkami butów. Na ustach igrał mu przebiegły uśmiech.

Nie, moja droga. Jako dżentelmen nie mogę na to pozwolić.

Panie Gollings... - zaczęła surowo Isabel.

Pani Gollings, sprawa jest załatwiona - przerwał jej Brett, kładąc dłoń na ramieniu gestem tyrana, co tak dobrze знаła i czego tak nienawidziła. - Zajrzę teraz do Dawkinsa, tak byś miała możliwość przebrać się i udać na spoczynek. Wrócę za pół godziny.

I wyszedł.

Isabel pokazała jego plecom język, po czym rozejrzała się po pokoju. - Nie, panie Gollings - powiedziała. - Sprawa wcale nie jest załatwiona.

Kiedy trzydzieści minut później Brett wrócił, zasłony były zaciągnięte. W kominku płonął obfity ogień, rzucając ciepły blask na cały pokój, w tym również na Isabel wyciągniętą na kanapie, szczelnie okrytą kilkoma kocami.

A więc wygląda na to, że choć zamieniła bryczesy na suknię, jej upór nie zmalał ani odrobinę... Szkoda. Bez słowa podszedł do kanapy, podniósł Isabel i zaniósł do łóżka, choć wrywała się i żądała, by ją zostawił w spokoju.

Ależ naturalnie, madame - powiedział, upuszczając ją na łóżko. - Dość tych głupstw. Chyba mam prawo spać tam gdzie chcę! - wrzasnęła Isabel, patrząc na niego z wściekłością spomiędzy potarmoszonych pledów.

Naturalnie - odparł spokojnie Brett. - Pod warunkiem, że pani wybór zgadza się z moim. Jest pan podły!

Błysnął niebieskimi oczami.

Ale przynajmniej wiem, co to obowiązek.

Podszedł do kanapy, zdjął buty i płaszcz, ulokował się na tym prowizorycznym pościeliu, okrył się kocem i natychmiast zasnął.

Isabel usiadła na łóżku. Była zbyt wściekła, by zachować się tak jak on. Mogłaby go chyba zamordować... Mruczając niecenzuralne epitety pod adresem pogrążonego w nieświadomości księcia, w końcu opadła na poduszki.

Było, rzecz jasna, całkowitą niemożliwością zignorowanie faktu, że tuż obok śpi szalenie przystojny, a czasem nawet czarujący książę Northbridge. Nie w porządku było, że gdy on śpi spokojnie jak dziecko, ją dręczą wątpliwości i obawy... Gdzieś na dnie duszy tliła się jednak radość, że okazał się człowiekiem honoru i nie wykorzystał sytuacji pomimo całej jej przeszłości i pomimo przebrania. No, no - mruknęła. Znieważona przez tego idiotę, śpiącego snem sprawiedliwego na niewygodnej kanapie, równocześnie nie mogła nie myśleć o tym, jaki jest wspaniały.

Westchnęła i podciągnęła kołdrę pod brodę. Minęła godzina, zanim zdołała wreszcie zasnąć.

Długo majaczyły jej w głowie jakieś pogmatwane, nieskoordynowane senne wątki, aż wreszcie znalazła się znowu, jako mała dziewczynka, w domu ojczyma. Jeździła konno, tak jak codziennie, żeby przebywać w domu najmniej jak się da. Tym razem była jednak poza domem zbyt długo i wróciła już po zmroku. W hallu czekał na nią Hiram Babcock, pijany i wściekły.

Nic nie dały wyjąkane przez nią usprawiedliwienia, tłumaczenia, prośby. Ojczym wyrwał jej bat i uderzył. „Nie, proszę, nie!” - krzyknęła. Na próżno.

Potężnym ciosem pięści powalił ją na podłogę. Stał nad nią, uniósł bicz i świsnął ją z całej siły przez plecy. Pałący ból rozdarł jej ciało. Krzyczała, błagała o łaskę, ale nikt nie przybył na ratunek. Był tylko ból, przerażenie i smagająca bez litości szpicruta.

- Nie!

Poczuła, że obejmuje ją ramionami. Broniła się rozpaczliwie. „Isabel, Isabel!” - słyszała jego głos.

Z płaczem usiłowała uwolnić się z jego objęć, ale duże, silne ramiona trzymały ją jak w kleszczach.

- Isabel, obudź się! Miałaś koszmarne sen. Isabel!

Wstrząsana łkaniem, zmusiła się do otwarcia oczu i zobaczyła nad sobą przerażoną twarz Bretta. To był on, a nie Hiram Babcock. To on siedział obok, trzymał ją w ramionach i potrząsał, usiłując obudzić.

Zdradziła się.

Konwulsyjnie zaczerpnęła powietrza, próbując nadać głosowi spokojne brzmienie.

- Już dobrze, Brett. Jestem przytomna.

Nadal ją obejmował.

Ach, jak chętnie złożyłaby głowę na tej szerokiej piersi i wyplakała cały lęk, całe nagromadzone w niej przerażenie... A on żeby trzymał ją mocno w swoich silnych ramionach.

- Płakała pani - powiedział szorstko. - Bałem się o panią.

Pomyśli pan, że straszna ze mnie ciamajda - odparła, uwalniając się od niechcenia z jego objęć. - To stary sen. Dawno o nim zapomniałam.

To stary sen, który wciąż panią dręczy - zareplikował. Dotknął dłonią jej policzka, podtrzymując kciukiem podbródek, tak że musiała patrzeć mu w oczy, drugą ręką zaś odgarnął jej z twarzy parę kosmyków włosów.

Nie mogła powstrzymać dreszczu, jaki budził w niej jego dotyk, tak czuły, tak łagodny.

Poczuła, że wyostrzyły jej się wszystkie zmysły. Tak jakby dostrzegała w tej chwili więcej niż tę szeroką pierś, częściowo odsłoniętą przez odpięte guziczki koszuli, niż przyspieszony, chrapliwy oddech, napięcie w twarzy, będące odbiciem jej własnego.

Pokój wydawał się ogromny, gdy siedziała tak na łóżku z Brettem, rozczochrana, w cieniutkiej nocnej koszuli nie stanowiącej żadnej ochrony...

Przepraszam, że pana obudziłam - zdołała wydobyć z siebie. - Proszę nie myśleć o tym więcej.

Isabel...

Czuję się zupełnie dobrze. Niech pan wraca na kanapę, którą pan wybrał w typowo męski, tyrański sposób, i śpi. Niewiele snu nam zostało.

Powiódł palcami po jej policzku. Zadrżała. Przez jeden szalony moment wydawało się jej, że ma zamiar zagarnąć ją ramionami. Jak bardzo tego chciała... Blask jego błękitnych oczu przygasł.

- Doskonale - powiedział. - Dobrej nocy.

I wrócił na kanapę.

Isabel powoli opadła na łóżko i podciągnęła kołdrę pod brodę. Dopiero wtedy pozwoliła, by drżenie ogarnęło jej ciało. Niby grom powróciło wspomnienie ogłuszającego wystrzału z pistoletu. Hiram Babcock osunął się martwy na podłogę biblioteki. A Jonasz Babcock czekał na nią w Thornwynd.

6

9 maja 1804 roku, ranek

Bilby, Nottinghamshire

Gdy Isabel obudziła się następnego ranka, pokój zalany był słonecznym blaskiem.

Przeciągnęła się i zdała sobie sprawę, że spała znacznie dłużej niż zwykle.

Zdrętwiała ze strachu.

Uniosła głowę. Bretta nie było w pokoju. Na kanapie leżały porządnie złożone koce.

Odetchnęła, aczkolwiek deprymująca była myśl, że prawdopodobnie obserwował ją, gdy ona pogrążona była we śnie, całkowicie bezbronna. Wystarczająco źle się stało, że odkryła się raz, ale żeby po raz drugi?

Szybko wyskoczyła z łóżka. Wciąż nie mogła otrząsnąć się z tamtego sennego koszmaru, podobnie jak nie mogła zapomnieć dotyku palców Bretta na policzku, jego napiętej twarzy, nakazującego gestu, którym skłonił ją, by spojrzała mu prosto w oczy. Nigdy nie czuła się tak obnażona. Nigdy przedtem nie zapragnęła tak zaufać mężczyźnie. Poczwała, że jest w niebezpieczeństwie.

Idąc w kierunku umywalni, nagle zamarła. W niebezpieczeństwie? Z powodu apodyktycznego, nieustannie krytykującego ją księcia? Idiotyczne! I przerażające. Nigdy wcześniej nie czuła takiej mieszanki tęsknoty, zachwyty i lęku... A to wszystko przez Bretta, stwierdziła z goryczą. Nigdy w kontakcie z mężczyzną nie zdarzyło się jej, by emocje grały aż taką rolę. Jej mechanizmy obronne nigdy nie były tak słabe. Niewątpliwie to dowód, że pora zmienić strategię.

Musi na nowo wznieść mur, który został zburzony tej nocy przez ów senny koszmar.

Najważniejszą sprawą jest bezpieczeństwo. Nie wolno jej tęsknić za powrotem do atmosfery koleżeństwa, jakie łączyło ją z Brettem, gdy występowała jako Jack. Nie może wystawiać się na pokusę szczerości. Musisz być twarda, dziewczyno - mruknęła. -

Pamiętaj, że odpowiadasz za czyjeś życie.

Szybko umyła się i ubrała, upięła swoje czarne loki i pospieszyła na dół, do sali jadalnej. Jamie, z wąsami, kończył właśnie śniadanie. Na szczęście nigdzie nie było widać Bretta.

Nareszcie! - zawołał Jamie. - Zaczynasz ostatnio długo sypiać, moja wnuczko.

Wybacz mi, dziadku. Nie wiem, co mi się stało - Isabel zajęła miejsce i naala sobie filiżankę herbaty.

Co będziesz jadła?

Nie jestem głodna - odparła. - Herbata będzie w sam raz.

Jamie spojrzał na nią lekko skonsternowany.

Znowu miałaś koszmary? Westchnęła.

Tylko jeden.

O jeden za wiele. Co cię dręczy?

- Myślę, że byłoby słuszne, gdybyśmy przyjęli nowe role w naszej grze - powiedziała Isabel z godnym podziwu spokojem. - Ty i ja zostaniemy bratem i siostrą, a Brett naszym wujem. Twoje wąsy zbyt rzucają się w oczy. Nie chcę też, żebyś znowu grał stajennego.

Jamie, patrząc na nią, skinął ze zrozumieniem głową.

Od tej pory masz zawsze być w zasięgu mojego wzroku - ciągnęła.

Doskonale.

Jamie dopił kawę, Isabel zaś herbatę i razem wyszli na podwórko. Brett - nieskazitelny w swoich brązowych bryczesach i rdzawym jedwabnym surducie, rozmawiał z Dawkinsem. Czemu ten książę upiera się, by każdego dnia wyglądać coraz atrakcyjniej?

Odwrócił się i dostrzegłszy ich, podszedł szybkim krokiem.

- Cieszę się, że wypoczęłaś, pani Gollings. Jakże się czujesz?

Och, jestem w doskonałej formie - odparła Isabel, lekko zmieszana jego szczerą troską.

Czy jadłaś śniadanie?

Nie jestem głodna.

Isabel... - zaczął Brett, przybierając swój apodyktyczny ton.

Jedziemy? - spytała chłodno.

Co za uparta kobieta - mruknął Brett. - Dlaczego kazała pani Dawkinsowi po raz kolejny zmienić powóz?

Tak będzie bezpieczniej - odparła.

Nie uznała pani za stosowne naradzić się ze mną w tej sprawie?

Dawkins jest zdania, że to znakomity powóz.

Nigdy nie przyszło pani do głowy, żeby od czasu do czasu odwołać się do mojej opinii?

Nie, nigdy - odparła Isabel. Jamie podał jej rękę i pomógł wejść do bryczki, po czym wsiadł sam. Brett poszedł w ich ślady.

Rozmawialiśmy z Jamiem - powiedziała Isabel, gdy ruszyli, nie dając księciu dojść do słowa - i zdecydowaliśmy, że pora zmienić kostiumy jeszcze raz. Jamie i ja jesteśmy obecnie Arabellą i Julianem Porter, pan zaś wciela się w postać naszego wuja, Hugo Pierponta.

- Waszego wuja? - wybełkotał Brett w poczuciu zniewagi.

Isabel ukryła rozbawienie. Trzeba było wznosić mur.

Zapewniam pana, panie Pierpont, że jest pan najmłodszym bratem naszej ukochanej matki.

Za wszelką cenę chce więc pani uniemożliwić mi bycie człowiekiem godnym szacunku?

Jest pan niezwykle godnym szacunku wujem.

Nie zamierzam nieustannie tańczyć tak, jak mi pani zagra, madame! Ta ciągła maskarada głęboko mnie obraża.

Czy cokolwiek, co zapewnia bezpieczeństwo Jamiemu, może być obraźliwe? - Isabel zdjęła obrączkę i schowała ją do torebki, z trudem tłumiąc westchnienie ulgi. Gdyby tylko nie musiała siedzieć teraz tak blisko Brett'a, co nieuchronnie przywodziło na myśl intymny klimat ostatniej nocy, odzyskałaby spokój.

Są pewne granice dobrego obyczaju, których wcale nie trzeba przekraczać, by zapewnić Jamiemu bezpieczeństwo! - odparował.

Wuj, który podróżuje ze swoim siostrzeńcem i siostrzenicą, w pełni mieści się w granicach dobrego obyczaju, zapewniam pana, sir.

Książę spojrzał na nią z trudnym do odgadnięcia wyrazem twarzy. Było to deprymujące, a jeszcze bardziej rozdrażnił Isabel fakt, że nieoczekiwanie przerwał spór, by spędzić kolejną godzinę na pisaniu listu do siostry.

Mam nadzieję, że nie opisuje jej pan naszej podróży ze szczegółami? - spytała.

Powinna pani bardziej ufać memu zdrowemu rozsądkowi, madame - odparł, nie podnosząc nawet oczu znad arkusika papieru.

Dojechali do Blyth nieco po pierwszej. Ponieważ musieli ponownie zmienić konie i pojazd, pozostawili Dawkinsa, by dopilnował stajennego, sami zaś poszli się posilić. W czasie gdy Brett zajął się wysyłką listu, Jamie i Isabel spróbowali dowiedzieć się, gdzie w mieście można najlepiej zjeść. W gospodzie Pod Królewskim Cierniem, do której ich skierowano, spędzili godzinę przy fatalnym posiłku, podczas którego Jamie i Isabel z zapalem odgrywali role siostrzeńca i siostrzenicy. Przyjemnie było ponękać trochę księcia i uciec od własnych krnąbrnych myśli.

Ależ wuju! - zawołała Isabel przy serze i owocach, które wreszcie okazały się jako tako jadalne. - Chyba nie chcesz, żebyśmy kontynuowali podróż przez resztę dzisiejszego dnia! Przecież w Blyth jest tak przyjemnie... Kiedy wjeżdżaliśmy do miasta, zauważyłam bardzo elegancki sklep z odzieżą, a w witrynie żółty kapelusz z takimi wspaniałymi strusimi piórami!

Masz już wystarczająco wiele kapeluszy, Arabello - odparł surowo Brett. Z pewnością nie będzie wujem pobłażliwym, o nie.

Ale wuju... - upierała się Isabel - to był taki wytworny kapelusz! Wszystkie dziewczęta w Plockton by mi go zazdrościły... Kup mi go, wuju, proszę! Wiesz, jak będzie mi w nim do twarzy?

Będziesz w nim wyglądać jak jakiś łobuziak, Arabello - warknął Brett. - Dość tego. Źle oceniasz moją siostrę, wuju Pierpont - Jamie udał, że nie rozumie dalekiej od subtelności aluzji księcia. - Na pewno będzie wyglądać świetnie w tym kapeluszu. A jeśli chodzi o mnie, to jak wychodziliśmy z powozu, zauważyłem warsztat szewski ze wspaniałą parą bucików z cholewkami. Muszę je mieć, wuju, inaczej nie pokażę się w mieście. To ostami krzyk mody! Nie mogę paradować publicznie w pantoflach, nawet na obcasach, jak te. Uważano by mnie za kompletnego żółtodzioba.

Nikt nigdy nie weźmie cię za żółtodzioba - zauważył ponuro Brett.

Och, dzięki, wuju! Wiedziałem, że się zgodzisz! - Jamie zerwał się z miejsca. - Idę kupić je natychmiast. Tylko sakiewkę, wuju, jeśli łaska...

Nie powiedziałem... - zaczął Brett.

To nie potrwa długo, wuju. Umiem sobie radzić z tymi prowincjonalnymi sklepikarzami.

No, wujaszku...

Książę wpatrywał się przez moment w twarz chłopca, po czym, ze śladami uśmiechu w kącikach warg, wyjął sakiewkę i wręczył mu parę monet.

Tylko uważaj, gdzie idziesz i z kim rozmawiasz - ostrzegł.

Naturalnie, wuju. Będę uosobieniem czujności - zapewnił go Jamie i w podskokach wybiegł na ulicę.

Czy naprawdę ma zamiar kupić te buty z cholewkami? - zwrócił się Brett do Isabel.

- Ależ naturalnie, sir. Przecież powiedział, prawda?

Brett sprawdził zawartość sakiewki.

Macie zamiar doprowadzić mnie do ruiny, zanim nasza podróż dobiegnie końca, tak?

Jak to, sir, przecież dżentelmen o takiej pozycji ma chyba dość pieniędzy, żeby móc sprawić przyjemność swoim siostrzeńcom paroma drobiazgami i uratować ich od hańby

bycia niemodnymi, czyż nie?

Uniósł brew.

A zatem chce pani mieć ten kapelusz, tak?

Czemu nie. Jest fantastycznie odrażający.

No tak. Właśnie takim kryterium kieruje się Fanny, ilekroć odwiedza sklep modniarski.

A mimo to odnosi się pan do siostry z czułością.

O tak - przyznał Brett, sięgając po kawałek sera. - Aczkolwiek Fanny jest szalenie uparta i we wszystkim musi postawić na swoim.

- A więc to się zdarza w pana rodzinie, tak?

Brett spojrzał na nią ze złością.

Szkoda, że wśród tylu bezcennych umiejętności Monty nie nauczył pani również dobrych manier.

Monty zawsze wyżej stawiał prawdę niż subtelności.

Dobre maniery - odparł chłodno Brett - to warunek istnienia cywilizowanego społeczeństwa.

Uważa mnie pan zatem za barbarzyńcę?

Uważam panią za lisicę z językiem żmii!

Sir! Cóż za fatalne maniery pan prezentuje, mówiąc coś takiego!

- Najwyraźniej za rzadko dostawała pani baty w dzieciństwie.

Isabel poczuła, jak w gardle rośnie jej kula. Zbladła.

- Jamie miał już chyba dość czasu, żeby wytargować odpowiednią cenę za buty.

Idziemy?

Wstali. Książę sztywno podał ramię Isabel i wyszli z zajazdu. Obok zaprzęzonego w czwórkę koni powozu stał Dawkins.

Gdzie mały, Dawkins? - spytał Brett.

Nie widziałem go, sir, odkąd weszli państwo do środka - odparł woźnica, sprawdzając uprząż. - Myślałem, że jest z wami.

Isabel ścisnęła ramię Brett'a.

Jamie poszedł do szewca, Dawkins. Musiałeś go przecież widzieć?

Byłem przy koniach, panienko. Mogłem nie zauważyć, jak wychodzi.

Gdzie jest ten szewc? - spytał Brett, zniżając głos.

Tędy - Isabel pociągnęła go za ramię, niemal puszczając się biegiem. Książę wstrzymywał ją.

Pamiętaj o swojej roli, siostrzenico. Sama ją przecież wybrałaś - ujął ją pod rękę, tak jak zrobiłby to troskliwy wuj, i poklepał uspokajająco drugą dłońią. - Na pewno nie może się zdecydować, jakie chwaściki wybrać, złote czy srebrne.

Tak, z pewnością.

Szewc miał swój warsztat zaledwie o trzy domy dalej. W silnie pachnącym skórą pomieszczeniu nie było nikogo prócz właściciela.

Dzień dobry - zwrócił się do niego Brett. - Szukam mojego siostrzeńca, siedemnastoletniego kawalera. Nie widział go pan?

Siostrzeńca, sir? - starzec odsunął okulary na czoło i zmierzył ich spojrzeniem od stóp do głów. - A jak wygląda?

Trochę wyższy niż ta oto moja siostrzenica, barczysty, o brązowych oczach i włosach. Powinien pan go widzieć w ciągu ostatniego kwadransa.

- Nie, sir. Nikogo nie widziałem od dwóch godzin.

Isabel zadrżała.

- Dziękuję - powiedział Brett i szybko wyprowadził ją ze sklepu. Stanęli, patrząc na siebie w milczeniu. Isabel nerwowo splatała i rozplatała dłonie.

Gdzie on może być? - szepnęła.

I co sprawiło, że nie dotarł do szewca? - zawtórował chmurnie ksiązę.

7

9 maja 1804 roku, wczesne popołudnie
Nottinghamshire

Podzielili miasto między siebie. Brett miał przepatrzyć część północną, Isabel zaś południową. Poruszali się szybko, zachowując mimo to zewnętrzny spokój, tak by nikt nie pomyślał, że dzieje się coś szczególnego. Isabel z pewną trudnością przyszło jednak zwalczyć rzucające się do gardła mdłości, powstrzymać drżenie rąk i nie pozwolić, by lęk rozszerzał jej żrenice, gdy sprawdzała kolejne sklepy, alejki, dachy domów, gdy zaglądała za powozy i do ich wnętrza, gdy przysłuchiwała się grupkom rozmawiających między sobą ludzi - wszystko na próżno.

Jamie zniknął.

Z każdą minutą przerażenie Isabel było coraz większe.

Jamie zaginął, a ona nie zrobiła nic, nic, żeby go ochronić!

Wróciła do zajazdu i podeszła do Dawkinsa, stojącego przy koniach.

Widziałeś go, Dawkins? - szepnęła.

Nie, panienko. Ani widu, ani słyhu - odparł woźnica.

A pan Pierpont?

Jest tutaj.

Odwróciła się i zobaczyła Bretta. Jeden rzut oka powiedział jej wszystko.

Żywy czy martwy, musi gdzieś być! - krzyknęła. Duże, ciepłe dłonie Bretta ujęły jej twarz.

Znajdziemy go, Isabel, i to jak najbardziej żywego. Obiecuję pani. Wiedziała, że to szaleństwo, ale patrząc w jego pełne determinacji

niebieskie oczy, wierzyła mu. Jego pewność siebie wracała jej siły.

Szukajmy jeszcze raz - powiedziała.

Tak, naturalnie.

Na lekko uginających się nogach poszła z powrotem własnym śladem, teraz już otwarcie pytając czy ktoś nie widział jej brata. Opisywała jego wygląd, usprawiedliwiała go, mówiąc: „On wciąż robi jakieś figle i znika, a wuj się spieszy i chce, żebyśmy jak najszybciej wyjechali”.

Nikt go nie widział. Nikt z nim nie rozmawiał.

Och, co ona zrobiła! Bawiła się z nim w komediantów, a przecież nie powinna była dopuścić, by choć na moment zniknął jej z oczu! Zawiodła go, zawiodła Monty'ego. Była teraz jednym wielkim przerażeniem i poczuciem winy. Jamie został porwany, prawdopodobnie zamordowany, i to ona bezmyślnie posłała go na śmierć!

Panika Isabel wzrosła do tego stopnia, że podskoczyła, gdy nieoczekiwanie poczuła na ramieniu czyjąś dłoń. Gwałtownie odwróciła się i zobaczyła Bretta. Twarz miał poważną. Znalazłem go - powiedział, zanim zdążyła spytać.

Czemu nie ma go z panem? Czy... nie żyje?

Skądże - ścisnął ją uspokajająco za ramiona. - Żyje, jak najbardziej. Szok i ulga były tak ogromne, że na moment oparła się na piersi

Bretta, wdzięczna za siłę, z jaką ją podtrzymał.

Czemu więc nie jest z panem?

Jest w niebezpieczeństwie. Niech pani idzie ze mną.

Wziął ją za rękę i poprowadził płataniną bocznych uliczek na północny kraniec miasta. Ciepły, mocny uścisk jego dłoni przywracał równowagę.

Tutaj - Brett wskazał zrujnowany dom otoczony resztkami rozwalonego płotu. Podwórko zarośnięte było chwastami i zasypane rumowiskiem.

Kto go tu trzyma?

Dwóch mężczyzn, których nigdy wcześniej nie widziałem. Nieciekawa para. Chodźmy. Jeśli będziemy ostrożni, pokażę go pani.

Po cichu przeszli na tył domu. Wspiąwszy się na palce, Isabel zdołała zajrzeć przez brudną szybę do środka. Jamie siedział na krześle z wysokim oparciem; ręce i nogi miał związane. Na skroni widniała pręga, świadcząca, że aby go przyprowadzić w to odrażające miejsce, użyto siły. Nieduży, chudy człowieczek stał przy stole z wymierzoną w niego lufą; drugi, większy i groźniejszy, wyglądał przez wychodzące na główną ulicę okno.

Kiedy dostaniemy zapłatę? - spytał człowiek ze strzelbą.

Powiedziałem ci, że George i reszta przyjdą tu po niego za parę godzin.

Ale czy jesteś pewien, że mamy właściwego chłopaka?

Wszystko się zgadza z opisem, jaki dał nam Brady. Nie ma mowy o pomyłce. Z rozwalonym łbem czy nie, pewny był, że to ten. Zamknij się i rób, co do ciebie należy!

Isabel i Brett cofnęli się w krzaki i spojrzeli po sobie.

Psiakrew, co za chłopak! - zaklął Brett. - Jak on zdążył popaść w takie kłopoty w tak krótkim czasie?

Cecha rodzinna - skrzywiła się Isabel. Teraz, gdy zobaczyła Jamie-go żywego i prawie bez szwanku, wróciła jej normalna pewność siebie.

Myślał o butach, a nie o zachowaniu ostrożności, i tak go złapano - westchnął ciężko Brett. - Dobrze. Co teraz robimy?

Isabel spojrzała na zrujnowany dom i uśmiechnęła się.

- Czy myślał pan kiedyś o tym, żeby wystawić tragedię w Cheltenham?

Księżę Northbridge popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Potrzebuję nie więcej niż kwadrans - mówiła szybko, żeby uprzedzić liczne obiekcje, które najwyraźniej miał na końcu języka. Stawką było życie Jamiego. Księżę może się zastanawiać, co jest zgodne z dobrym obyczajem, a co nie, kiedy indziej. - Chcę, żeby pan się przebrał. Ma pan w swoich rzeczach błękitny surdut z najprzedniejszej wełny. Włóż go pan. Uwydatnia pańskie szerokie barki, a zależy mi, żeby pańska sylwetka robiła wrażenie.

Zanim Brett zdążył odpowiedzieć, rzuciła się pędem w jedną z bocznych uliczek. Jak obiecała, wróciła po kwadransie w żółtym kapeluszu ze strusimi piórami, w rudej peruce i srebrzystym płaszczu, który krył suknię.

Nie rozpoznałby jej, gdyby nie kapelusz i znajomy łobuzerski błysk w szarych oczach. Wlepił w nią osłupiały wzrok.

- Tak, tak, Harcourt, wiem, że podoba ci się kapelusz. Zawsze go uwielbiałeś.

Brett zamrugał.

Jak to, więc znowu jesteśmy mężem i żoną?

Na chwilę - odparła chłodno.

No, skoro tak, to musi pani mieć pierścionek - Brett zdjął sygnet z małego palca. - Czy mogę prosić, by go pani włożyła?

Skoro posłuchał pan mojej rady w sprawie surduta, nie pozostaje mi nic innego, niż podporządkować się w sprawie pierścionka - powiedziała. Nie mogła powstrzymać lekkiego drżenia, gdy wsuwała pierścień na palec.

Co teraz? - spytał księżę.

Teraz - Isabel przez moment zabrakło tchu - zagra pan znieważonego małżonka.

Jamie siedział na twardym krześle, przeklinając siebie w duchu za swoją nieostrożność.

Jeśli Isabel i Brett nie odnajdą go wkrótce, będzie musiał wymyślić jakiś plan ucieczki.

Niestety, w głowie tak mu pulsowało od ciosu, jaki mu zadano, że myślenie było poważnie utrudnione.

Wtem ciszę rozdarł mrozący krew w żyłach krzyk. W następnej chwili do izby wtargnęła kobieta w dziwnym kapeluszu, wrzeszcząca ile sił w płucach:

- Pomocy! Ratunku! - I rzuciła się w ramiona człowieka ze strzelbą, umiejętnie przytrzymując go tak, że nie mógł się ruszyć. - On oszalał! Pomocy!

Do izby wpadł Brett.

- Ręce precz od mojej żony, łajdaku!

Zanim rzekomy napastnik zdołał wykrztusić jakąkolwiek odpowiedź, Brett wyrwał Isabel z jego rąk i wymierzył mu cios w twarz. Napastnik padł bez zmysłów na podłogę.

- Och, Harcourt, nie! Nie rób tego! - zawodziła Isabel.

Harcourt nie słuchał jej. Odwrócił się do osłupiałego mężczyzny stojącego pod oknem.

Jak pan śmie obrażać moją żonę! - ryknął.

Co do diabła...

Trzy mocne ciosy powaliły i tego zbrojnego na ziemię. Żona i mąż rzucili się ku Jamie, który śmiał się tak, że aż łzy spływały mu po policzkach.

- O, Boże! - wykrztusił. - Nie myślałem, że kiedykolwiek będę świadkiem podobnego spektaklu. Harcourt, doprawdy!

Jamie, kochany! Nic ci się nie stało?

Nigdy nie czułem się lepiej. Uspokój się, Isabel.

- Jak, na Boga, zdołali cię złapać? - spytała, wyciągając nóż z rzemiennej uchwytu przy kolanie i rozcinając jego więzy.

Jamie oblał się rumieńcem.

- Podziwiałem właśnie pięknego setera, kiedy dostałem w głowę. Nawet nie zdążyłem dojść do szewca. - Więzy opadły. Z westchnieniem ulgi rozprostował ramiona i podniósł się, by napotkać ciskające pioruny spojrzenie księcia Northbridge.

Należałoby cię wychłostać, James.

Ma pan całkowitą rację, sir - zgodził się potulnie Jamie.

Dwaj łotrzykowie na podłodze zaczęli zdradzać oznaki powrotu do przytomności. Nie pytając Jamiego ani Isabel o zdanie, Brett szybko związał ich, zakneblował i pozostawił na podłodze.

- Znajdą was tu albo nie - poinformował ich, po czym zwrócił się do Jamiego i Isabel: - Zabieramy się stąd, póki czas.

Wybiegli z domu i pospieszyli bocznymi uliczkami do czekającego na nich powozu.

- Ruszaj ostro, Dawkins - polecił Brett woźnicy. Wskoczyli do powozu, konie poszły w cwał. Wkrótce Blyth było za nimi.

Przez chwilę cała trójka patrzyła na siebie w milczeniu.

- Odkryto nas - wypowiedziała na głos Isabel to, o czym wszyscy myśleli. - Jazda powozem przestała być bezpieczna. Nasze obecne wcielenie, kobieta w towarzystwie dwóch mężczyzn, też przestało być wcieleniem bezpiecznym.

To prawda - zgodził się pochmurnie Brett. - W najbliższym mieście zamienimy ten powóz na wierzchowce.

A ja - dodała Isabel - znowu zamienię spódnicę na bryczesy.

Nie widzę potrzeby... - zaczął Brett.

Czy kiedykolwiek jechał pan na siodle po damsku? - spytała. - Spódnica utrudnia swobodę ruchów, a to jest dla nas szczególnie ważne. Nie zgadzam się na nic, co by zwiększało zagrożenie, w jakim znajduje się Jamie.

Mógłbym uznać, być może, potrzebę zmiany pani przebrania jako kobiety, ale nie mogę uznać i nie zgadzam się, żeby znowu występowała pani w roli mężczyzny!

Sądzi pan, że ma coś do powiedzenia w sprawie mojego postępowania? Tu chodzi o Jamiego i jego życie muszę mieć na uwadze, a nie pańskie sztywne poglądy na to, co jest stosowne, a co nie!

Niepokoi mnie - zdołał wtrącić Jamie - że człowiek mojego wuja ma przyjechać do Blyth.

Tak, to rzeczywiście niepokojące - zgodziła się Isabel. Przypomniała sobie list Brett'a, jakoby do siostry... Nie, to niemożliwe! Pomógł jej przecież uratować Jamiego. A jednak...

- Wygląda na to, że zagrożenie rośnie - zauważyła.

Miejmy przynajmniej nadzieję, że głupota maleje - Brett rzucił karcące spojrzenie na Jamiego.

Nie oddalę się od was na krok, dopóki nie będziemy na miejscu, w Ravenscourt.

Przysięgam, sir - zapewnił go pospiesznie Jamie. - Pod koniec podróży będziecie mieli mnie po dziurki w nosie.

Dlaczego sądzisz, że nie mam cię po dziurki już teraz? - odparował Brett.

Ojej, Isabel. Uprzejmy dżentelmen zaczyna być na nas wściekły - zauważył Jamie.

Wściekły jestem na ciebie za twoje eskapady, młokosie, ale nie na Isabel. Chociaż ten jej kapelusz...

Isabel podniosła wzrok i szybko zdjęła kompromitujące nakrycie głowy.

Jest uroczo brzydki, prawda?

Uroczo - uśmiechnął się Brett z roztargnieniem.

Swoją drogą niezły z pana mistrz w razie potrzeby - zauważył z uznaniem Jamie.

Miejmy nadzieję, że nie będę więcej musiał brać udziału w podobnym przedstawieniu i wykorzystywać moich bokerskich umiejętności tylko po to, żeby wyciągać cię z kłopotów, w które wpadasz przez własną głupotę - odparł chłodno książę.

- Sam pan pozwolił mi wyjść - powiedział Jamie z naciskiem.

Ku swemu zaskoczeniu odkrył, że jego opiekun dysponuje dość obszernym słownikiem inwektyw, takich jak dureń, głab kapuściany czy zakuta pała, przy czym wszystkie zostały skierowane ze znaczną energią właśnie przeciw niemu.

Droga była nierówna, jazda szybka, trzęsło tak, że o mało nie wytrzęsło im duszy z ciał.

Rozmowa była praktycznie niemożliwa, dopóki nie dotarli do miasta Oldcotes. Isabel, z walizką w ręce, udała się do zajazdu. Dawkins zmienił powóz i zaprzęg, zaś Brett i Jamie wybrali trzy wierzchowce i zajęli się własnymi kostiumami.

Jedź ostrożnie, Dawkins - poinstruował Brett woźnicę, zniżając głos. - Za dwa dni spotkamy się w Farnsfield.

Może lepiej zostanę z wami, sir? - zaproponował Dawkins. - Co cztery pukawki, to nie trzy.

- Na razie nie ma takiej potrzeby. Rób, co ci poleciłem.

Ponury woźnica niechętnie wlaź na kozioł. Zaprzęg ruszył.

Po upływie dwudziestu minut Isabel dołączyła do Bretta i Jamiego, tym razem nie jako kobieta ani nawet jako Jack Cavendish, ale jako elegancki, wyperfumowany fircyk. W żółtych bryczesach, ściśle opinających kształtne nogi, zielono-brązowej kamizelce, zielonym surducie do konnej jazdy haftowanym w kwiaty, w pięknie ufrizonowanej blond peruce, z monoklem w oku i lekko uróżowanymi policzkami, wyglądała olśniewająco.

Książę zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy.

- Odwołuję moje wcześniejsze obiekcje - mruknął.

A żeby go! Miała przecież zamiar rozdrażnić go tym najnowszym wcieleniem.

Och, kuzynie - powiedziała omdlewającym głosem - czy doprawdy nie zdołałeś znaleźć nic lepszego niż te kudłate bestie?

Nie możemy być zbyt wybredni, kuzynie - odparł Brett. Na głowie miał czarną perukę; długi, spływający do ziemi płaszcz ukrywał jakoś jego ubrań.

Ależ, sir - szepnęła, marszcząc z niesmakiem nos - te pokraki cuchną prowincją.

Ponieważ jesteśmy na prowincji, kuzynie.

Isabel uniosła ku niemu strwożone szare oczy.

Tak, sir, ale czy naprawdę musimy ogłaszać to całemu światu? Usta Bretta drgnęły w uśmiechu.

- Wsiadasz na konia, kuzynie, albo wsadzę cię sam, i to w sposób daleki od delikatności. Z ciężkim westchnieniem Isabel wspięła się na siodło.

Pomimo niebezpieczeństwa poczuła się szczęśliwa na końskim grzbiecie. Miło było czuć pod sobą siłę i szybkość wierzchowca, na policzkach powiew wiatru, w nozdrzach woń młodej wiosennej roślinności... Od tak dawna odcięta była od tego wszystkiego, zamknięta w ciasnych wnętrzach kolejnych pojazdów!

Z drugiej strony, choć niechętnie się do tego przyznawała, podróż stawała się dla niej coraz bardziej niebezpieczna. Nie z powodu Horacego Shipleya, ale ze względu na Bretta Avery, księcia Northbridge, jego wymowne błękitne oczy, szerokie bary, silne, czułe dłonie i nieustanną baczną obserwację. Wszystko, co pozwalało uniknąć nadmiernej bliskości, witała z ulgą. Teraz, wolna od klimatu intymności, nieuniknionego w ciasnym wnętrzu powozu, wciągała powietrze pełną piersią, a jej serce biło równo i spokojnie. Była bezpieczna. Pamiętała, kim jest ona, kim on, wiedziała, że nie powinna mu ufać, że nie wolno jej na nim polegać, a już z całą pewnością należy cały czas mieć się przy nim na baczności.

Świeże powietrze oczyściło jej umysł. Mogła teraz na nowo przemyśleć wszystkie zagadkowe fakty. Grubas w Lennox, teraz tych dwóch w Blyth... Jak to się stało, że choć

nikt nie wiedział, któredy będą podróżować, ludzie Horacego potrafili ich odnaleźć? Czyżby jeden z nich jechał ich śladem już od Nave, informując współników o każdej zmianie trasy? A może informator znajdował się wśród nich?

Rzuciła okiem na Brett, trzymającego się w siodle z taką swobodą... Zważywszy wszystkie jego protesty, czyżby zamierzał zrobić krzywdę Jamiemu, albo przynajmniej nie dopuścić go do Thornwynd przed upływem siedemnastego maja? Zgodnie z prawem Jamie musi upomnieć się o dziedzictwo do tego czasu. Ich podróż przez kontynent do Hamburga odbywała się w znacznie szybszym tempie niż obecna, choć musieli unikać walczących armii, a nie paru wynajętych złoczyńców.

Nagle Jamie gwałtownie spał konia. Brett i Isabel, zaskoczeni, również ściągnęli cugle. Co się dzieje, chłopcze? - spytał Brett.

Mamy towarzystwo - wyjaśnił Jamie, oglądając się za siebie. - Milicja.

Milicja? - wykrzyknęła Isabel. Obejrzała się również: w oddali za nimi majaczyły czerwone płaszcze, wyraźnie widoczne pomimo półmilowej odległości.

Naliczyłem sześciu - powiedział Jamie.

Zbliżają się dość szybko - mruknęła Isabel. - Czy to w związku z naszą niefortunną przygodą w Blyth?

Proszę nie robić nic, co by zwróciło ich uwagę - poradził Brett. - Jeśli nas zatrzymają, to nazywamy się Beasley i wracamy do domu w York. Jedźmy spokojnie, jak przystało na jedną z najszacowniejszych rodzin w York.

No, no - mruknął Jamie - czyż nie jesteśmy pomysłowi?

- Niech pan zdejmie perukę, Brett - zaproponowała Isabel. - Wszyscy troje będziemy wtedy blondynami. Kuzynami. Beasleyowie, jak pan powiedział.

Brett skwapliwie zastosował się do jej rady i umieścił perukę w zwisającej u siodła sakwie.

Jechali dalej niespiesznym kłusem. Sześć koni za nimi mknęło galopem.

- Hej, wy tam! Zatrzymać się, w imię króla!

Cała trójka posłusznie ściągnęła lejce.

- Żadnej agresji i żadnego oporu, Jamie - ostrzegła półgłosem Isabel. - Pamiętaj, masz robić to co ja. Zobaczmy czy uda się nam dogadać z tym pierwszym.

Chmurny porucznik na czele pięcioosobowego oddziału zrównał się z trzema podróżnymi.

- Zechciejcie panowie zsiąść z koni - powiedział. - Mam do was parę pytań.

Brett zaskoczył wszystkich obecnych.

Co pan chce przez to powiedzieć, do diabła? - huknął w najwyższym gniewie, zeskakując na ziemię. - Jak pan śmie zatrzymywać uczciwych obywateli na publicznej drodze! Złożę na pana skargę!

Wybacz pan, sir, ale takie mam rozkazy - odparł sztywno porucznik.

Żeby chociaż jeden z tych płaszczy był skrojony jak należy - Isabel szybko otrząsnęła się z szoku, jakiego doznała na widok znakomitego aktorstwa Brett. Mimo wszystko to doprawdy genialny mężczyzna! Bez pośpiechu zeszła z konia i uniosła monokl do oka, by lepiej przyjrzeć się katastrofalnym rezultatom pracy krawców, jakie miała przed sobą. Zadrzała. - Dokąd zmierza ten kraj? - spytała z ubolewaniem.

Co do mnie, to uważam, że wyglądają znakomicie! - włączył się Jamie, zeskakując na ziemię.

Panowie - powiedział porucznik - chciałbym zadać wam parę pytań.

Pan?! - wybuchnął Brett, napierając na nieszczęsnego porucznika, nad którym, choć ten nie był bynajmniej niski, górował o blisko dziesięć centymetrów. - To ja bym chciał znać pańskie nazwisko, a także nazwisko pańskiego zwierzchnika i regiment, w którym pan służy, i o co tu do diabła chodzi, że nas pan zatrzymuje!

Jestem porucznik Hardy, sir. Mam rozkazy, aby zatrzymywać wszystkich podróżnych na tej drodze. Poszukujemy dwóch zbiegów, braci Cavendish.

Zbiegów? - wybuchnął Brett. - Bierze nas pan za zbiegów? Nas? Beasleyów z Yorku?!

Przepraszam, sir - porucznik cofnął się o krok na widok tak wielkiego gniewu. - Nie miałem zamiaru pana obrazić...

Powinienem pana za to wychłostać! Co za afront! Żeby mnie nazwać zbiegiem!

Źle mnie pan zrozumiał, sir. Nie powiedziałem, że jest pan...

Rupert - zwrócił się Brett do Isabel - zapamiętaj nazwisko tego człowieka. Gdy tylko przyjedziemy do domu, natychmiast piszę do mojego dobrego przyjaciela, generała Hammonda. Obedrze ze skóry tego głupca za takie zuchwalstwo!

Błagam, kuzynie - Isabel potarła skronie z wyrazem cierpienia na twarzy - nie hałasuj tak. Wiesz przecież, jak źle znoszę podróż. Głowa pęka mi z bólu od zrzędzenia tego osobnika, a twój grzmiący głos tylko pogarsza sprawę. Ach, czemu nie mam ze sobą trochę jeleniego rogu?

Jak pan doskonale widzi - Brett zmiażdżył porucznika spojrzeniem - nie jesteśmy żadnymi niegodziwymi braćmi Cavendish. Jesteśmy Basleyami z Yorku, doskonale znanymi każdej dobrej rodzinie w całym hrabstwie!

Tak, sir. Jestem pewien, że...

Nie mamy zwyczaju osłaniać zbiegłych przestępców!

Skądże, sir. Jestem pewien, że...

Popieramy każdego króla i każde dobre angielskie prawo od czasów Edwarda II, i nie życzę sobie, żeby jakaś młokos porucznik mówił mi...

Proszę o wybaczenie, sir - przerwał pospiesznie porucznik. Jego także zaczynała boleć głowa. - To jasne, że jesteście panowie uczciwymi obywatelami, a nie ludźmi, których poszukujemy. Życzę panom miłego dnia. - Szybko podszedł do konia, wsiadł i cwałem odjechał.

Jamie wybuchnął śmiechem.

- Doskonale pan zagrał, sir. Wyraźnie ma pan do tego talent. Monty byłby z pana dumny.

- Nawet Kean nie powstydziliby się takiej gry - przyznała Isabel, zastanawiając się równocześnie, dla kogo była ona przeznaczona: dla niej i Jamiego czy dla milicji?

Brett w milczeniu patrzył na oddalających się drogą sześciu jeźdźców. To nie była angielska milicja. Płaszcz mieli jak należy, ale buty... Tak, to byli oszuści. Tylko skąd się tu wzięli i po co? I jak się dowiedzieli o braciach Cavendish? Czy Isabel i chłopak, biorąc pod uwagę wszystkie ich kolejne wcielenia, w ogóle mówią prawdę? Czy Horacy zamierza ich porwać, a może nawet zamordować? Brett wciąż na nowo roztrząsał tę kwestię. Horacy Shipley miał wpływy na kontynencie, to prawda, ale nie w Anglii. Nie

miał też dość pieniędzy, żeby kupić usługi sześciu bezmózgich osiłków. A może miał? Nieoczekiwanie Brett przestał być tak pewny świata, jak dotychczas.

Kim są Beasleyowie z Yorku? - spytała Isabel, obracając się ku niemu w siodle.

Miałem na myśli tylko jednego - odparł Brett. - Kuzyna ze strony matki, który jest królem dandysów przechadzających się po Bond Street. Bardzo ich pani przypomina.

Sir! Cóż za zaszczyt!

Brett uśmiechnął się, chociaż jego zatroskanie sprawą fałszywej milicji rosło. Coś było nie tak, coś więcej niż fakt, że sześciu złoczyńców udaje straż w służbie króla. O co tu chodzi?

Wygląda na to, że jesteśmy w niebezpieczeństwie - powiedziała cicho Isabel, wpatrując się jego twarz.

Tak. Ci ludzie mogą w każdej chwili uświadomić sobie własną głupotę i zidentyfikować nas. Musimy przynajmniej unikać tej drogi i Farnfield.

- Ale w Farnfield mamy się spotkać z Dawkinsem - zaprotestował Jamie.

Ja się z nim spotkam. Wy dwoje poczekacie tu na nasz powrót.

Ale... - zaczął Jamie.

Brett ma rację- przerwała mu Isabel, ku jawnemu zaskoczeniu księcia. - Kto wie, co nakłamał Horacy, skoro oddział milicji przeczesuje teren w pogoni za nami... I kto wie, w którym momencie zrozumieją, że zostali wystrychnięci na dudków. Farnsfield rzeczywiście nie jest dla nas bezpieczne, ale Brett nie jest przecież poszukiwany.

No dobrze - zgodził się Jamie. - Ale w takim razie zatrzymajmy się w tej tawernie, którą minęliśmy jakiś czas temu.

Niezbyt to odpowiednie miejsce dla kobiety i młodzieńca - zaproponował Brett.

Ale przynajmniej nie zmokniemy. Lada moment znowu zaczną padać - włączyła się Isabel. - A poza tym doskonale potrafimy dać sobie radę w każdym towarzystwie.

Można by pomyśleć, że jej niedawna solidarność z nim była tylko chwilą zapomnienia...

To właśnie podobne do Isabel: gasić szybko jego nadzieje. Protestował przeciwko pomysłowi zatrzymania się w tawernie, poddawał w wątpliwość ich zdolność obrony, ale na próżno. Jamie i Isabel zawrócili do tawerny, Brett zaś skierował się ku Farnsfield.

9 maja 1804 roku, wczesny wieczór

Nag's Head, niedaleko Farnsfield, Nottinghamshire

Już od niemal dwóch godzin było ciemno. Isabel wpatrywała się w ociekające deszczem okno, bezwiednie gładząc palcami stojący przed nią kufel piwa. Od momentu, gdy przekroczyli próg tej tawerny, dręczyły ją wątpliwości, ona zaś nie chciała wątpić w Brett. Nie mogła dopuścić, by podejrzenia trwożyły jej serce i zaciemniały umysł. Monty nauczył ją jednak, by obserwować baczenie każdą osobę, która pojawia się na jej drodze; starać się przeniknąć jej zamiary, ocenić czy kłamie i jakie jest prawdziwe znaczenie jej słów i uśmiechów. Brett coś przed nimi ukrywał, coś ważnego, coś niebezpiecznego. Czowała to. Zdradzi zarówno Jamiego, jak i Monty'ego, jeśli pozwoli, by rosnąca życzliwość dla księcia uspiła jej czujność i uniemożliwiła trzeźwą ocenę sytuacji. Z trudem podtrzymywała swobodną rozmowę z Jamiem, gdy tymczasem podejrzenia walczyły w jej umyśle z instynktem, wątpliwości z tęsknotą za tym, by zaufać księciu. Wciąż wracało wspomnienie ciepłych dłoni obejmujących jej twarz... Zdołała się jednak opanować i w miarę jak mijały minuty, jej serce twardniało coraz bardziej. Brett spóźniał się. Musi mieć się na baczności.

W końcu poprzez brudne, zalane deszczem okienko dostrzegli podjeżdżającego do drzwi tawerny Dawkinsa. Pospiesznie rzucili na stół parę monet i zanim Brett zdołał na dobre wysiąść z powozu, byli już na zewnątrz.

Wygląda na to, że nic wam się nie stało - zauważył.

Czyżby wątpił pan w nas? - wyszczerzył zęby Jamie. - Spóźnił się pan, sir - powiedziała Isabel.

Zatrzymano mnie.

Jak to?

Brett sprawiał wrażenie nieco zdeprymowanego.

- Ten oddział milicji rozpuścił wieści o nas po całej okolicy. Zaczęli przeszukiwać kolejno dom po domu. Dostali pomoc od szeryfa, który jest człowiekiem dość ograniczonym. Pamiętacie naszego szczerbatego przyjaciela, z którym mieliśmy do czynienia w dniu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy? Nazywa się Brady. Przyjechał do Farnsfield w momencie, gdy właśnie miałem stamtąd wyjeżdżać, i zdołał przekonać tego idiotę szeryfa, że próbowaliście go zabić. Ma dwa imponujące guzy na głowie, które zademonstrował jako dowód. Jesteście obecnie ścigani za usiłowanie morderstwa i za oszustwo. Za schwytanie została wyznaczona nagroda. Musimy uciekać, i to szybko.

Wszyscy troje skwapliwie wspięli się po stopniach do wnętrza powozu.

Do Swanson Hall, Dawkins - zakomenderował Brett.

Ale to nie jest zgodne z planem Monty'ego - sprzeciwiła się Isabel.

Niech pani zapomni o planie Monty'ego! - zawołał zniecierpliwiony. - Potrzebne nam jest bezpieczne miejsce, żeby skryć się przed oddziałem milicji i kogo tam jeszcze zwerbował szeryf Wilcox. Swanson Hall doskonale się do tego nadaje.

Isabel z całego serca pragnęła ustąpić, jednak podejrzenia, jakie zrodziły się w jej umyśle w ciągu ostatnich dwóch godzin, wstrzymywały ją od tego. Czy Brett nie zastawił na nich pułapki? Wydawało się to nieprawdopodobne, ale musiała brać pod uwagę i tę

możliwość. Wiele przeszkód stanęło na ich drodze. Zbyt wiele, by składać je na karb przypadku czy braku szczęścia

Muszę przyznać, iż nie wydaje mi się prawdopodobne, by miał to być przypadek, że poszukuje nas angielska milicja - zaczęła, usiłując zignorować tępy ból w sercu. - I że przypadkiem nasz szczerbaty przyjaciel jechał w ślad za nami aż do Farnsfield, i że przypadkiem tych dwóch zbójów porwał Jamiego w Blyth. Horacy Shipley niewątpliwie maczał w tym palce. Może jest pan w stanie nam to wyjaśnić, Brett?

Ja? - książę wytwornie uniósł brew.

Parę dni temu zwierzył się pan, że podejrzewa, jaką kartę trzyma w rękawie Horacy - mówiła, starając się osłonić nieufnością niczym tarczą. - Wydaje się, że to właściwa pora, by podzielił się pan z nami tymi informacjami.

Nie zabrzmiało to jak prośba. Książę spojrzął na nią zdezorientowany.

Twierdzi więc pani, że o niczym nie wie?

Poruszamy się po omacku - odparła Isabel, sztywniejąc z napięcia. - Dlaczego sądzi pan, że udajemy?

Czy nigdy nie poznałeś swojego wuja, James? - odpowiedział pytaniem Brett.

Nigdy - odparł Jamie. Deszcz bębnił o dach powozu. - Czasem znajdowaliśmy się przypadkiem w tym samym mieście, ale Monty nie chciał mnie przedstawić temu, jak nazywał swojego brata, nikczemnemu łotrowi. Uważał, że ta znajomość nie przyniesie mi żadnej korzyści i trzymał mnie od wuja z daleka.

A zatem dbał o ciebie, mimo wszystko - mruknął książę.

Isabel wyciągnęła z buta nóż i od niechcienia przeciągnęła palcem wzdłuż ostrza. Czula, że jej serce otacza lodowa powłoka.

Poznaliśmy pana pod nazwiskiem Brett Avery. Następnie przedstawił się nam pan jako książę Northbridge. Na Horacego Shipleya jest pan zbyt młody, ale może pan doskonale być na jego usługach. Czy tak jest istotnie?

Nie, Isabel.

Skąd więc ta tajemniczość? Jest pan prawnym opiekunem Jamiego, przysiągł pan chronić jego życie, a mimo to zachowuje pan dla siebie informacje, które mogą okazać się kluczowe dla całej sprawy. Jestem zmuszona zapytać pana, dlaczego pan to robi?

Twarz księcia spochmurniała.

Ponieważ w moich rękach spoczywa odpowiedzialność za jeszcze jedno życie.

Nie za moje, sir. Potrafię obronić się sama.

Nie chodzi o panią, Isabel. Mam na myśli drugiego Jamesa Shipleya.

Jamie wlepił w opiekuna osłupiały wzrok.

Doprawdy? - spytała Isabel. - A gdzie on teraz jest? Błękitne oczy Bretta przewierciły ją na wskroś.

W Thornwynd. Pod dozorem Horacego Shipleya.

Ach tak. A zatem chmury się rozeszły. Teraz już wiem wszystko. - Czubkiem noża Isabel uniosła zapadkę pod sufitem. - Zatrzymaj się, Dawkins - poleciła.

Co pani ma zamiar zrobić? - spytał Brett.

Powóz zakołysał się i stanął.

Wystarczyło jedno spojrzenie Isabel, by Jamie wstał, ruszył za nią ku drzwiom i

założywszy kapelusz, zeskoczył na ziemię.

- Zostawiamy pana razem z pańską bryczką i pańskim szacownym woźnicą, księżę - oznajmiła Isabel, zapinając pelerynę, by uchronić się przed zacinającym deszczem. - Mam nadzieję, że będzie pan miał przyjemną podróż. - Zatrzęsnęła drzwiami. Przeszła na tył powozu, by zabrać bagaże. Że też mogła się tak pomylić co do Brett!

Brett, bez kapelusza i peleryny, ruszył za nią.

Co pani do diabła zamierza?

Zamierzam chronić Jamiego - odparła, wręczając chłopakowi walizki.

Zabierając go z powozu na ten deszcz?

Zabierając go od pana, milordzie - warknęła, zwracając się w końcu twarzą do niego.

Wstrząsała nią ledwo powstrzymywana furia.

Chyba nie sądzi pani, że chłopakowi zagraża z mojej strony jakieś niebezpieczeństwo? - ze zdumienia niemal zabrakło mu tchu.

Naturalnie, że sądzę! - zakipiiała, zabierając swoją walizkę z rąk Jamiego. - Nie widzi pan, w jakie kłopoty zdążyliśmy już wpaść w pańskim towarzystwie? Żegnam, sir. Do zobaczenia w Thornwynd.

Isabel, to przecież szaleństwo - powiedział w desperacji Brett. Blond kosmyki przylepiły mu się do głowy. - Niech pani wraca do powozu.

Szaleństwo? - krzyknęła, dając w końcu upust oburzeniu i lękowi. - O tak, było szaleństwem z mojej strony ignorowanie oszustwa, jakiego dopuścił się pan na samym początku, i sposobu, w jaki nas pan nieustannie obserwuje od sześciu dni. Uważa nas pan za godnych pogardy, nawet jeśli kusi nas pan mirażami przyjaźni. Boże, że też zawierzyłam życie Jamiego takiemu człowiekowi! - Nie mogła mówić. Czuliła taką gorycz i zawód, że z trudnością powstrzymywała płacz. - Proszę zejść mi z drogi, sir.

W żadnym wypadku - Brett chwycił ją za szczupłe ramiona. - Ma pani prawo gniewać się na mnie, ale posuwa się pani za daleko. Skąd mam wiedzieć, który James Shipley jest prawdziwy? Chłopiec przebywający w Thornwynd przypomina Shipleyów i ma dokumenty potwierdzające jego tożsamość. Jamie, przyznaję, jest podobny do swojego ojca i zna jego życiorys, ale utalentowany aktor, a oboje daliście dowody, że nimi jesteście, z łatwością może odegrać podobną rolę. Pani Jamie nie ma żadnych papierów identyfikacyjnych, nawet świadectwa chrztu, a chłopak w Thornwynd je ma, a ma na dodatek rodzzonego wuja, który poświadcza prawdziwość jego zeznań! A Jamie nie potrafi nawet podać wiarygodnej historii swego życia. Skąd mam wiedzieć, kto mówi prawdę?

Istotnie, sir - Isabel wyszarpnęła się z jego chwytu - skąd ma pan wiedzieć? I co ma pan robić, kiedy znajdujący się pod pańską opieką łotr jest ścigany za morderstwo? Nie mam zamiaru usiąść i czekać, aż znajdzie pan odpowiedzi na te pytania.

Dopóki nie wiem, który Jamie jest prawdziwym dziedzicem, obaj są pod moją opieką - oznajmił Brett.

Cóż za uosobienie niewinności. Ponad śnieg bielszym się stanę... -zacytowała Isabel, miażdżąc go spojrzeniem.

Proszę nie zapominać, do kogo pani mówi!

Ależ nie zapominam, sir. Mówię do skończonego drania. Że też mógł pan nas

podejrzewać...

A czy mogłem nie podejrzewać? - spytał ksiązę. - Mówiliście oboje o niebezpieczeństwie, jakie wam grozi, opowiadaliście ze szczegółami o pełnej przygodzie podróży przez kontynent, ale ja nie dostrzegłem żadnego zagrożenia. Aczkolwiek nie ufam zbiegom okoliczności, tamta trójka zbirów na drodze do Little Bowden mogła być takim właśnie zbiegiem okoliczności i niczym więcej. W Lennox nic nie widziałem. Blyth i milicja są podejrzane, to prawda, ale być może Horacy po prostu chroni prawdziwego dziedzica przed waszą niegodziwością? Horacy wie, że pani Jamie jest w Anglii, ponieważ - rzadko zdarzają mi się podobne gafy - powiedziałem mu o tym.

Powiedział pan Horacemu, że Jamie jest w Anglii? - spytała z niedowierzaniem Isabel. Deszcz strumieniami spływał z jej kapelusza.

Tak.

A nie wspomniał pan przypadkiem, że jedzie pan do Northamptonshire, żeby się z nim spotkać?

Niestety, obawiam się, że tak.

Boże, zachowaj mnie od głupców! - jęknęła Isabel, wznosząc oczy ku niebu. - Idziemy, Jamie. Uciekajmy od tego... od tego łajdaka, dopóki jeszcze możemy.

I ruszyła majestatycznym krokiem wzdłuż drogi, z Jamiem u boku, czując, jak furia pulsuje jej w żyłach.

- Czy chłopak jest prawdziwym dziedzicem, czy nie, będę go ochraniał! - krzyknął za nimi Brett.

Nie zatrzymali się.

Z ust księcia wyrwało się całkowicie niecenzuralne przekleństwo. Ruszył za nimi.

- Dość tych bzdur! Proszę natychmiast się zatrzymać!

Nawet się nie obejrzeli.

- Przecież musi pani zdawać sobie sprawę, że to całkiem prawdopodobne, iż Horacy Shipley próbował odciąć drogę temu Jamiemu, żeby ochronić prawdziwego spadkobiercę!

Cisza.

Psiakrew, nie spotkałem dotąd kobiety, która byłaby w stanie tak człowieka rozwścieczyć! Dzięki - warknęła Isabel. Dzielito ją od księcia już dobre dziesięć stóp.

Brett zmuszony był wydłużyć krok.

- Czy ma pani prawdziwego Jamesa Shipleya, czy nie, zamierza pani przedstawić go w Thornwynd. Ja właśnie jadę do Thornwynd. Czy nie możemy podróżować razem w wygodnym, suchym powozie?

Isabel odwróciła się tak gwałtownie, że odruchowo cofnął się o krok.

- A co pan robi, jeśli spotkają nas w podróży kolejne złe przygody?

To samo, co robiłem dotąd, rzecz jasna: spełnię swój obowiązek.

O tak - powiedziała szyderczo - obowiązek. Czy było pańskim obowiązkiem okłamywać nas od samego początku? Czy było pańskim obowiązkiem udawać, że wierzy pan, iż Jamie jest prawdziwym dziedzicem?

Tak! - warknął, chwytając ją za ramiona. - Życie siedemnastoletniego chłopaka spoczywa w moich rękach...

Nie, sir! W moich!

- I moich! - krzyknął, potrząsając nią. - Przysiągłem, że będę ochraniał to życie nawet kosztem własnego. Czy ten chłopiec, stojący tak niezłomnie u pani boku, to prawdziwy James Shipley? Nie mogę mieć pewności. I nie będę jej miał, dopóki nie dotrzemy do Thornwynd i nie skonfrontujemy ich obu. Do tego czasu jest moim obowiązkiem próbować dotrzeć do prawdy i zapewnić bezpieczeństwo temu chłopcu. Jestem człowiekiem honoru, Isabel, i daję pani słowo, że z mojej strony nie spotka Jamiego żadna krzywda. Ku zaskoczeniu księcia Isabel uspokoiła się. Przemoczony do koszuli, po kostki w błocie, stał pośrodku drogi i niemal dosłownie obserwował, jak obracają się trybiki w jej głowie. Spojrzała na Jamiego.

Nie możemy mu ufać.

Zgoda - powiedział Jamie.

Co?! - wybełkotał księżę.

Skoro jednak jesteśmy teraz zdani wyłącznie na siebie, możemy jechać razem z nim - ciągnęła Isabel, tak jakby ze strony księcia nie padły żadne słowa - a przy okazji upewnić się czy nie knuje przeciw nam z twoim wujem.

Ze wszystkich... - Brettowi zabrakło tchu.

Doskonale zatem - Isabel ruszyła ku powozowi, który cały czas jechał powoli za nimi, prowadzony przez Dawkinsa. - Jedziemy z panem, milordzie... na razie.

Zbyt łaskawa jest pani dla mnie - powiedział ponuro Brett. - Naprawdę.

A jeśli ma pan jeszcze jakieś sekrety, to, na Boga, proszę nam je wyjaśnić teraz!

Nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

Cóż za ulga - mruknęła Isabel. Chwyciła walizkę Jamiego, umieściła w bagażniku wraz ze swoją i zabezpieczyła, by nie wypadły.

A zatem będę miał przyjemność cieszenia się nadal pani towarzystwem? - spytał księżę nad podziw potulnie.

Jamie powinien mieć drugiego obrońcę, skoro tak skutecznie wystawił nas pan na machinacje Horacego Shipleya - warknęła, wsiadając do powozu.

Wierzę, że w przyszłości będzie pan nieco ostrożniejszy - powiedział łagodnie Jamie, idąc w jej ślady.

Brett przyglądał się im przez moment, po czym podniósł wzrok na Dawkinsa, który w milczeniu obserwował całą scenę.

Jedziemy, Dawkins. Do Swanson Hall, bocznymi drogami, jakie tylko uda ci się znaleźć.

Pośpiesz się, proszę.

Tak jest, sir - odparł z powagą woźnica.

Brett rzucił mu groźne spojrzenie i wspiął się do środka. Powóz za-turkotał na drodze, po czym skręcił w bok. Brett zdjął przemoknięty surdut z błękitnej wełny i powiesił na wieszaku. Biała koszula i żółta kamizelka były tylko trochę wilgotne. Byłby szczęśliwy, mogąc powiedzieć to samo o bryczesach, ale trudno - może to jego pokuta...

Zaryzykował rzut oka na chmurną twarz Isabel. Ten opiekun w spódnicy wolałby zapewne, by w charakterze pokuty sęp szarpał mu wątrobę... Księżę pomyślał, że i tak wyszedł z opresji stosunkowo dobrze.

- Może zagramy w pikietę? - spytał.

Odpowiedziała mu cisza. Obaj towarzysze jego podróży wpatrywali się w zalane deszczem okienka powozu. Książę poczuł, że nie jest przygotowany na ból, jaki ścisnął jego serce.

10 maja 1804 roku, wczesny ranek

Swanson Hall Nottinghamshire

Deszcz nie padał od dwóch godzin. Niebo rozświetlał wspaniały blask jutrzeńki.

Skryci za kępą zarośli, z pistoletami w rękach, Brett, Isabel i Jamie śledzili wzrokiem sześciu mężczyzn w czerwonych płaszczach, przejeżdżających konno wiejską drogą prowadzącą do wsi Greeley. Milczeli, wstrzymując dech. Dawkins trzymał konie za uzdy, pilnując, by nie rżały. Tętent kopyt powoli cichł w chłodnym porannym powietrzu.

Po dziesięciu minutach Brett uznał, że na razie są bezpieczni i polecił Dawkinsowi, by ruszał. Minął zaledwie kwadrans i znaleźli się na terenie starannie utrzymanego majątku markiza Beaufort.

Sporo wrażeń, prawda? - Jamie przerwał trwającą od dwóch godzin ciszę.

Ta milicja z pewnością szuka tu nas - powiedziała ponuro Isabel.

Swanson Hall będzie naszą fortecą - zapewnił ją lord Northbridge. Wszyscy troje zwrócili spojrzenie na oddalony o jakieś trzysta metrów elżbietański dwór. - Żaden zbir, choćby nie wiem jak opłacony, nie odważy się wtargnąć na teren posiadłości markiza Beaufort.

My z Jamiem zostaniemy w powozie, pani zaś schowa tymczasem swoją walizkę i męskie ubranie w tamtych krzakach po lewej.

Męskie ubranie? - najeżyła się Isabel. - Dlaczego mam się przebierać?

Ponieważ nie życzę sobie, żeby paradowała pani w charakterze młodzieńca przed markizem Beaufort! - odparował.

A to dlaczego?

Madame, istnieją pewne granice dobrego obyczaju, których nie należy przekraczać. Zapewniam pana, Brett - odparła chłodno - że nie przekroczę ani jednej jako Dabney Langford.

Jako kto?!

A ja jestem jej bratem. Edward Langford - przedstawił się z uśmiechem Jamie.

Książę przymknął na moment powieki, jak gdyby błagając niebiosą o wsparcie.

Może pani występować jako Deborah Langford, jeśli pani sobie życzy, ale nie Dabney!

Na jakiej podstawie wyrobił pan sobie całkowicie błędne wyobrażenie, że będę postępować zgodnie z pańskimi poleceniami?

Beaufort to mój przyjaciel, do diabła!

Brett - wymówiła jego imię tak lodowatym tonem, jak nigdy dotąd - jeśli spotkają nas tu jakieś kłopoty, co jest więcej niż prawdopodobne, halka jedynie opóźni naszą ucieczkę. Nie będę również mogła swobodnie rozmawiać z panem, jeśli wystąpię w kobiecym kostiumie. Zasady dobrego obyczaju zakazują takiej swobody, a ja muszę mieć pełny dostęp zarówno do pana, jak i do Jamiego, jeśli zdarzy się coś niepomyślnego. Musi pan brać to pod uwagę.

Nie podoba mi się to - rzekł książę.

To już pańskie zmartwienie, nie moje. A teraz proponuję, żebyśmy już jechali, w przeciwnym razie zostaniemy potraktowani jako bezprawnie naruszający teren prywatny - Isabel uniosła zapadkę i poleciła Dawkinsowi, by ruszał.

Tak jak oczekiwała, od momentu, gdy wysiedli z powozu, Brett przejął pełną kontrolę nad

sytuacją. Zastukał głośno do drzwi, a gdy zaskoczony młody lokaj otworzył je, powiedział niezwykle apodyktycznym tonem:

Dostarczysz natychmiast ten list lordowi Beaufort, dobry człowieku, my zaś poczekamy na odpowiedź.

Ależ sir! Markiz nawet się jeszcze nie obudził! -jęknął lokaj.

A zatem obudź go.

Nie ośmielę się, sir! Pan markiz wydał surowe polecenie...

A ja - huknął książę - wydaję odwrotne! Całą odpowiedzialność biorę na siebie, mój chłopcze. Doręcz tę notatkę i natychmiast wracaj do mnie, nie mówiąc nikomu ani słowa. Wkrótce markiz będzie ci wdzięczny.

W tak znakomitym domu służba była przyzwyczajona do autokratycznego sposobu bycia zarówno chlebobawców, jak i gości. Lokaj był jednak młody, zachowanie księcia zaś więcej niż autokratyczne. Nieszczęsny sługa, nawykły do posłuszeństwa, wprowadził ich więc do saloniku na lewo od wejścia, po czym rzucił się po schodach na górę do sypialni markiza Beaufort.

- Uroczy pokój - zauważyła Isabel. Jamie dołożył do kominka, książę zaś rozsunął zasłony.

Salonik był stosunkowo niewielki w porównaniu z rozległym hallem. Jasne tapety w kwiecisty wzór oraz błękitne i zielone obicia mebli przywodziły na myśl wiosnę.

- Może być - zgodził się Brett.

Isabel stłumiła uśmiech. Przeklęty książę! Budzi w niej rozbawienie, a przecież dwie godziny temu przysięgła sobie w duchu, że znienawidzi go do końca życia.

Czy długo zna pan markiza Beaufort, milordzie? - spytał Jamie.

Poznaliśmy się w Oksfordzie - odparł książę - i widzimy się od czasu do czasu przy okazji wypełniania rozmaitych obowiązków.

Och, a zatem to istotnie niezwykle bliski przyjaciel - zauważyła Isabel.

Książę spojrział na nią.

- Obowiązki i pozycja społeczna stoją znacznie wyżej, niż jakiegokolwiek inne powody do bliskiej przyjaźni, panie Langford.

Do pokoju wpadł zdyszany lokaj.

Doręczyłem markizowi pański list, sir. Powiedział, że zaraz zejdzie.

Znakomicie.

Czy mogę służyć panom kawą lub herbatą? - spytał lokaj.

Dziękujemy - odparł Brett. - O tej porze nie potrzebujemy odświeżenia.

Tak jest, sir.

Northbridge! Dobry Boże, co oznacza do licha ten list i twoja obecność o tej godzinie?

Trójka towarzyszy zwróciła się ku drzwiom, w których stał markiz Beaufort. Niższy od księcia, miał czerstwą, rumianą twarz wiejskiego dżentelmena. Rzadkie brązowe włosy odślaniały już niewielką łysinę nad czołem, sylwetka zaś zaczynała zdradzać tendencję do zaokrąglania się. Miał na sobie najohydniejszy satynowy szlafrok, jaki kiedykolwiek Isabel miała nieszczęście widzieć: straszliwa kombinacja zielonych i pomarańczowych pasów sprawiała, że jego właściciel wyglądał jak chory na żółtaczkę. Może zresztą przyczyną tak niezdrowego wyglądu była niezwykle wczesna pora, o jakiej był zmuszony

wstać.

Mam kłopoty, Beaufort, i potrzebuję twojej pomocy - powiedział swobodnie Brett.

Aha... aha, oczywiście, pomogę ci... ale o co właściwie chodzi?

Istnieje niejaki prawdopodobieństwo, że szeryf... a być może również oddział milicji interesuje się miejscem naszego pobytu.

Co?

Och, wybacz, Beaufort, nie przedstawiłem ci moich towarzyszy. Oto panowie Dabney i Edward Langford. Są pod moją opieką przez najbliższy tydzień.

Isabel i Jamie wykonali wzorowe ukłony i mruknęli „sir”, rozważnie powstrzymując się od mówienia czegoś więcej. Brett kontrolował sytuację.

Jak się macie - powiedział markiz, zaledwie musnąwszy ich spojrzeniem. - Czego może od ciebie chcieć szeryf i milicja, Northbridge?

To tylko małe nieporozumienie - powiedział niedbale Brett. Uchwycił wzrok Isabel i wzruszywszy ramionami, poprawił się z lekkim uśmiechem: - Wygląda na to, Beaufort, że moi przyjaciele są poszukiwani za oszustwo i próbę morderstwa.

Markiz zachwiał się. Natychmiast u jego boku pojawił się lokaj, oferując pomocne ramię. Morderstwa? - jęknął gospodarz.

Usiądź, Beaufort - zaproponował Brett. - Zdaję sobie sprawę, że o tak wczesnej porze trudno jest stawić czoła podobnej sytuacji, w dodatku przed śniadaniem.

Dziękuję - wykrztusił oszołomiony markiz, gdy lokaj podprowadził go ku sofie.

Brett usiadł na krześle naprzeciw niego; Isabel i Jamie pozostali na flankach.

Wystarczyło pięć minut, by książę szczegółowo i spójnie opisał ich przygody.

- Wszystko, czego oczekuję od ciebie, Beaufort - zakończył – to bezpiecznego miejsca, w którym mógłbym przeczekać dzisiejszy dzień i uniknąć pościgu. Do jutrzejszego ranka ścigający, obojętne kim są, będą już daleko stąd, a my będziemy mogli bezpiecznie kontynuować podróż.

Markiz, człowiek o niezbyt bystrym umyśle, z łatwością dał się naprowadzić na trop, jakim poprowadził go Brett.

Och, naturalnie, Northbridge... To się rozumie samo przez się... A-a-a-ale... mam już w domu kilkoro gości. Czy oni...

Czy jest wśród nich ktoś, kto znałby mnie z widzenia?

Ach, nie! To po prostu kilkoro emigrantów mojej matki.

Emigrantów?

Książę i księżna de Montville, ich syn i dwie córki. Parę lat temu uciekli przed rewolucją i od tego czasu nie mieli żadnych kontaktów z osobami z towarzystwa.

Czy jest z nimi twoja matka?

O tak, ale nie sądzę, byście się kiedykolwiek wcześniej spotkali.

Na szczęście nie - powiedział Brett. - Wobec tego nie przewiduję trudności. Ten lokaj może do jutrzejszego ranka występować w roli naszego służącego i dostarczać nam wszystko, czego będziemy potrzebowali. Przy czym - tu Brett rzucił na drżącego chłopaka lodowate spojrzenie - pod żadnym pozorem nie powie nikomu o nas ani słowa. To będzie nasz sekret, chłopcze.

O, tak, sir! Naturalnie, sir! -jęknął lokaj.

Znakomicie. Czy masz trzy wolne pokoje, w których moglibyśmy zamieszkać do jutra, Beaufort?

O, tak, naturalnie! Jest chyba z tysiąc pokoi w tej kupie kamieni. Wybieraj co chcesz. Dzięki. Opuścimy cię teraz, by wziąć kąpiel i odpocząć, zanim wystąpimy po południu przed twoimi gośćmi jako sir Howard Langford i jego bratankowie Dabney i Edward. Zapamiętaj to, Beaufort. Jestem sir Howard Langford.

Och tak, tak, tak. Możesz na mnie liczyć, stary. Stewart - zwrócił się do lokaja - zaprowadź sir Howarda... yyy... Langforda i jego bratanków do Apartamentu Błękitnego na drugim piętrze. Będziecie tam mieli spokój - poinformował swoich nieoczekiwanych gości - i wypoczniecie jak należy. Przepłoszę każdego, kto zamierzałby wam przeszkodzić.

Dzięki, Beaufort. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Markiz splonął rumieńcem zadowolenia.

- Jestem szczęśliwy, że mogę wyświadczyć ci przysługę, Northbridge.

Skłoniwszy się zdawkowo, Brett opuścił pokój. Isabel, Jamie i lokaj podążyli za nim.

Potrzebna jest nam kąpiel, śniadanie i odświeżenie naszej podróżnej odzieży. Zajmiesz się tym razem z moim woźnicą- zadysponował Brett, zwracając się do lokaja.

Księżę Northbridge - szepnęła Isabel Jamiemu na ucho. - Postrach wszystkich północnych hrabstw.

Księżę łaskawie ocenił, że Apartament Błękitny jest wystarczający jak dla ich potrzeb, po czym przekazał nieszczęsnemu słudze długą listę poleceń. W godzinę później z nieklamana przyjemnością wziął kąpiel i spożył znakomite, wykwintnie podane śniadanie. Następnie, wydawszy Stewartowi surowy zakaz budzenia go wcześniej niż po upływie czterech godzin, wyciągnął się w wygodnym łóżku i natychmiast zasnął.

Dokładnie w cztery godziny później, na pierwsze słowo Stewarta, obudził się, wstał i w ciągu kwadransa ubrał w świeżo wyczyszczone i odprasowane rzeczy. Księżę Northbridge nie miał zwyczaju zbyt długo marudzić przed lustrem. Następnie poszedł obudzić Isabel i Jamie, okazało się jednak, że już wstali i zeszli do gości. Wstrząsnął nim dreszcz przerażenia.

Rzucił się po schodach w dół, na pierwsze piętro, i wszedł do głównego salonu, gdzie ku swemu lekkiemu zasmuceniu ujrzał uroczą scenę, całkowicie odmienną od skandalicznych scenariuszy, jakie podsuwała mu wyobraźnia. Markiz i markiza Beaufort siedzieli przy karcianym stoliku w towarzystwie eleganckiej pary około czterdziestki; niewątpliwie musieli to być księżę i księżna de Montville. Grali w wista, całkowicie pochłonięci licytacją.

Jamie siedział na kanapce o złocistobrazowym obiciu obok ślicznej, mniej więcej piętnastoletniej brunetki o rumianej buzi z uroczymi dołeczkami. Dziewczyna leciutko kokietowała Jamiego, on zaś stawał się najwyraźniej coraz bardziej poetyczny.

Isabel, w każdym calu comme il faut młody człowiek z miasta, w białych pantalonach pięknie uwydatniających jej kształtne nogi i ciemnozielonym frakowym surducie, nadającym jej oczom fascynujący odcień, stała w przeciwległym końcu salonu, prowadząc po francusku konwersację z dwójgiem innych młodych ludzi. On, na oko dwudziestojednoletni szatyn o niebieskich oczach i kształtnej sylwetce, prezentował nie-

zły gust, jeśli chodzi o ubiór; ona, urocza młoda kobieta około dziewiętnastu lat, starała się jak mogła, by podbić serce rzekomego Dabneya Langforda.

Książę poczuł się w obowiązku przerwać niebezpieczną grę, powstrzymało go jednak spojrzenie Isabel. Dostrzegłszy go, zawołała:

- No, nareszcie, ty guzdrało!

Skrzywił się.

- Wuju, chcę ci przedstawić dwoje najbardziej czarujących ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem. - Podeszła, trzymając pod ramiona dziewczynę i młodzieńca. - Pozwól, to są Adelle i Hilary Saville. Mes amis, oto mój wuj, sir Howard Langford.

Wszyscy troje wykonali stosowny ukłon.

Mam nadzieję, że mój bratanek nie zanudził państwa swoją paplaniną- książę spojrzał surowo na Isabel.

Mais non! - roześmiała się uroczo Adelle. - Pański bratanek to mądry i niezwykle charmant młody człowiek.

Cóż za ulga, że to słyszę - powiedział książę zupełnie szczerze.

A ta słodka istotka obok Jamiego - w głosie Isabel na powrót pojawiła się nutka chłodu - to Julienne, która marzy, by zostać porwaną przez poetę - aczkolwiek go jeszcze nie wybrała - i stać się jego muzą. Ma na tym ponoć zyskać angielska literatura. C'est ca, Julienne?

Julienne spojrzała zalotnie na Brett'a.

O ile nie zdecyduję się wcześniej poślubić monsieur Edwarda!

Zapewniam panią, milady - powiedział poważnie Brett - że nigdy nie zgodziłbym się na taki związek, obawiam się bowiem, że Edward nie dorównuje pani pozycją i pochodzeniem.

Ależ wuju - zawołał Jamie z łobuzerskim błyskiem w oku - jej uśmiech wznosi mnie na wyżyny!

A teraz - przerwała Isabel - muszę przedstawić cię, wuju, księciu i księżnej de Montville. Brett wykonał przepisowe ukłony i wypowiedział stosowne grzecznościowe zwroty, po czym zwrócił się ku przepięknie ubranej gospodyni i uniósł jej dłoń do ust.

Jestem pani niewymownie wdzięczny, milady, iż pozwoliła pani, byśmy zakłócili tak nieoczekiwanie państwa przemiłe domowe przyjęcie.

Ależ sir Howardzie - zaszemrała markiza Beaufort, urodziwa kobieta o lśniących kasztanowatych włosach - to zawsze dla nas ogromna przyjemność gościć pana, bez względu na to, kiedy i w jaki sposób pojawia się pan u naszych drzwi. Mam nadzieję, że będzie pan mógł pozostać przynajmniej przez parę dni?

Przykro mi, markizo, ale to niemożliwe. Jutro o świcie musimy wyjechać, ja i moi bratankowie.

Ach, nie! - zawołała Julienne, chwytając dłoń Jamiego i przyciskając ją do falującej piersi. - Nie może pan tak prędko pozbawiać mnie towarzystwa przemiłego Edwarda!

Niestety, pani, miejsce przemiłego Edwarda jest obecnie gdzie indziej.

Cóż za szkoda. Obawiam się, że w ten sposób ominie panów wspaniała rozrywka - powiedziała łaskawie markiza. - Mieliśmy dziś niezwykle gości! Najpierw przybył jakiś wiejski szeryf od stóp do głowy pokryty kurzem, poszukujący dwóch zbiegłych

morderców. Wyobraża pan sobie? A potem pojawił się u drzwi jakiś obszarpany oddział milicji, którego dowódca upierał się, że musi przeszukać dom i posiadłość. Szukają kogoś o nazwisku Cavendish czy Beasley, nie był tego do końca pewny. Tak jakbyśmy kiedykolwiek stanowili przystań dla zbiegłych spod prawa morderców! Cóż za pomysł! Nasz majordomus, Lawton, tak się zdenerwował, że musiał pójść do swojego pokoju i odpocząć.

A ja musiałem przespać całą tę zabawę - mruknął książę, patrząc z uznaniem na markizę. Było sprawą ogólnie znaną w towarzystwie, że to pani Beaufort jest mózgiem rodziny. Markiz był w młodości hulaką, kiepskim jeźdźcem i jeszcze gorszym myśliwym, a na kobiety tracił krocie. Jednak odkąd się ożenił, stał się wzorem cnót i niemal rozumnej konwersacji. Całą zasługę za to przypisywano jego żonie.

Czwórka przy stoliku wróciła do przerwanej gry, Jamie do flirtowania, Isabel zaś zaprosiła Bretta, by przyłączył się do niej oraz Adelle i Hilarego Saville. Stwierdziwszy, że Julianne jest względnie bezpieczna w towarzystwie Jamiego, Brett ponownie stanął więc u boku Isabel. Nie przypuszczał, że ona i Jamie wejdą w taką zażyłość z gośćmi Beaufortów. .. Miał nadzieję, że będą dość rozsądni, by nie zwracać na siebie uwagi.

Teraz zdał sobie sprawę, że nadzieja ta była szaleństwem. Odkąd ich poznał, z każdą postacią, którą grali, identyfikowali się do końca, i obecna sytuacja nie była wyjątkiem. Nawet dla niego, choć wiedział, kim naprawdę jest Isabel, była w pełni przekonująca jako Dabney Langford. Ani jedno słowo, gest czy choćby spojrzenie nie wypadło fałszywie. We francuskiej konwersacji czuła się tak swobodnie, jakby to był jej język rodzimy, i z łatwością dostosowywała swój poziom intelektualny do poziomu rozmówców górujących nad nią jedynie pozycją towarzyską.

Nie tego się spodziewał - nie tego nienagannego obrazu młodych bywalców wielkiego świata. Wcześniej nie mógł sobie wyobrazić Isabel w tym środowisku, a tu proszę - co za naturalność, co za swoboda, zupełnie jakby stworzona była do takiego życia! Wykwintny sposób bycia, wysławiania się, żarciki, na jakie sobie od czasu do czasu pozwalała, wszystko to pasowało do najwytworniejszego towarzystwa.

Jak to jest możliwe? Jak można przekraczać tak swobodnie sztywne bariery klasowe? Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego. Nigdy wcześniej nie myślał, że to w ogóle jest możliwe... Ale cóż, wcześniej nie znał Isabel.

Powinien być przerażony. Książę Northbridge przekonany był, że tak doskonała umiejętność oszukiwania powinna go przerazić. Nie był jednak, gdyż nie był obecnie pewny, czy to istotnie oszustwo. Przyjemność, jaką najwyraźniej sprawiała Isabel ożywiona rozmowa o wyścigach konnych, była równie szczerą jak satysfakcja, którą czerpała poprzednio z przekomarzania się z nim. Znaństwo, z jakim doceniła znakomity gatunek wina zaoferowanego przez lokaja, było równie prawdziwe, jak uznanie dla prostego posiłku podanego przez oberżystkę.

Czy kiedykolwiek cenił wszystko, co ma, równie wysoko, jak Isabel umiała docenić tę odrobinę, jaka przypadła jej w udziale?

Czy kiedykolwiek cieszył się chwilą, tak jak Isabel cieszyła się nią obecnie? Spojrzał wstecz na trzydzieści pięć lat swego życia. Szarość, nuda, zwyczajność aż do bólu. Nigdy nie było w jego życiu nic szalonego, nigdy nie rozbrzmiewał w nim szczerzy śmiech,

nigdy radość nie rozpalala jego serca. Jeszcze siedem dni temu uważał się za bogacza; patrząc obecnie na Isabel, słysząc jej niski, gardłowy śmiech, czuł się nędzarzem.

Wszystko, co cenił - pozycja, majątek, obowiązki - przypominało więzienie.

Czyżby przez wszystkie te lata był w błędzie?

O szczęście! Celem jesteś naszego żywota!

Czytał wszystkie dzieła Pope'a, a jakoś przeoczył ten tryumfalny okrzyk. Szczęście. On, ze swoją posiadłością, stadniną, z którą żadna inna nie mogła się równać, wielkim domem i sztywną, nienaganną służbą nie wiedział o szczęściu nic, podczas gdy Isabel - bez dachu nad głową, bez rodziny czy jakichkolwiek innych akceptowanych form stabilizacji - wskakiwała radośnie w każdą rolę, jaką przychodziło jej zagrać, i nie pomijała ani jednej uncji szczęścia, jaką oferowało jej życie.

Właściwie lubił te jej maskarady, wyzwania, jakie się z nimi wiązały, zabawę, jakiej dostarczały. Na początku ich znajomości próbowała od czasu do czasu wciągnąć i jego w tę zabawę, on jednak odmawiał... no, w każdym razie do niedawna. Uśmiech zaigrał na wargach księcia. Odgrywanie roli znieważonego pana Beasley'a, besztającego tego łamagę porucznika, było wręcz... rozkoszne.

Oczy księcia rozszerzyły się ze zdumienia, gdy dokonał tego zaskakującego odkrycia. A więc, być może, był jeszcze dla niego ratunek.

Markiza odwołano na bok, musiał bowiem spotkać się z agentem nieruchomości, jego małżonka zaprosiła więc sir Howarda jako partnera do wista. Posłusznie zajął miejsce przy stoliku, ale jego myśli bujały daleko od kart. Kiedy parę godzin później udawali się na kolację, markiza żartobliwie skarciła go za brak koncentracji, w następstwie czego przegrała do księcia i księżnej dwieście funtów.

Ale przecież North... to znaczy sir Howard nigdy nie przegrywa w karty! - zawołał markiz, który szedł za nimi.

To uroda twojej żony mnie rozpraszała, Beaufort, i dlatego nie byłem w stanie jasno myśleć - odparł gładko Brett.

Właśnie dlatego Kate i ja jesteśmy tak dobranymi partnerami przy karcianym stoliku - powiedział markiz jowialnie. - Ona tak dekoncentruje przeciwników, że tracą kontrolę nad swoimi posunięciami. Wygrałem dzięki niej dwa razy tyle, co przegrałem w czasach kawalerskich.

Ku pożytkowi twoich spadkobierców, bez wątpienia - mruknął Brett, podprowadzając markizę do krzesła.

Złośliwy się pan zrobił, odkąd widzieliśmy się ostatnim razem, sir Howard - zauważyła markiza z figlarnym uśmiechem.

Brett usiadł po jej prawej ręce, za drugą towarzyszkę mając lady Adelle. Jego obowiązkiem było zabawiać obie panie, wywiązał się jednak z tego zadania nieszczególnie. Przez cały bowiem czas umysł księcia zajęty był analizowaniem paru kwestii, które dotąd bynajmniej go nie zaprzątały.

Wtem dał się słyszeć wybuch perlistego śmiechu. Uniósł głowę. Wdowa Beaufort, o przybranych rubinami białych włosach, siedziała naprzeciwko, trzęsąc się ze śmiechu, obok niej zaś Isabel, z chochlikami w oczach, szeptała jej na ucho jakąś najwyraźniej skandaliczną historię. Markiza była wychowana na wsi i podobnie jak jej syn nie

grzeszyła nadmierną bystrością. Dwuznaczne żarciki były dla niej niczym greka. Isabel podbiła jej serce opowieścią o człowieku z Sussex, który tak pragnął zwyciężyć w lokalnych wyścigach koni, że trzymał swojego czworonożnego zawodnika w salonie, bo w stajni były przeciągi. Od tej pory wdowa nie odstępowała Isabel na krok, Isabel zaś wydawała się w pełni zadowolona z tego stanu rzeczy.

Nikt, jak sądził książę, nie mógł czuć się dobrze u boku tej nudziary dłużej niż kwadrans, toteż w pełni doceniał fakt, że Isabel tak wytrwale dotrzymywała jej towarzystwa. Gdy wdowa przez chwilę zaszczyciła swoją uwagę Jamiego, który siedział po jej lewej stronie, Isabel zwróciła się do gospodyni przyjęcia:

- Pani teściowa, madam, poinformowała mnie, że markiz starał się o panią cały rok, zanim wreszcie zgodziła się pani go poślubić.

A jakże! - w orzechowych oczach markizy zaigrały wesołe ogniki. - Miałam chęć odpowiedzieć „tak” już na pierwszą propozycję, jaką uczynił mi po tygodniu znajomości, ale uważałam, że nie należy okazywać nadmiernego zapału. Mężczyźni lubią walkę, no i chciałam, by doceniał fakt, że należę do niego.

I niewątpliwie tak jest, madam - zapewniła ją Isabel. - Ale czyżby to oznaczało, że wszystkie te stare porzekadła o polowaniu na mężczyznę, dopóki wreszcie nie złowi on kobiety, były prawdziwe?

Kto panu zdradził ten kobiecy sekret?

Mój wuj jest niezwykle doświadczony, jeśli chodzi o tajemnice tego świata - mruknęła Isabel, błysnąwszy okiem w kierunku Bretta.

Czyżby zamierzała uczynić ten posiłek dalszym ciągiem jego pokuty?

A więc to pani wybrała markiza na męża?

Naturalnie - odparła markiza. - Był tak odmienny od innych mężczyzn...

Bogatszy?

Książę Northbridge zbladł nad swoimi szparagami.

Ależ skąd! - zaśmiała się perliście markiza. - Miałam wystarczająco duży posag.

Mogłabym poślubić nędzarza a i tak żylibyśmy dostatnio. Zresztą wcześniej interesował się mną książę, dwóch hrabiów, wicehrabia. .. Mogłam wyjść za każdego z nich. Nawet pełen rezerwy książę Northbridge tańczył ze mną raz i drugi na przyjęciu w Almack's.

No nie! - mruknęła Isabel. - I nie rzuciła się pani na niego?

Nie wystąpił z żadną propozycją.

Był idiotą, madam - powiedziała Isabel z przekonaniem. - Całkowitym idiotą.

- O, tak - odparła markiza, spoglądając z rozbawieniem na księcia. Chcąc nie chcąc, musiał również się uśmiechnąć. - Istotnie, był. Niemniej nie sądzę, bym kiedykolwiek za niego wyszła. Był zanadto samowystarczalny, rozumie pan. Nie potrzebował mnie, a ja lubię być potrzebna.

I dlatego markiz Beaufort?

Był kompletnie zabłąkany na morzu tego świata, biedactwo. I uwielbiał mnie. To mocne połączenie. Proszę zapamiętać moje słowa, panie Langford: mało która kobieta oprze się temu, że jest uwielbiana i potrzebna. Rzuciłabym mu się do stóp, gdybym nie była dostatecznie rozsądna.

Sądzę, markizo, że sprawiła pani, iż to on rzucił się do stóp pani?

Naturalnie, panie Langford. Każdy zdobywca musi udowodnić sam sobie, iż wart jest kobiety, o którą walczy, inaczej nie będzie cenił zdobyczy.

Musiała pani, milady, siać ogólny postrach na rynku matrymonialnym.

Markiza wybuchnęła kaskadami śmiechu.

O, tak, panie Langford. A jakże!

Jednakże postrach, jaki siała nasza gospodyni - wtrącił swobodnie książkę - jest niczym w porównaniu z twoim okrucieństwem, bratanku.

Markiza uniosła wachlarz i nachyliła się ku Isabel.

A od kiedyż to sir Howard jest pańskim wujem, panie Langford?

Wygląda na to, że od zawsze - mruknęła Isabel.

Markiza zachichotała i zaproponowała Isabel jeszcze trochę wina. Brett przypatrywał się rozbawionej parze.

Dawna lady Katharine Huntsford była czarującą istotą już jako dziewczynka. Istotnie, tańczył z nią na każdym balu, na którym zdarzyło im się spotkać, zapraszał ją, nierzadko jedli wspólnie - w towarzystwie chyba z tuzina innych osób - kolację. Zaskoczony zdał sobie sprawę, że byłaby z niej absolutnie doskonała księżna Northbridge. Dlaczego nie zauważył tego wcześniej?

Patrząc na nią teraz, gdy mówiła coś czule do siedzącego naprzeciwko męża, Brett zaczynał podejrzewać, że owszem, podczas sezonu londyńskiego dostrzegł fakt, iż byłaby odpowiednią małżonką. Być może udawał jedynie, że czeka na tę właściwą kobietę? Być może wcale jej nie szukał, a przeciwnie, unikał małżeństwa? Czy raczej intymności, jaka jest udziałem Beaufortów. Gdyby poślubił lady Katharine Huntsford, unieszczęśliwiłby ją, gdyż uchylał się od tego, czego najwyraźniej potrzebowała: wzajemnego okazywania uczuć i czułości.

Nigdy dotąd nie przyszło księciu do głowy, że byłby z niego pożałowania godny małżonek. Nigdy bowiem nie miał okazji uświadomić sobie, że w jego obecności lady Katharine ani razu nie śmiała się tak, jak dziś w obecności Isabel. Nigdy nie rozpałił takiego blasku w jej orzechowych oczach. Nigdy nie sprowokował jej do tak swobodnej rozmowy.

Wdowa odwróciła uwagę Isabel, wypowiadając opinię, iż wieś jest jedynym właściwym miejscem do wychowywania dzieci i szczęśliwa jest, iż jej synowa jest na tyle rozsądna, że się z nią zgadza. Rozwinęła tę myśl w długim monologu. Brettem z kolei zainteresowała się lady Adelle, on jednak słuchał jej tylko jednym uchem. Miał wiele do przemyślenia.

Gdy posiłek dobiegł końca, panowie, włącznie z Isabel, wstali, by przejść do sąsiedniego salonu na cygaro i kieliszek porto. Wtem rozległ się okrzyk Julienne:

Nie, nie, nie! Nie wolno wam zostawiać nas samych! Jeśli mamy cieszyć się towarzystwem Langfordów tylko przez ten jeden wieczór, nie możecie być tak okrutni i zabierać ich od nas już teraz.

Co zatem proponujesz, siostrzyczko? - spytał jej brat z pobłażliwym uśmiechem.

Chcę tańczyć z Edwardem. Mogę go już nigdy w życiu nie zobaczyć, więc chcę z nim zatańczyć chociaż ten jeden raz.

Jeśli ktoś jeszcze jest zainteresowany zorganizowaniem małego balu, mogę zagrać na

fortepianie - zgłosiła się Isabel.

Pomysł natychmiast uznano za znakomity. Brett był niepokieszony, gdyż pierwszy taniec zamówiła u niego wdowa Beaufort. Wszystkie pary przeszły z powrotem do salonu. Isabel zasiadła do fortepianu z taką swobodą, jakby naprawdę wiedziała co czyni. W chwilę później Brett przekonał się, że istotnie tak jest. To nie była gra uczennicy czy strzelającej oczkami debiutantki, zmuszonej do zaprezentowania swoich talentów potencjalnym kandydatom na mężów. To była gra utalentowanego muzyka, który kocha swój instrument.

Jamie również okazał się utalentowanym tancerzem. Tak, to właśnie jego talent i entuzjazm sprawiły, że ten zaimprovizowany bal trwał znacznie dłużej, niż spodziewała się większość uczestników. Zapał i beztroska chłopca okazały się zaraźliwe; nie sposób było nie ulec jego prośbom o jeszcze jeden taniec, i jeszcze jeden, i jeszcze... Nawet książę nie pamiętał równie miłego wieczoru.

Blisko trzy godziny minęły, gdy wreszcie wyczerpani, ale szczęśliwi tancerze orzekli, że mają dosyć. Nagrodzono oklaskami pianistę, który skłonił się nisko, i zawołano na służbę, by przyniosła napoje i przekąski. Podniecenie nieco opadło. Zajęto się rozmową i kartami.

Wkrótce wdowa Beaufort stwierdziła, że nie jest przyzwyczajona do tak hucznych zabaw i czuje, iż pora iść do łóżka. Isabel została nareszcie uwolniona od jej towarzystwa.

Korzystając z tego, wyszła na balkon, by podelektować się wonnym powietrzem wiosennej nocy. Brett, który przypadkiem przechodził przez pokój, wyszedł również i stanął obok niej.

Znakomicie pani wypadła dzisiejszego wieczoru - powiedział, wpatrując się wraz z nią w bujną zieleń ogrodu. Bardziej wyczuł, niż dojrzał, że jest lekko spięta.

Zawsze lubiłam fortepian.

To również, ale chodzi mi przede wszystkim o pani rolę jako Dabneya Langforda.

Chyba nie postawiłam pana w sytuacji, w której musiałby pan się za mnie czerwienić? - spytała chłodno, zwracając się ku niemu.

Dabney Langford nie postawił mnie w sytuacji, w której musiałbym się za niego czerwienić - poprawił Brett.

Dabney czuje niezmierną ulgę - odcięła się. Przez chwilę milczeli. - Jest pan dobrym tancerzem. Czy często urządza pan bale w Ravenscourt?

Nigdy. Nie jestem człowiekiem towarzyskim. Moje obowiązki...

...sprawiają, że jest pan zbyt zajęty, by zajmować się czymś tak frywolnym jak taniec - dokończyła za niego Isabel. - Rozumiem. Czy wie pan przynajmniej, co to takiego przyjemność?

O, tak, w przeszłości zaznałem nieco przyjemności.

Mam na myśli różne formy przyjemności, sir, a nie wyłącznie przyjemność seksualną. Bez tchu wlepił w nią oczy.

Żadna kobieta nigdy nie powiedziałaby... ba, nie pomyślałaby nic takiego!

Bzdury! Kobiety bez przerwy rozmawiają o takich rzeczach, i mężczyźni dobrze o tym wiedzą! Ileż to razy przegrany zakład opłaca się nie pieniędzmi, a łóżkiem?

Książę otworzył usta, by dać jakąś ciętą odpowiedź, po czym zamknął je. Przez chwilę

się zastanawiał. - Mówi pani takie rzeczy, żeby mnie zaszokować, prawda?

Kiedy to tak łatwo pana zaszokować, sir! - mruknęła figlarnie Isabel.

Dlaczego dręczenie mnie w ten sposób sprawia pani taką radość?

Och, sir, to tylko drwiny, a nie dręczenie.

Madame - powiedział gwałtownie - pozwoli pani, że użyję takiego określenia, jakie uważam za trafne! Powiedziałem „dręczenie” i mam na myśli dręczenie. - W oczach miał pasję. Isabel zadrżała.

Chciałam tylko przypomnieć panu, że na świecie istnieją rozrywki, z których można korzystać - powiedziała, zwracając pospiesznie spojrzenie ku ogrodowi.

Jakie? Czy uznała pani za swoją misję zbawienie mojej duszy?

- Pańskiej duszy? Któż podołałby temu zadaniu?

Brett westchnął.

Przez cały dzień wtyka mi pani szpilki i posyła zatrute strzały. Czy nigdy nie wybaczy mi pani, że nie powiedziałem o drugim pretendencie do spadku?

A po cóż księciu przebaczenie ze strony awanturnicy? - spytała Isabel z bijącym sercem.

Proszę nie poniżać siebie samej. Jakkolwiek jest pani prawdziwa historia i nazwisko, każdy dzień ujawnia coraz to nowe... godne podziwu zalety pani.

Isabel zaczerpnęła tchu i utkwiała oczy w rozmówcy.

- To znaczy, że nie uważa już mnie pan za osobę wątpliwej wartości?

- Dość trudno jest kwestionować wartość kogoś, kto dysponuje taką inteligencją, rozsądkiem, odwagą i urodą, Dabney.

Isabel zarumieniła się z zadowolenia.

Trudno jest również nie pragnąć aprobaty takiego dżentelmena jak pan, książę.

Nie mówiłem bynajmniej o aprobacie.

Och. - Isabel utkwiała wzrok w czubkach swoich pantofli. - Przepraszam.

Dłoń Brett'a uniosła jej podbródek, tak że musiała na niego spojrzeć. Z jego palców płynął żar, przenikający całe jej ciało. Z trudem powstrzymała drżenie.

- Nie mogą mi się podobać pani ciągle maskarady i przebieranki - powiedział cicho, trzymając ją na uwięzi swego wzroku. Wstrzymała oddech. - Nie mogą mi się również podobać niebezpieczeństwa, na ja kie się pani naraża każdego dnia. Muszę jednak podziwiać talent, z jakim odgrywa pani każdą z ról, odwagę, jaką wykazuje pani jako opiekunka Jamiego, i uczucie, które nakazuje pani czynić zawsze to, co uważa pani za właściwe ze względu na dobro chłopca.

Isabel nie była pewna, czy całe jej ciało zajęło się żarem od dotyku jego palców, czy życzliwości słów, które wypowiadał.

Muszę przeprosić - ciągnął Brett - za moje grubiańskie zachowanie, gdy po raz pierwszy dowiedziałem się, jaka jest pani prawdziwa płęć. Byłem w szoku i zachowywałem się niewłaściwie.

Nie spodziewałam się niczego innego, sir.

A zatem uważała mnie pani za sztywnego, pedantycznego starego nudziarza?

Jest pan niezwykle irytującym człowiekiem - poskarżyła się, nieco zaskoczona, że Brett kpi w ten sposób z siebie samego. - Jak mógłby pan nie złościć się na nas za oszustwo?

Nie był pan przyzwyczajony do takich gier.

Skąd pani o tym wie?

Pański charakter, sir, wypisany jest na twarzy.

A pani - w oczach. - Wpatrywał się w nią, jakby sięgał w głąb oceanu. Z trudem powstrzymywała dreszcz, jaki budziło jego spojrzenie. - Wydaje mi się, że bardziej panią zraniłem, niż rozzłościłem, i naprawdę przykro mi z tego powodu.

Wierzyła mu. To nie było pragnienie, by wierzyć, czy marzenie skryte na dnie serca; wierzyła mu naprawdę. Być może sprawiła to intensywność jego spojrzenia, szczerość, jaką wyczuwała w jego głosie, a może świadomość, że niewielu jest ludzi na świecie, przed którymi usprawiedliwiał się ten mężczyzna.

Nie miał pan zamiaru mnie zranić - powiedziała powoli. - Chciał pan jedynie chronić obu chłopców będących pod pańską opieką. Teraz to rozumiem.

A czy wybaczy mi pani, że zachowywałem się tak, jakby moim obowiązkiem było przemilczenie faktu istnienia drugiego pretendenta? Pani Jamie jest przy mnie bezpieczny, Isabel, przysięgam.

Wiem - powiedziała cicho. Wzięła głęboki oddech i spojrzała mu w oczy. - I wybaczam panu.

Dziękuję. - Jego uśmiech zaczął blednąć. Nachylił się nad nią gestem niemal intymnym.

Cofnęła nieco głowę, ciągle patrząc w jego oczy; lśniły nieznanym jej dotąd blaskiem.

Mogłaby zatonać w nich na zawsze ... - Isabel, ja...

Tak? - szepnęła.

Nieoczekiwanie cofnął się.

Pora wracać do towarzystwa.

Chwilę trwało, zanim wróciła do równowagi, z wysiłkiem ukrywając rozczarowanie.

- Naturalnie, sir.

O mało nie włożyła mu ręki pod ramię, by wprowadził ją do środka. Zamrugnęła. Jak to się stało, że zapomniała, iż występuje tu jako mężczyzna? Szybkim krokiem weszła do salonu. Brett ruszył za nią.

10

11 maja 1804 roku, wczesny ranek

Swanson Hall, Nottinghamshire

Nie świtało jeszcze, kiedy Stewart, kamerdyner, przyniósł Brettowi, Isabel i Jamiemu śniadanie. Nie pogaszono jeszcze świec, gdy pomógł Isabel włożyć surdut, podał Brettowi świeżo wyprany i wyprasowany kołnierzyk i po raz ostatni przeciągnął szczotką po ubraniu Jamiego.

Z Beaufortami i ich gośćmi pożegnali się już wczoraj. Obecnie powiedzieli „do widzenia” Stewartowi; Brett wcisnął mu w dłoń parę gwinei i cała trójka po cichu zeszła na dół. Na podwórku, obok powozu Beaufortów zaprzęzonego w czwórkę karych koni, czekał już Dawkins.

- Punktualny, jak zawsze - pochwalił go książę. Pierwsze blade smugi błękitu i różu rozświetliły wschód.

- Punktualność to niekoniecznie to, czego najbardziej potrzebujemy, sir - odparł Dawkins. Wszyscy troje gwałtownie spojrzeli na niego.

Są jakieś kłopoty? - spytał Brett.

Rozmawiałem z paroma stajennymi, milordzie. Wygląda na to, że oddział milicji spędził dzisiejszą noc we wsi Greeley, zaledwie siedem kilometrów stąd. Ten młody porucznik powiedział, że uciekinierzy z pewnością są gdzieś w okolicy. Na ludzi padł strach. Niektórzy boją się nawet otwierać drzwi.

Cóż za uparty człowiek z tego porucznika - Isabel zabębniła palcami w tylne koło powozu.

To prawda. Gdyby był w służbie króla, nie potrzebowalibyśmy specjalnie się go obawiać. Isabel podniosła głowę.

Jak to „gdyby”? A w czyjej jeszcze służbie może być?

Na przykład Horacego Shipleya. Ta milicja to oszuści. Szukają wyłącznie Jamiego, nikogo poza tym.

A kiedy zamierzał pan powiedzieć nam o swoich podejrzeniach co do milicji?

No jak to, kiedy to się okaże konieczne, rzecz jasna - powiedział uprzejmie Brett. - I właśnie się okazało.

Czy sądzi pan, że ten fałszywy porucznik podejrzewa Beaufortów? - taktownie włączył się Jamie.

Niewykluczone - przyznał Brett. - Ponieważ więc kłopoty nie minęły, a na dom Beaufortów, jako moich dobrych znajomych, może paść podejrzenie, wskazane byłoby odwrócenie uwagi ścigających.

To może użylibyśmy Dawkinsa jako przynęty? - zaproponowała Isabel.

Brett uśmiechnął się.

Właśnie. Pojedziemy w trójkę konno. Muszę tylko zostawić list dla Beauforta. Zwrócimy mu konie we właściwym czasie.

A zatem my jedziemy na przełaj, a Dawkins drogą - podsumował Jamie. - Doskonały plan.

Brett z każdym dniem zdradza coraz większy talent do awanturniczego stylu życia - zauważyła Isabel.

Czy to ma być komplement? - spytał księżę, błysnąwszy oczami w jej kierunku.

O tak, sir, i to najwyższy.

Doskonale - powiedział zdecydowanie Brett. - A zatem zmieniamy trasę. Zwiększymy ponadto konfuzję porucznika, wracając do powozu, który już wcześniej skontrolował, w... powiedzmy w Slaidburn... Och, za pozwoleniem, Isabel!

Doprawdy, przy swojej pozycji i licznych obowiązkach, księżę był na dobrej drodze, by zostać łotrem.

Slaidburn będzie doskonałym miejscem, sir - powiedziała spokojnie. - Było również na trasie, którą ustalił Monty.

Cieszę się, że nie spieramy się o miejsce spotkania. Ty, Dawkins - zwrócił się Brett do woźnicy ~ nie potrzebujesz przebrania. Podejrzewam, że porucznik z łatwością by się zorientował, że to maskarada. Pojedziesz powolutku powozem do Slaidburn i poczekasz na nas. My oczywiście trochę się powłóczymy po okolicy. Nie spodziewaj się nas wcześniej niż, powiedzmy, za dwa dni.

A jak ten łajdak o drewnianej twarzy, porucznik, zatrzyma mnie? - spytał Dawkins.

No jak to, po prostu transportujesz jeden z powozów Beaufortów do Ravenscourt.

Beaufortowie przyjadą tam wkrótce na małe przyjęcie w gronie rodziny i przyjaciół.

No to w porządku, sir - Dawkins ruchem głowy odrzucił włosy z czoła. - Jadę.

Wspiął się na kozioł, zgarnął lejce i trzasnąwszy lekko z bata, ruszył.

- Chociaż markiz kiepsko trzyma się w siodle, ma zupełnie niezłą stadninę - powiedział Brett. - Chodźmy, bratankowie. Musimy wybrać sobie odpowiednie wierzchowce.

Trójka koni - kasztanka dla Isabel, gniady wałach dla Jamiego i wielki kary ogier z białą gwiazdką na czole dla Bretta - została szybko osiodłana. Brett skrobnął wyjaśniający liścik do markiza i wcisnął go w rękę głównemu stajennemu, którego wyrwał właśnie z głębokiego snu.

Nie upłynęło więcej niż dziesięć minut od odjazdu Dawkinsa, gdy wspięli się na siodła i dostojnym truchtem opuścili dziedziniec. Isabel prowadziła.

Swobodna, przerywana żarcikami rozmowa wkrótce ustąpiła miejsca ciszy i skupieniu.

Lepiej, by to oni wysłedzili milicję, zanim ona zdoła wysłedzić ich... Pomimo napiętej uwagi Isabel miała obecnie dogodną możliwość, by przemyśleć sprawy, które dręczyły ją przez całą noc.

Rozmowa z markizą Beaufort sprawiła, że zaczęła myśleć o sobie w sposób, na jaki nigdy wcześniej sobie nie pozwalała. Przeleżała całą noc, zdumiewając się wciąż na nowo, jak bogate, urozmaicone i pełne rozmachu jest życie lady Beaufort. Oto miała przed sobą kobietę zaledwie o rok starszą niż ona sama, którą los pobłogosławił uwielbiającym ją mężem, czwórka uroczych brzdąców, dużym domem i licznymi obowiązkami towarzyskimi oraz szerokim wachlarzem przyjaciół, z którymi mogła dzielić swoje radości i smutki.

Jej własne życie, w porównaniu z życiem markizy, wydawało się ubogie i jałowe. Przez ostatnie trzynaście lat nikogo nie dopuściła do swego serca z wyjątkiem Monty'ego i Jamiego. Teraz został jej tylko Jamie. Nie zaznała żadnych przyjemności, które mogłaby obecnie wspominać, nie miała przyjaciół, przed którymi mogłaby otworzyć serce, dorosłych, którzy by ją kochali, dzieci, które by jej potrzebowały. Setki ludzi przewinęły

się dotąd przez jej życie, a z nikim nie była nigdy naprawdę blisko.

Parokrotnie zarzucała ostatnio Brettowi, że prowadzi surowe, pozbawione przyjemności życie, a czyż jej własne nie było pod pewnymi względami równie złe? A może nawet gorsze... To prawda, że miała w sobie zdolność do cieszenia się życiem, której jemu brakowało. Jednakże, podobnie jak on, nie miała nikogo, z kim mogłaby tę radość życia dzielić. Od tylu lat powtarzała sobie, że dopuszczenie kogokolwiek do serca i myśli byłoby zbyt niebezpieczne. I rzeczywiście, była to prawda. Jednak w porównaniu z życiem, jakie wiedli Beaufortowie, jej życie pełne przygód i niebezpieczeństw nie wydawało się już tak pociągające.

W przeszłości marzenia i plany Isabel zawsze dostosowywała do tego, co możliwe, a nie tego, co pożądane. Ale, doprawdy, czyż to takie niemożliwe, by dwoje stało się jednością? Gdyby zmieniła swoje wyobrażenie o tym, co leży w zasięgu jej możliwości, to zmieniłaby się i treść jej marzeń.

Nie czuła dotyku wiatru, ciepła słońca ani nawet ruchu konia pod sobą. Marzenia, które dawno temu schowała na dnie serca, ośwładnęły nią z nieopisaną siłą.

W godzinę po opuszczeniu Swanson Hall przekroczyli granicę hrabstwa Yorkshire. Choć nigdy by tego nikomu nie powiedziała, Isabel była teraz na swojej rodzinnej ziemi, którą znała jak własną kieszeń. Po raz pierwszy od trzynastu lat postąpiła niezgodnie ze wskazówkami Monty'ego. Poprowadziła Bretta i Jamiego wijącym się szlakiem, omijając miasta Plockton, Birstall i Wadsworth Moor.

Jechali drogą przeznaczoną do jazdy konnej, którą znała jedynie Isabel. Jako dziewczynka błąkała się po tych wzgórzach codziennie i dotąd pamiętała trasę prowadzącą do rzeki Birstall. Slaidburn znajdowało się zaledwie o trzydzieści kilometrów w górę jej nurtu.

Właśnie minęło południe, kiedy usłyszała śpiew trzciniaka. Pozwoliwszy sobie na leciutki uśmiech zadowolenia, poprowadziła w milczeniu Bretta i Jamiego w dół wzgórza, ku powolnemu nurtowi Birstall. Na brzegu zsunęła się ze znużonego wierzchowca i podprowadziła go do wody, by się napił, co też uczynił z wielką zachłannością. Brett i Jamie poszli w jej ślady.

Gdzie my jesteście, do diabła? - spytał Jamie.

Około trzydziestu kilometrów od Slaidburn - odparła. - Jeśli będziemy mieli szczęście, jeszcze dziś wieczorem spotkamy się z Dawkinsem. A za dwa dni powinieneś już być bezpieczny w Ravenscourt.

Jeśli istotnie w Ravenscourt jest bezpiecznie - zauważył Jamie. - Co zrobi ze mną książę, jeżeli zostanę uznany za łotra i oszusta, za którego uważa mnie obecnie?

Och, powiesi cię na suchej gałęzi, bez wątpienia - odparła lekko Isabel, ale serce zabiło jej niespokojnie.

Być może raczej przekaże mnie wujowi.

Ani jedno, ani drugie, mój mały - odciął się Brett. - Huncwot z ciebie, ale cię polubiłem. Zostaniesz u mnie pomocnikiem stajennego.

Och, to już przynajmniej stajennym! - zaprotestował Jamie.

Będziesz musiał najpierw zasłużyć na to wysokie stanowisko.

A co z Isabel? - spytał Jamie z uśmiechem.

Ta kwestia wymaga przemyślenia. Skoro ty jesteś oszustem, to ona nie może być uznana wyłącznie za współwinną, raczej za inicjatora przestępstwa.

Bez wątplenia - zgodziła się Isabel.

Jej wina jest w tej sytuacji większa, a zatem i kara musi być odpowiednio wyższa - podsumował Brett.

Zawsze marzyłam, by zostać mleczarką- podsunęła.

Zbyt to romantyczne jak na taką łotrzycę - zareplikował Brett. -Może pani co najwyżej zmywać naczynia w kuchni.

Isabel zmarszczyła z niesmakiem nos.

- Byłoby to całkowite zmarnowanie moich talentów, sir. Już lepiej proszę mnie uczynić guwernantką swojej przyszłej progenitury. Nauczę ich, jak dręczyć pana do końca pańskich dni.

Brett zatoczył się ze śmiechu, wspierając czołem o koński bok.

Isabel utkwiała w nim zaskoczony wzrok. Książę Northbridge się śmiał! Tak serdecznie, słonecznie, zaraźliwie... Poczuła pragnienie, by sprawić, że będzie się śmiał codziennie do końca swoich dni.

Zemsta doskonała! - powiedział Brett z podziwem. - Cóż za wyrafinowany umysł ma pani, Isabel.

A jeśli zostanę uznany za prawdziwego dziedzica? - wyszczerzył zęby Jamie.- Co wtedy z Isabel?

Brett otworzył usta, by odpowiedzieć, ale nie zdążył. Uprzedziła go Isabel.

- No cóż, wtedy będę mogła sama wybrać mój los, tak jak zawsze do tej pory. Jedziemy! Konie zdążyły już wypocząć, a przed nami jeszcze długa droga.

Wyprowadziła z wody opierającego się wierzchowca na brzeg i wskoczyła na siodło.

Znów powiodła Brett'a i Jamiego szlakiem, który tak długo istniał wyłącznie w jej pamięci.

Zdumiewające było dla niej, że może być tak spokojna w tej tak dobrze sobie znanej krainie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinny ją dręczyć bolesne wspomnienia straszliwego dzieciństwa w domu Jonasza Babcocka. W domu, a raczej w matni...

Zamiast tego napawała się urodą miejsc, wypatrywała wśród drzew to wiewiórkę, to gronostaja, albo śledziła wzrokiem lot jastrzębia na nieboskłonie.

Czy dostrzegała tę urodę, gdy była mała? Pewnie tak. Pewnie to właśnie piękno tych okolic dawało jej siłę, by przeżyć okrucieństwo Hirma Babcocka. Być może właśnie dlatego i teraz, w trzynaste lat później, mogła tak nieomylnie prowadzić konia wśród drzew, które zdążyły urosnąć i zmienić się, a równocześnie pozostały tak znajome i bliskie sercu.

Parokrotnie łapała się na tym, że odwraca się w siodle, by opowiedzieć Brettowi, jak w swoim czasie trafiła w to czy tamto miejsce, jak znalazła schronienie przed ulewą pod ogromnym drzewem... Irytujące było to nieoczekiwane pragnienie, by dzielić z księciem miłość do tej okolicy. Milczała jednak.

W końcu dotarli do rozległej, zielonej doliny pocętkowanej plamami słońca. Na równinie pasło się parę krów. Ślady krowich racic skręcały na prawo. Isabel westchnęła.

Najchętniej pozostałaby nadal w tej krainie spokoju i względnego bezpieczeństwa, ale musieli przejechać przez Colne, jeśli chcieli dotrzeć do Slaidburn, zanim zapadnie noc.

Skręciła na krowią ścieżkę, która w pół godziny później wyprowadziła ich na nieco bardziej uczęszczany szlak do Colne. Za ostrym zakrętem drogi ukazało się miasteczko. Na pierwszym planie ujrzeli sześciu jeźdźców w czerwonych płaszczach.

Psiakrew! - zaklął Brett.

Uparci, prawda? - zauważył Jamie.

Dlaczego na nas czekają? - zastanowiła się głośno Isabel.

Mogli przekupić stajennego Beaufortów - wyraził przypuszczenie Brett.

- Hej! - zawołał porucznik. - Stać, w imię króla!

Aczkolwiek nie miał zamiaru okazać lekceważenia Jerzemu III, Brett gwałtownie skręcił i pogalopował w bok, z Isabel i Jamiem na flankach.

Skoro tylko minęli Colne, opuścili drogę i pogalopowali na przełaj. Teren był podmokły, czasami bagienny, jazda była więc dość utrudniona. W pewnym momencie Isabel obejrzała się i zobaczyła sześciu jeźdźców zbliżających się ze sporą szybkością.

Brett! - krzyknęła.

Widzę ich - odparł.

Spięli konie ostrogami i pomknęli dalej.

Po blisko godzinie ostrej jazdy konie rzęziły, a ich boki pokryła piana. Trzeba było zwolnić, jeśli miały im służyć w jakiej takiej kondycji do końca dnia.

Po lewej stronie widniała szachownica pół porozdzielanych płotkami. Gdyby wybrali ten kierunek, musieliby je kolejno przeskakiwać. Po prawej mieli las. Isabel wyciągnęła z kieszeni kompas i wpatrywała się w niego przez chwilę.

Skuteczniej skryjemy się w lesie - orzekła. - Ale to opóźni nas jeszcze bardziej.

Na polach będziemy zbyt widoczni - zauważył Brett.

No właśnie. Jeśli dojdzie do otwartej walki, wołałbym mieć jakąś osłonę - wtrącił Jamie.

Miejmy nadzieję, że uda nam się uniknąć walki, otwartej i każdej innej - Isabel skierowała konia do lasu.

Nie było tu ścieżki, mogli więc jechać co najwyżej truchtem, omijając drzewa. Przez następne pół godziny jazdy milczeli. W końcu wyjechali na otwartą przestrzeń i znowu ruszyli galopem.

Osiągnąwszy szczyt niewielkiego wzgórza, Isabel gwałtownie wstrzymała konia.

Kasztanka zatańczyła pod nią. Isabel rozpoznała lasy i pola, obok których już przejeżdżali.

- Otaczają nas!

Skręciła konia jeszcze raz i pomknęła. Jamie i Brett pogalopowali za nią.

Nagle wierzchołek Isabel jęknął i padł ciężko na ziemię. Isabel potoczyła się również.

Zanim zorientowała się, co się stało, była już z powrotem na nogach i wpatrywała się we wstrząsane drgawkami zwierzę.

Jamie i Brett wstrzymali konie i podeszli.

- Trafiała nogą w króliczą norkę- powiedziała Isabel, wyciągając pistolet. - Złamana.

Przyłożyła lufę do głowy nieszczęsnego stworzenia, zamknęła oczy i pociągnęła za cyngiel. Wszystko w zupełnym milczeniu.

- Szybko, Isabel! Za mną! - zawołał Brett, podając jej rękę. Chwyciła ją i już była na siodle. Objęła go ramionami w talii i pomknęli dalej.

Pański koń nie wytrzyma zbyt długo z dwiema osobami na grzbiecie - zawołała, gdy pędzili przez ugór.

Wiem - odparł. - Mamy jeszcze siedem kilometrów do Barnaldswick, gdzie będziemy mogli się ukryć. Musi wytrzymać do tego czasu.

Słońce już dawno opuściło nieboskłon. Wjechali w kolejny gaj. Wśród drzew noc była jeszcze ciemniejsza.

Słyszę ich - wydyszał Jamie.

Tak. Robią dość dużo hałasu - zauważył Brett. - Nie możemy mieć złudzeń: są blisko.

Brett - powiedziała rozsądnie Isabel - jeśli zostawi mnie pan tutaj, z łatwością schowam się lub obronię, pan zaś będzie mógł dowieźć Jamiego do Barnaldswick.

Proszę nawet o tym nie myśleć.

Ale...

Ponury - to nie było właściwe słowo na określenie wyrazu, jaki pojawił się na twarzy księcia.

Jeśli spróbuje pani zeskoczyć z tego konia, zwiążę panią, zaknebluję i przerzucę przez siodło. Czy to jasne?

Tak, milordzie - mruknęła.

Na spienionych, dyszących koniach wypadli spomiędzy drzew na drogę. Brett prowadził. Przejechali galopem drewniany mostek i wpadli do miasteczka Barnaldswick.

- Z konia, Jamie! Puszczaj go wolno! - krzyknął Brett, ześlizgując się wraz z Isabel na ziemię.

Wymierzyli rumakom parę klapsów. Wyczerpane stworzenia, uwolnione od ciężaru, pomknęły przed siebie.

Co teraz? - spytała Isabel.

Chowamy się - powiedział Brett.

Ale gdzie? - zawołał Jamie.

Na drewnianym moście za nimi zatętniły końskie kopyta. Nie było czasu na odpowiedź.

Brett chwycił rękę Isabel. Pobiegli.

- Rozdzielamy się! Mort i Charlie przeszukają stajnię, Sam i Bill gospodę. My sprawdzimy główną ulicę. Mamy ich!

Brett, Isabel i Jamie przekradli się szybko drewnianym chodnikiem i skręcili w boczną uliczkę, potem w drugą. Z tyłu słychać było ciężkie oddechy dwóch mężczyzn.

Rozejrzeli się rozpaczliwie. Wokół nie było nic, co mogłoby stanowić kryjówkę.

Na czworaki, Jamie - zakomenderował Brett.

Co?! - zdołał wykrztusić Jamie i już był na ziemi, popchnięty silną ręką księcia.

Brett strząsnął na niego swój płaszcz i usiadł. W ciemności sprawiało to wrażenie, że siedzi raczej na pniu drzewa, niż na zdumionym młodzieńcu. Błyskawicznie posadził sobie Isabel na kolanach, otoczył płaszczem i ramionami... i pocałował.

Zaskoczone „yhhhh!” Isabel szybko zmieniło się w cichutki jęk rozkoszy. Całowała już wcześniej mężczyzn, ale wyłącznie w ramach obowiązków, które wyznaczał Monty.

Nigdy wcześniej nie rozgorzał w niej podobny żar, spalający wszelką myśl o niebezpieczeństwie. Bezwiednie objęła księcia za szyję i z zapalem oddawała mu pocałunki, coraz bardziej wzmagające ogień, który w niej rozniecił. O tak! O tym właśnie

marzyła, tego potrzebowała od tak dawna!

Wtem jakaś duża dłoń chwyciła ją za ramię i brutalnie potrząsnęła. Zaskoczona, Isabel oderwała się od Brett'a i wpatrzyła w zaskakująco brzydką, spoconą twarz, która nachylała się nad nią. Czerwony płaszcz był szokiem.

- Nie widzieliście czasem* chłopca i dwóch mężczyzn? Nie przechodzili tędy?

Isabel zaczerpnęła tchu.

Nie widzisz, że jesteśmy zajęci? - odparła, rozwlekając słowa w sposób typowy dla Yorkshire.

Zabieraj tę rękę - warknął Brett z takim samym rozwlekłym akcentem. - Jak śmiesz zaczepiać moją dziewczynę! Już cię tu nie ma! Co za grubiaństwo!

Pytający oddalił się, mamrocząc z niezadowoleniem pod nosem.

Brett i Isabel odprowadzili go wzrokiem. Gdy tylko zniknął z pola widzenia, Isabel natychmiast zeskoczyła z kolan księcia. Jamie, wciąż pod spodem, o mało nie udławił się ze śmiechu.

Proszę ze mnie zejść! - wykrztusił. - Waży pan chyba tonę! Brett poderwał się.

Wybacz mi, młodzieńcze.

Isabel wdzięczna była losowi, że jest ciemno. Ciemność kryła rumieniec, który pokrywał ją od czubka głowy po koniuszki palców. Serce waliło tak, że słyszało je chyba całe miasto... Uniosła głowę ku księciu, skoro tylko jednak ich spojrzenia się spotkały, natychmiast odwróciła wzrok.

Już chyba przeszukali stajnię - powiedziała bez tchu. - Możemy się tam schować.

Zgoda - odparł Brett.

Ostrożnie, kryjąc się pod ścianami budynków, przekradli się do stajni. Szczęściem nie było tu ani stajennego, ani parobka, jedynie wiekowa kobyła i sporo zakurzonego siana. Sprawdź teren - Jamie zaczął metodycznie przeszukiwać stajnię, z pistoletem gotowym do strzału.

Myślę, że na razie wymknęliśmy się im - powiedział sztywno Brett, nie patrząc na Isabel. Nie wiedziała, gdzie spojrzeć ani jak poradzić sobie z nagłym bólem, który ją przeniknął. Jak może być taki obojętny? Przecież całował ją przed chwilą tak... tak, jakby naprawdę tego chciał... Poczowała napływające do oczu łzy. Gwałtownie zamrugowała, by je zwalczyć. Nie powinien pan mnie całować, Brett.

Rozpaczliwe sytuacje wymagają zastosowania rozpaczliwych środków - odparł nazbyt zapalczywie.

Jest pan człowiekiem inteligentnym - warknęła Isabel. Jej wzburzenie znalazło ujście w nagłym ataku gniewu. - Mam nadzieję, że o ile znajdziemy się w przyszłości w sytuacji rozpaczliwej, potrafi pan wymyślić inne środki!

Naturalnie - Brett cofnął się znowu. - Proszę mi wybaczyć ten nierozważny krok, Isabel. Więcej się to nie powtórzy, obiecuję.

Gniew wyparował, pozostał tylko ból i zmieszanie. Podeszedł Jamie.

- Wszystko w porządku - zameldował. - Proponuję, żebyśmy schowali się na stryszku.

Nikt nas wtedy niechcący nie nadeptnie.

Isabel zaczęła wspinać się po drabinie. Jamie poszedł w jej ślady. Brett pozostał na dole. Myślę, że powinienem zabawić się w zwiadowcę - oznajmił. - Nie możemy pozwolić, by

nas zaskoczyli.

Brett! - syknęła Isabel. - Niech pan nie będzie szalony! Mogą pana znaleźć!

Tak, ale będą szukać trzech osób, a nie jednej. A poza tym zależy im przede wszystkim na Jamiem. Mnie raczej trudno uznać za wyrostka, nie mam też nosa Shipleyów. I jestem uzbrojony. Będę ostrożny, proszę się nie niepokoić. - I bezgłośnie wysliznął się ze stajni. Idiota. Barani łeb - mruknęła Isabel i zaczęła mościć sobie legowisko z siana, wznosząc tumany kurzu. Kichnęła.

Po upływie pół godziny księżę Northbridge wśliznął się z powrotem.

To ja - szepnął.

Wiem - odszepnął Jamie. - Gdybym nie był pewny, posłałbym panu kulę między oczy.

- Och. - Brett wspiął się po drabinie, w czym przeszkadzał mu nieco wielki, nabity worek. Na stryszku, tuż obok drabiny, siedział Jamie z pistoletem na podolku; po przeciwnej stronie spała Isabel z pistoletem w koniuszkach palców.

- Co to jest? - szepnął Jamie.

Brett podsunął mu worek.

- To jest, mały, twoje najnowsze wcielenie. Z przykrością muszę cię poinformować, że spadasz w dół w społecznej hierarchii. Jesteś synem farmera-dzierżawcy.

Jamie, marszcząc nos, wysypał ubrania z worka.

- Nie mam nic przeciwko temu, by być synem farmera, ale czy syn farmera nie może mieć trochę lepszego gustu?

Brett zachichotał.

Niestety, tylko to udało mi się zdobyć. Barnaldswick nie jest zbyt bogatym miastem.

Wiem, sir, darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. W porządku, dzięki. Szybki pan jest.

Usłyszeć to od ciebie, młodzieńcze, to doprawdy pochwała.

Jamie wyszczerzył zęby.

Są jakieś nowiny?

Rzekomi milicjanci pojechali dalej - mówił po cichu Brett, siadając obok. - Wcześniej obeszlą wszystkie domy w mieście. Są przekonani, że przejechaliśmy Barnaldswick bez zatrzymywania się.

Bogu dzięki.

Właśnie. Niedługo znajdą nasze konie i pomyślą, że poszliśmy dalej piechotą. Spędzą całą noc na bezowocnych poszukiwaniach, przetrząsając okolicę. Myślę, że możemy sobie pozwolić na odpoczynek. Idź spać, ja postoję na warcie.

Oczywiście - odparł bez ceregieli Jamie, przebijając się w nowe rzeczy. Brett poszedł w jego ślady. - Zgodziliśmy się już z Isabel, że skoro jest pan tak szalony, że poleciał pan za ludźmi mojego wuja, powinien pan mieć pierwszą wachtę, o ile wróci pan żywy i cały. Potem przyjdzie nasza kolej, tak żebyśmy mogli wszyscy trochę pospać. Tylko niech pan nie rozpieszca Isabel i nie pomija jej. Upiera się, żeby też trzymać wartę. Nawiasem mówiąc, ona może spać w największym hałasie, ale kiedy przyjdzie umówiona pora, budzi się na najłżejsze dotknięcie.

Kochasz ją, prawda?

Twarz Jamieego złagodniała, jak zawsze, gdy mówił o Isabel.

- Jakże by inaczej? To moja najlepsza przyjaciółka, siostra i matka w jednej osobie. A obecnie opiekun.

Tak - odparł Jamie. - Monty dokonał właściwego wyboru.

Mam nadzieję, że to ty jesteś prawdziwym dziedzicem. Jamie podniósł głowę.

Naprawdę? Dlaczego?

Brett uśmiechnął się.

Polubiłem twoje skandaliczne maniery. A także sposób, w jaki mówisz o Montym.

A jak ja mówię o Montym?

Z miłością i podziwem. Wierzę, że Monty zasługiwał na jedno i drugie.

Zasługiwał i zasługuje, sir - powiedział Jamie spokojnie. - Na mój honor.

Umościł sobie legowisko w sianie, kichnął i położył się. Naciągnął na głowę płaszcz i po upływie minuty spał już głęboko.

Brett wpatrywał się w uśpionego młodzieńca. Nigdy nie pragnął niczego tak, jak pragnął obecnie - by ten chłopiec okazał się Jamesem Shipleyem. A jeśli się nie okaże? Módl się, żeby do tego nie doszło - mruknął do siebie.

Z oporem zwrócił głowę ku Isabel, śpiącej tak blisko. Zagadkowy uśmiech błąkał się na jej wargach. Doprawdy, niełatwo będzie przez całą wachtę robić to, co do niego należy - to znaczy obserwować miasto przez okienko stajni - kiedy ona śpi tak spokojnie zaledwie parę stóp od niego.

Zdjął płaszcz i przykrył ją delikatnie. Westchnęła z zadowoleniem. Brett uśmiechnął się i wyciągnął rękę, żeby odgarnąć jej z twarzy pasemko włosów. I zamarł.

Co mu się stało? Z jękiem oparł się z powrotem o swoje słomiane siedzenie. Ta samotna, bezbronna młoda kobieta była pod jego opieką! Ponownie rzucił na nią okiem i jęknął jeszcze raz.

Wyglądała na nie więcej niż dwadzieścia lat, gdy spała i tak jakby na całym świecie nie było nikogo, kto by się o nią troszczył. Wytrzymała podczas tej podróży bez słowa skargi każde zagrożenie, każdy ból i każdą niewygodę. Zmieniały się jej role i kostiumy, ale w każdej roli niewzruszona i niezmienna była jej miłość i oddanie dla Jamiego.

Dziwne wrażenie robiły na księciu uczucie i lojalność tych dwojga. Nigdy nie spotkał się z podobną bliskością. Nigdy o takiej nie słyszał. A może nie miał dostatecznie szeroko otwartych oczu, aby ją wokół siebie dostrzec?

Po raz pierwszy w ciągu trzydziestu pięciu lat, jakie spędził na tej ziemi, książę Northbridge poczuł zazdrość. Ze zdumieniem stwierdził, że jest odrobinę zazdrosny o Jamiego. Jamie miał miłość Isabel, on zaś - wyłącznie jej podejrzliwość, ostry język, cięty dowcip. Tak by pragnął...

Brett zbeształ się w duchu za głupotę i zaczął wyglądać przez okienko. Co mu się stało? Kim był ten człowiek w łachmanach, siedzący w niechlujnej starej stajni, z dala od wygód, jakie zapewniała mu dotąd służba? Jak to się stało, że myśli o uczuciach, jakie wzbudza w nim Isabel, zamiast o swoich obowiązkach dżentelmena? Dlaczego wciąż czuje na wargach dotknięcie jej słodkich ust?

Od wielu lat każda jego myśl i działanie koncentrowały się wokół pozycji, jaką zajmował w społeczeństwie. Teraz ramy, w jakich dotąd funkcjonował, przestały istnieć.

Obowiązek, który czcił niczym bóstwo, stracił swoją wartość absolutną. Jego świat nie

miał formy. Nie potrafił już się w nim odnaleźć.

Wszystkie napełniające otuchą słowa, za pomocą których określał siebie samego przez całe życie, wydawały się teraz puste i pozbawione znaczenia. Czyżby były kłamstwem? Z pewnością trzymały na uwięzi krnąbrne myśli i zabezpieczały go przed emocjami, których nie mógł obecnie powstrzymać. Czy powrót do Ravenscourt położy temu kres? Czy odnajdzie siebie, gdy wróci do domu, czy może odnalazł siebie właśnie tu i teraz? Zegar na kościelnej wieży po przeciwnej stronie ulicy zaczął bić. Brett, zaskoczony, zdał sobie sprawę, że minęły już trzy godziny. Z pewnym rozbawieniem patrzył, jak drgają powieki Isabel. Otworzyła oczy i usiadła, najwyraźniej zupełnie przytomna.

Dobry wieczór - powiedział poważnie.

Dobry wieczór, sir - odparła z takim samym opanowaniem. Ze zdziwieniem spojrzała na płaszcz, którym była przykryta. Wydawało mu się, że się zaczerwieniła, ale w półmroku nie był pewny. - Dziękuję.

Bardzo proszę. Drobiazg.

Wstała, przeciągnęła się i wyjęła z włosów parę źdźbeł słomy. Chłodna i rzeczowa, przez cały czas unikała jego wzroku. Wtem spostrzegła zmianę w wyglądzie Bretta.

Czyżby gwałtownie pan zubożał, odkąd widzieliśmy się ostatni raz?

Pobierając nauki u tak znakomitych mistrzów sztuki aktorskiej, pomyślałem, że mogę i ja wnieść swój skromny wkład. Proszę - wręczył jej worek, obecnie znacznie mniej pękaty.

Co to jest?

Pani nowe wcielenie, milady. Niestety, byłem w stanie zdobyć dla pani wyłącznie ubrania damskie, i to w nienajlepszym stanie.

Isabel wytrząsnęła z worka swoją nową garderobę i przejrzała ją fachowym okiem.

- Ależ to znakomity kostium, sir. Gratuluję. Jak na dżentelmena o tak niechętnym stosunku do maskarady, wykonał pan zadanie nad podziw dobrze.

Brett zwiesił głowę.

- Zostałem skorumpowany.

Isabel uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd byli w Barnaldswick.

Niewątpliwie wygląda pan zupełnie inaczej, niż w dniu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Wydaje się, jakby to było osiem lat temu, a nie osiem dni, prawda?

Tak - Isabel unikała jego wzroku. - Wiele się zdarzyło.

Znacznie więcej, niż bym się kiedykolwiek spodziewał. - Przerwał na moment. - Jestem zimnym mężczyzną, prawda, Isabel?

Gwałtownie uniosła ku niemu oczy.

Ależ nie, sir! Skądże znowu! Ma pan wielkie serce i mnóstwo ciepła dla osób, które są panu bliskie.

Naprawdę? - Brett zaczerwienił się. Słowa Isabel sprawiły mu nieoczekiwaną przyjemność. - Myślę, że moja rodzina nie zgodziłaby się z panią.

To wyłącznie dlatego, że znają pana jako zasiedziałego w swoim majestatycznym domu księcia Northbridge, a nie jako wałęsającego się po drogach i bezdrożach Bretta Avery.

Jest w panu umiłowanie przygody, milordzie, tylko nigdy nie miał pan okazji, by dać mu ujście.

Wydawało mi się, że lubię to osiadłe, spokojne życie.

Mylił się pan.

Książę wybuchnął śmiechem.

Czy zawsze wyraża pani wprost swoje opinie?

Nie wszystkie, sir. Czasami, gdy są odmienne od powszechnie przyjętych...

Przez chwilę wpatrywał się w nią. Poczłł niejaką satysfakcję, kiedy odwróciła wzrok.

Myślę, że ma pani zbyt wiele sekretów, Isabel.

Ponieważ stawia to pana w niekorzystnym położeniu, a pan do tego nie przywykł - odparła szorstko.

Lubię, gdy to na mnie spoczywa odpowiedzialność.

Zauważyłam.

Brett stwierdził, że się uśmiecha.

- Czy nigdy nie brała pani pod uwagę możliwości, by przynajmniej spróbować mi pochlebiać?

- W sytuacji, gdy pańska wartość jest dla wszystkich oczywista? To zbyteczne.

Książę spojrzł w jej szare oczy, szukając w nich czegoś, czego dotąd nie spotkał.

Jak to? Więc pani mnie ceni, Isabel?

Naturalnie, sir! - odparła lekko. - Zuch z pana.

To nie było to, czego oczekiwał.

Jest pan również bardzo przekonującym wieśniakiem - ciągnęła, mierząc go wzrokiem - aczkolwiek takim, który gwałtownie wyrósł z ubrania. - Rękawy koszuli sięgały Brettowi zaledwie do połowy przedramion, nogawki - do połowy łydek. Aby uniknąć uduszenia, cztery górne guziki koszuli musiał pozostawić rozpięte. - Czy dla dotychczasowych właścicieli tych strojów ich utrata nie była zbyt ciężkim ciosem?

Zostawiłem im wystarczająco dużo gwinei, by mogli kupić sobie nową garderobę.

Nigdy nie wątpiłam w pańską uczciwość i hojność. Szkoda, że to suknia, ale jak na suknię i tak jest niezła. - Rzuciła mu lodowate spojrzenie. - Nie podobało się panu, że występowałam jako chłopak?

Nie. Jako kobieta jest pani znacznie bardziej godna podziwu. Niestety, nie zdołałem znaleźć dla pani żadnych pantofli - ciągnął beztrasko, tak jakby nie dostrzegał jej rumieńców. - Musi pani włożyć buty z cholewką.

Hm - Isabel popatrzyła na swoje stopy. - Wysokie buty nie pasują do spódnicy, nie sądzi pan, sir?

Nie, dlaczego. Musi je pani tylko odświeżyć, żeby pasowały do pani nowej życiowej sytuacji.

- Moje biedne buciki. Kocham je, Brett. Bardzo je kocham.

Książę zaśmiał się.

No dobrze - powiedziała Isabel z roztargnieniem - dość tej miłej pogawędki. Zdaje się, że teraz moja wachta.

Ale ja wcale nie jestem zmęczony - zaprotestował książę. - Dlaczego nie miałyby pani pospać dłużej?

Isabel skrzyżowała ręce na piersiach i popatrzyła na niego ironicznie.

- Kiepską pociechę będziemy z pana mieli, sir, jeśli będzie pan jutro półżywy z

niewyspania. To moja wachta, Brett.

Jak to możliwe, by kobieta wyglądała tak pięknie w tak nieciekawym otoczeniu?

Ma pani obejście księżniczki, wie pani o tym?

Nie, nic mi o tym nie wiadomo. W przeciwieństwie do pana nie obracałam się zbyt często w wyższych sferach. I muszę wyznać, że uważam to za pomyślną okoliczność.

- Cóż za nowina - odciął się Brett. - Zgodnie z pani wcześniejszymi opowieściami, знаła pani każdego utytułowanego mężczyznę, kobietę i dziecko w Europie, jeśli tylko mieli dość pieniędzy, by przyciągnąć wagę Monty'ego!

Uśmiech Isabel złagodniał.

No, może paru - zgodziła się. - Do łóżka, Brett!

Ale ja nie jestem zmęczony.

Bzdury!

Brwi księcia uniosły się gwałtownie.

- Słucham?

Isabel westchnęła ciężko.

Kiedy pan wreszcie zrozumie, że ten ton lorda na włościach nie robi na mnie wrażenia?

Spać, człowieku, bo inaczej - uniosła pistolet - będę musiała panu pomóc.

Dobrze, dobrze - mruknął Brett. - Dobranoc... milady. - Podeszedł do miejsca, w którym spał Jamie, zgarnął trochę siana dla siebie, położył się i po paru minutach już spał.

Pełna ulgi, że nie będzie już jej świdrował baczny wzrok księcia - gdyby tylko mogła nie myśleć wciąż o jego pocałunkach! - Isabel przebrała się w swoje nowe rzeczy i usiadła przy malutkim okienku wychodzącym na główną ulicę. Księżyc wciąż kryły chmury, widać było jednak sylwetki paru domów stojących wzdłuż drogi. Wszystko było nieruchome, nawet psy się nie wałęsały. Nie minęło wiele czasu, gdy przyłapała się na tym, że jej spojrzenie coraz częściej wędruje ku przystojnej twarzy księcia Northbridge.

Podejrzliwość, ironia, wyniosłe maniery, wszystko to zniknęło we śnie; w rysach księcia widoczna była jedynie łagodność, którą z rzadka przejawiał wobec niej na jawie. Być może myliła się co do niego. Być może unikał jej po tym, jak się całowali, bo czuł się skrępowany niewłaściwością tego, co zrobił. Być może zbyt dużą wagę przywiązuje zarówno do pocałunków, jak i do jego późniejszego chłodu...

Wyglądało na to, że nie potrafi już żywić żadnych przykrych uczuć wobec księcia Northbridge, a w każdym razie nie dłużej niż przez kilka minut. Nie musiała się zbyt długo zastanawiać, by ustalić przyczynę. Nigdy nie miała bliskiego przyjaciela, a Brett, pomimo wszelkich póż, jakie przybierał, niepostrzeżenie stał się jej przyjacielem. Jej pierwszym przyjacielem.

Żelazne obręcze, które od tak dawna ścisnęły jej serce, zelżały. Odetchnęła. Czowała, że pragnie opowiedzieć Brettowi o wszystkich swoich tajemnicach. Żeby tak się obudził, żeby mogli znowu się przekomarzać... W ciągu tygodnia, jaki z nim spędziła, śmiała się więcej niż przez cały ostatni rok. Co za szczęście, że odzyskała jego szacunek, którym darzył ją, gdy występowała jako Jack Cavendish! Jak miły jest ten spokój i bezpieczeństwo, płynące z samej tylko jego obecności... Nie miało znaczenia, że Horacy Shipley czyha na ich życie, ani że czeka na nią hak szubienicy. U boku Brett'a czuła się jak w bezpiecznej przystani. Co za ironia! Zawsze sądziła, że bezpieczny port, za którym

tak tęskniła, to będzie określone miejsce - kraj, miasto, dom - a tymczasem odnalazła go w muskularnych ramionach złotowłosego króla elfów.

A co odnalazła w pocałunku, który dotąd palił ogniem jej usta?

Minęła dobra chwila, zanim płuca zdołały zaczerpnąć nieco zbawczego tlenu.

Gwałtownie objęła dłońmi płonące policzki.

O Boże, ona kocha Bretta! Tyle miał wobec niej podejrzeń, tyle wątpliwości co do Jamiego... i nie ma to żadnego znaczenia! W wieku dwudziestu siedmiu lat, znając od podszewki męski egoizm, nieszczerłość i okrucieństwo, i nie biorąc nigdy dotąd pod uwagę możliwości małżeństwa, w ciągu zaledwie tygodnia zakochała się w mężczyźnie... I to nie w byle jakim mężczyźnie, tylko w wielkim, ważnym, obarczonym licznymi obowiązkami księciu Northbridge.

Nie, to niemożliwe! Nie wolno jej! Ale gdy patrzyła na jego uśpioną twarz, jej serce mówiło co innego. Marzyła, by zasypiać obok niego, w uścisku jego ramion. Marzyła, by dzięki niej był szczęśliwy i uśmiechnięty przez resztę życia. Pragnęła czuć jego zachłanne usta na swoich każdego dnia i każdej nocy.

Kochała mężczyznę.

Nie mogła wyobrazić sobie nic gorszego. Myśl o przyszłym szczęściu ani przez chwilę nie postąpiła jej w głowie. Ponieważ nie istniała możliwość, by arystokrata związał się z morderczynią, myślała nie o wspólnej przyszłości z mężczyzną, którego kochała, a wyłącznie o tym, jak ukryć tę katastrofalną słabość przed jej sprawcą.

Hasłem dnia musi stać się symulacja. Musi doprowadzić do końca sprawę, do załatwienia której została zobowiązana, a potem, przy pierwszej sposobności, zniknąć księciu z oczu. Na myśl o tym zabrakło jej tchu. Zadrżała. Wkrótce, jeśli tylko uda jej się szczęśliwie doprowadzić Jamiego do Thornwynd, utraci nie tylko tego chłopca, którego kochała jak brata, którego pomagała wychowywać, ale i mężczyznę - swoją pierwszą i jedyną miłość. Wystarczająco trudna byłaby utrata jednego; utrata obydwu wydawała się niemożliwa do przeżycia.

Nie wolno jej jednak o tym myśleć. Może zostanie zabita przez ludzi Horacego, albo zaarrestowana na żądanie Jonasza Babcocka? Wtedy wszystko rozwiąże się samo. Doznawszy w ten sposób przewrotnej, ponurej pociechy, wróciła do obserwowania ulicy. Jej myśli wciąż jednak były przy mężczyźnie o wymownych błękitnych oczach, zaraźliwym śmiechu i łagodnej linii ust, pogrążonym we śnie tuż obok niej. Widziała siebie leżącą obok niego, otoczoną jego ramionami, z sercem bijącym tuż przy jego sercu, ogrzewaną ciepłem jego oddechu...

12 maja 1804 roku, wczesny ranek

Barnaldswick, Yorkshire

O świcie Brett, Isabel i Jamie wysłiznęli się ze stajni. Poruszając się ostrożnie, usiłowali znaleźć w mieście trzy konie, które mogliby wypożyczyć, pozostawiając stosowną kwotę dla dotychczasowych właścicieli. Niestety, miasteczko było niewielkie i niebogate, tak więc nie znaleźli nic.

Wobec tego idziemy piechotą- powiedział Jamie.

Piechotą? - Brettą zatkało. - Ale w tych strojach ludzie wezmą nas za... za...

Włóczęgów? - podsunęła Isabel. - Cóż, nie po raz pierwszy... dla niektórych z nas.

I zaśpiewała na cały głos marszową piosenkę. Księżę jęknął. Jamie uśmiechnął się.

Ruszyli.

Dzień był bezchmurny i nadzwyczaj ciepły. W miarę jak słońce wznosiło się coraz wyżej, trójka wędrowców coraz silniej odczuwała pragnienie i głód. Dwie błotniste koleiny pięły się nieubłaganie pod górę. Po paru godzinach rozmowa umilkła, zbyt nużące było bowiem ciągle stawianie jednej stopy przed drugą i chronienie gardła przed całkowitym wysuszeniem. Niczym płochliwe konie oglądali się trwożliwie, ilekroć dał się słyszeć tętent konia czy skrzypienie wozu, jednak ku wielkiej ich uldze wszyscy, których mijali, pozdrawiali ich życzliwym uchyleniem kapelusza lub też przyglądali się im z chłodną uwagą.

Było to dla księcia kolejne nowe doświadczenie na liście tych, które zebrał w towarzystwie Jamiego i Isabel. Dotąd znał jedynie spojrzenia pełne admiracji, bądź też zalotne, zachęcające do flirtu. To, że może być traktowany jak pospolity włóczęga, rozszerzało jego kąć widzenia spraw tego świata. Zbijało z tropu - ale było pouczające. Tuż po jedenastej jakiś wieśniak jadący wielką platformą do przewożenia beczek z piwem zaproponował, by się przysiedli. Z ulgą skorzystali z jego uprzejmości, i choć trochę nimi rzucało w tym niewymyślnym wiejskim pojeździe, ich stopy były poczciwemu człowiekowi niewymownie wdzięczne.

Brett wziął na siebie obowiązek prowadzenia konwersacji z dobroczyńcą. Skarżył się, że koń im okulał, a wuj w Slaidburn nieodwołalnie zapragnął ich widzieć. Oni bowiem są wprawdzie ubodzy, ale wuj ma się całkiem nieźle, co sprawia, że muszą podporządkowywać się wszelkim jego kaprysom i stawiać na każde wezwanie.

Prawie nie zwrócił uwagi, z jaką łatwością przychodzi mu kłamstwo.

Omówili z wieśniakiem pogodę, zbiory, wojnę, wysokie ceny, szokujące doniesienia na temat hucznych zabaw londyńskich arystokratów i mnóstwo innych spraw. Isabel i Jamie, co było niebywałe, milczeli. Brett obejrzał się: Jamie uciął sobie drzemkę, Isabel zaś starannie unikała jego wzroku, jak czyniła to od samego rana.

W godzinę później byli w Slaidburn. Gorąco podziękowali swojemu woźnicy, przy czym Brett zauważył, że Isabel zatroszczyła się, by w dowód wdzięczności zostawić mu na wozie parę gwinei.

Poszli szukać Dawkinsa. Nie było to łatwe, jako że miasto było spore i Dawkins, bywalec spelunek, skrył się dość skutecznie. W końcu po upływie niemal godziny znaleźli go w tawernie Pod Złotym Scytem, przybytku o dość wątpliwej reputacji. Zaprosił ich niezwykle

wylewnie do stolika, tubalnym głosem zamówił dla nich napitki, po czym zwrócił się po cichu do Brett:

- Uwaga, sir. Dziś rano w mieście była milicja. O ile była to milicja. W co wątpię.

Brett zaklął pod nosem.

Musimy w miarę możliwości unikać głównych dróg. Umiałbyś znaleźć drogę przez West Riding?

Z zamkniętymi oczami, sir!

Brett uśmiechnął się, nie podjął jednak dyskusji z tak skrajną opinią, gdyż przyniesiono zamówione trunki, a wraz z nimi lunch. Z apetytem rzucili się na posiłek. Właściciel tawerny miał dziś szansę nieźle zarobić.

W niespełną godzinę później wstali, zapłacili za jedło i napitki, i pośpieszyli do wynajętej przez Dawkinsa stajni, gdzie schował powóz Beaufortów. Nie tracąc czasu na zmianę kostiumów, ruszyli.

Dawkins nie mógł jechać szybko, gdyż droga, którą wybrał, była wyboista i powożenie wymagało niezwyklej koncentracji. Napięcie pasażerów rosło z każdą godziną. Przecież domniemana milicja przeczesuje całe hrabstwo, każdą drogę, każdy przysiółek... Słońce zaczęło już zniżać się ku widniejącej przed nimi zachodniej linii horyzontu.

Nadal twierdzą - powiedział Jamie, kontynuując trwający od paru godzin spór - że bezpieczniej byłoby, gdybyśmy się w tym miejscu rozdzielili, wsiedli na konie i spotkali w Ravenscourt.

Nie - odparła zdecydowanie Isabel. - Monty powierzył cię mojej opiece i pod moją opieką pozostaniesz.

Ditto - podsumował Brett.

Niech was licho! - zawołał Jamie. - Przecież oni wiedzą, że jest nas troje! I wiedzą, że występujemy w przebraniu. Zostaliśmy zdemaskowani. Razem nie możemy być bezpieczni!

A czy ktoś mówił, że będziemy bezpieczni? - spytała Isabel. - Niebezpieczeństwo od samego początku było zagwarantowane.

Powóz zakołysał się i zahamował z taką siłą, że Isabel rzuciło w ramiona Brett. Było to niezwykle przyjemne przeżycie dla jego lordowskiej mości, dopóki go nie przeprosiła i nie wyciągnęła pistoletu. Dopiero po chwili Brett zorientował się, że broń nie jest wymierzona w niego. Byłaby to dla niego znaczna ulga, gdyby nie fakt, że z zewnątrz dochodziły wrzaski. Ktoś ordynarnie pokrzykiwał na Dawkinsa, by trzymał konie spokojnie, jeżeli nie chce dostać kulki w serce.

Co się dzieje? - szepnęła Isabel.

Rabunek? - zastanowił się również szeptem Jamie.

Nie - odparł ponuro Brett. - To kontrola wszystkich przejeżdżających tą drogą, w imieniu króla. Rozpoznaję głos. To ta rzekoma milicja.

Hej, wy tam w środku! Wychodzić i ręce do góry, w imię króla!

Brett spojrzał na swoich opanowanych towarzyszy, otworzył drzwiczki i wyszedł z uniesionymi rękami. Na drodze stało sześciu uzbrojonych, odzianych w czerwone płaszcze, jeźdźców. Dwie lufy wymierzone były w Dawkinsa, który patrzył na napastników z nieskrywanym jadem. Trzy zwrócone były w kierunku Brett i Isabel, która

powoli wyłaniała się z wnętrza pojazdu. Ostatni wyszedł Jamie.

Wyprowadził nas pan w pole, drogi książę - powiedział szyderczo porucznik - ale tym razem już się panu nie uda. To jest ten złotodajny chłopczyk - wskazał lufą Jamiego. - Związać go!

A co z resztą? - spytał sierżant.

A jak myślisz?

Ale przecież jeden z tych dwojga to książę!

- Krwawi tak samo jak każdy inny - stwierdził porucznik. Podczas gdy on wraz z sierżantem trzymali na muszce Isabel i Brett, dwóch jego ludzi zeskokczyło z koni i podeszło do Jamiego ze sznurami w rękach i błogimi uśmiechami na obliczach. Wkrótce staną się ludźmi bogatymi.

Kiedy jednak dzieliło ich od chłopca nie więcej niż pół metra, ten rzucił się nagle głową naprzód, zwalając obu z nóg. Isabel błyskawicznie sięgnęła do kieszeni spodnicy i nie wyjmując nawet pistoletu, wypaliła. Kula rozprysła się tuż przed kopytami koni, na których siedzieli dwaj napastnicy pilnujący Dawkinsa. Konie zakwiczały, przerażone. Dawkinsa nie trzeba było pouczać, co ma robić. Trzasnął z bata na swój zaprzęg i konie ruszyły prosto na dwóch jeźdźców w czerwonych płaszczach.

Rozwścieczony tym nieoczekiwanym zwrotem akcji, porucznik uniósł pistolet i wystrzelił. W tym samym momencie Brett rzucił się na jego wierzchowca. Zwierzę zarżało gwałtownie i zrzuciło jeźdźca z siodła. Brett nie widział teraz Isabel ani Jamiego, nie widział też pozostałych napastników. Miał przed sobą tylko tego mordercę porucznika. Zwalił się na niego i wymierzył mu parę ciosów. Z rozkoszą czuł pod pięściami ciało przeciwnika, muskuły, mięśnie... Wtem serce mu stanęło. W momencie, gdy wypuszczał z objęć nieprzytomnego porucznika, usłyszał nad sobą parę strzałów i kobiecy krzyk: - Jamie!

Odwrócił się i zobaczył, jak Jamie osuwa się na ziemię. Na koszuli rosła czerwona plama.

Po raz pierwszy w życiu Brett poczuł grozę.

Dwoma strzałami położył dwóch rzezimieszków, którzy zmierzali ku Jamiemu. Nie zabił ich, ale nie nadawali się już do walki. Isabel, z szablą jednego z napastników w dłoni, walczyła z sierżantem, Jamie zaś, biały jak kreda i zakrwawiony, po omacku wyciągnął drugi pistolet dokładnie w momencie, gdy szósty z napastników zamierzył się na niego szablą. Pociągnął za spust. Przeciwnik był martwy, zanim jeszcze upadł na ziemię. Isabel z furią wymierzała cięcia, zadając kolejne rany. Sierżant krwawił coraz bardziej, w końcu upuścił szablę, odwrócił się i rzucił do ucieczki... prosto w ramiona Brett, który spuścił potężną pięść na twarz napastnika. Ten zwalił się na ziemię niczym worek. Brett rozejrzał się błyskawicznie. Dwóch rzezimieszków, którzy stali jeszcze na nogach, trzymał na muszce Dawkins.

Jamie! - Isabel cisnęła szablę i rzuciła się ku chłopcu.

Spokojnie... Rana nie jest śmiertelna, zapewniam cię - powiedział słabo, opierając się o tylne koło powozu.

Isabel bez słowa wyciągnęła z cholewy nóż i szybko przecięła koszulę chłopca. Z ramienia płynęła krew.

Brett zerwał koszulę z jednego z nieprzytomnych napastników i podał Isabel.

- Dzięki - rzuciła, nie patrząc na niego.

Otarła krew na tyle, że widać było brzydką, głęboką dziurę w ramieniu chłopca. Szybko zatamowała krew kawałkiem tkaniny. Jamie jęknął. Przyciągnęła go lekko ku sobie i przycisnęła drugi kawałek płótna do otworu z drugiej strony ramienia, przez który wyszła kula.

W porządku, dzieciaku - powiedziała lekko tylko drżącym głosem. - Wygląda na to, że kość jest nietknięta. Kula przeszła gładko na wylot. Będziesz żył.

Tak, ale co to za życie - jęknął Jamie.

Brett, przeszukujący tobolek uwiązany z tyłu powozu, uśmiechnął się. Czy jest jeszcze na świecie ktoś taki jak ci dwoje?

Jak się czujesz? - spytała Isabel.

Dobrze - szepnął Jamie. - W każdym razie lepiej niż na Morzu Północnym.

Och, w takim razie jestem spokojna.

Jamie zaśmiał się, ale twarz skurczyła mu się z bólu.

Niech mnie gęś kopnie! Spokojna! Rana się zagoi, a ty jeszcze przez pół roku będziesz się zamartwiać.

Oczywiście - odparła. - Przecież jestem twoim opiekunem, prawda?

Brett podszedł i w milczeniu podał Isabel flaszkę z brandy dla Jamiego, menażkę wody i parę własnych jedwabnych koszul na bandaże.

Szybko, fachowo obmyła ramię z krwi, odjęła Jamieemu flaszkę od ust i z kamienną twarzą wylała połowę zawartości na ranę. Chłopak wrzasnął, ale twarz Isabel skurczyła się tylko na mgnienie. Wręczyła mu flaszkę z powrotem i kiedy pił łapczywie, szybko opatrzyła i zabandażowała ranę. Wyrwała pas materiału z koszuli Brett'a i użyła go jako temblaka.

Widząc, że panuje nad sytuacją i podejrzewając, że zostałby ostro odprawiony, gdyby zaofiarował pomoc, Brett zajął się sprawdzeniem stanu sześciu napastników, którzy ścigali ich tak uporczywie. Jeden był martwy, dwóch nieprzytomnych, pozostałych pilnował Dawkins. Używając sznurów, którymi miał być skrępowany Jamie, Brett z satysfakcją związał pozostałą przy życiu piątkę.

Następnie, przemawiając łagodnie, zdołał przywołać trzy spośród koni, które rozpiechły się w czasie walki. Trzy inne miały najwidoczniej dość rozumu, by nie stać i nie przyglądać się, jak ludzie usiłują się nawzajem pozabijać, i uciekły dalej, w bardziej przyjazne strony.

- Potrzebuję twojej pomocy, Brett - rozległ się głos Isabel.

Szybko przywiązał konie z tyłu powozu i podszedł do niej. Wspólnymi siłami postawili Jamiego na nogi i wepchnęli do powozu. Padł bezwładnie na poduszki. Isabel, Brett i Dawkins odbyli u drzwi naradę wojenną.

Ciekawe - zaczął Brett - czy to koniec naszych kłopotów, czy też zmiana na gorsze?

Chyba Horacy nie ma tak zasobnych kieszeni, żeby był w stanie wynająć kolejną ekipę?

- spytała Isabel.

Brett przez chwilę milczał. Zastanawiał się, jakie inne niebezpieczeństwa mogą im jeszcze grozić.

Nieszczęścia chodzą parami - stwierdził smętnie Dawkins. - Lepiej miejmy się na baczności.

Roztropna rada, Dawkins - Isabel uśmiechnęła się czule do ponurego woźnicy. Doskonale - orzekł Brett. - Mamy broń, osiodłane konie, powóz i nasze własne nie najgorsze głowy. Niedługo będziemy w Ravenscourt.

Na razie musimy skorzystać z fachowej obsługi Dawkinsa - ostrzegła Isabel. - Jeśli wsadzimy Jamiego na konia, rana znowu zacznie krwawić. Może się wykrwawić na śmierć.

To prawda - Brett spojrział na ciągnącą się przed nimi aż po horyzont drogę. Słońce już zaszło; księżyc jeszcze nie wzeszedł. - Nie mamy wielkiego wyboru. Musimy jechać naprzód, i to bez zatrzymywania się. Wątpię czy jest choćby jedno bezpieczne gospodarstwo stąd do Ravenscourt.

To prawda - zgodziła się Isabel. - Dawkins, jesteśmy pod twoją opieką.

Weszli do powozu. Isabel ostrożnie usiadła obok Jamiego i ułożyła jego głowę na swoich kolanach. Wkrótce zasnął. Isabel popatrzyła na swoje poplamione krwią ubranie, na ślady krwi na rękach, i podniosła oczy na Bretta.

Ostro było - zauważyła spokojnie.

Tak... Szkoda, że Jamie był zmuszony zabić jednego z nich.

Szkoda? - zachnęła się Isabel. - Przecież to oni mieli zamiar zabić nas!

- Tak, ale pozostawianie za sobą trupów jest nieroztropne - powiedział Brett w zadumie. - Zwłaszcza że mamy już na pieńku ze stróżami prawa. Teraz może nas zacząć ścigać prawdziwa milicja, albo przynajmniej każdy szeryf w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów. No cóż, stało się. Do Ravenscourt mamy jeszcze ze dwa dni, jeśli będziemy jechać w takim tempie.

- Sporo może się zdarzyć w ciągu dwóch dni - zauważyła trzeźwo Isabel. - I sporo zdarzyło się dotychczas.

- To prawda. Jeśli uda nam się przeżyć dzisiejszą noc i jutrzejszy dzień, pojutrze wsadzimy Jamiego na konia. Mam niestety przeczucie, że im bliżej jesteśmy od Ravenscourt, tym bardziej rośnie zagrożenie. Że też Jamie o mało nie został zabity... Ale pani nie jest ranna, Isabel?

- Nie, milordzie. Krew jest Jamiego, nie moja. A pan?

Usta Bretta zwężyły się w ponurą linię.

- Jestem nietknięty, ale odkryłem, że jestem innym człowiekiem niż sądziłem. Czułem w sobie dziką pasję. Jedyne czego pragnąłem, to zabić tych drani.

Oczy Isabel po raz pierwszy w tym dniu spoczęły na jego twarzy.

- Obawiam się, Brett, że będzie pan miał jeszcze doskonałą sposobność, żeby to zrobić... jakkolwiekby to było nieroztropne.

12

13 maja 1804 roku, wczesny ranek

po między Barnaldswick i Mardson, West Riding, Yorkshire

Gdy świt zaróżowił obłoki, Brett polecił Dawkinsowi, by się zatrzymał. Jamie spał. Brett i Isabel wyszli na zewnątrz.

Pora, żebyśmy wcielił się w inną postać - oznajmił Brett. - Woźnicy.

Sir? - najeżył się Dawkins.

Tak. Ty wsiądziesz na jednego z osiodłanych koni i pojedziesz naprzód jako zwiadowca.

Ktoś nas musi ostrzegać, jeśli czekają nas kolejne przygody. Nie możemy pakować się w kłopoty, ilekroć zamarzy się to naszym wrogom.

Doskonale, sir - Dawkins zeskoczył na ziemię.

Tylko bądź ostrożny, Dawkins - przestrzegła go Isabel.

Woźnica zaczerwienił się. Jej troska sprawiła mu przyjemność.

Tak, panienko.

A pan postara się nie wyrzucić nas do rowu - poinstruowała z kolei Brett figlarnym tonem.

Jestem ogólnie znany z tego - Brett udał obrazę - że dysponuję najsilniejszą parą rąk wśród arystokracji!

Czy tak szacowna persona potrafi równie nienagannie posługiwać się batem?

Uśmiechnął się. Przez moment potarł delikatnie palcem jej policzek.

- Potrafię wszystko, czego tylko pani zażąda, Isabel.

Odwrócił się i wszedł na kozioł. Isabel z bijącym sercem wspięła się z powrotem do powozu.

Przez chwilę siedziała, wpatrując się w uspiętego Jamiego, po czym gniewnie potrząsnęła głową. Dość tych mrzonek! Przeszukawszy walizkę, zdjęła z siebie zakrwawione rzeczy i włożyła skórzane spodnie, koszulę i surdut do konnej jazdy. Włosy ściągnęła do tyłu i związała błękitną wstążką. Uznała, że buty z cholewką, choć ich wygląd pozostawiał sporo do życzenia, spokojnie wystarczą jej do Lancashire. Nie było sensu myśleć o przebraniu; obecnie żadne przebranie by nie pomogło. Pojedzie sobie przez jakiś czas w spokoju i wygodzie, zanim przesiądą się na konie.

Wcisnęła do walizki poplamione ubranie. I w tej chwili promień słońca padł na pierścień Brett, który dotąd nosiła na palcu. Zapomniała o nim... Chociaż nie do końca. Powinna już dawno zwrócić go księciu, ale udawała, że zapomniała, bo nie chciała się z nim rozstawać. Jeszcze nie.

Jakie to dziwne... Nigdy wcześniej nie pragnęła nosić podarowanego przez mężczyznę pierścionka. Nigdy nie sądziła, że zapragnie wesprzeć się na mężczyźnie, zaufać mu.

Zawsze uważała, że w jej życiu nie ma miejsca na tego rodzaju przyjemności i luksusy.

Ale cóż, nigdy przedtem nie musiała stawiać czoła pokusie, jaką był Brett Avery...

Minęły dwie godziny. Wczesne poranne słońce, to wychodząc zza chmur, to chowając się za nie, nie grzało zbyt mocno. Nagle Brett gwałtownie zahamował. Jamie, momentalnie przytomny, zaczął macać dookoła w poszukiwaniu broni; Isabel już trzymała pistolet w ręce. Uniosła zapadkę.

Brett?

Spokojnie. To Dawkins wrócił.

Jamie i Isabel równocześnie wydali westchnienie ulgi. Isabel wyszła na zewnątrz, na wszelki wypadek z pistoletem w dłoni.

Dawkins dyszał niemal tak samo jak jego koń. Cwałował do nich pod górę.

Kiepsko, sir - oznajmił bez ogródek. - Fatalnie. Tuż przed Mars-don stoi na drodze zapora. Szeryf Horton wraz z tuzinem tak zwanych przedstawicieli społeczeństwa sprawdza każdy pojazd. Mówią, że szukają hersztów bandy, która usiłowała wzniecić bunt w Oldcotes, ale zauważyłem, że zwracają uwagę tylko na niedorostków. Zatrzymają nas, sir. Oni szukają nas. Nie zawahają się, żeby zatrzymać panicza Jamesa.

A zatem Horton został przekupiony? To dość ciekawa wiadomość - powiedział spokojnie Brett. - Nie wiedziałem o tym.

Nie możemy zostać w powozie, Brett - Isabel w zdenerwowaniu zagryzła dolną wargę.

Nie - zwrócił się ku niej z tym łagodnym uśmiechem na twarzy, który zawsze ją uspokajał, bez względu na to, jak poważne byłyby kłopoty. - Przykro mi, Isabel, ale Jamie nie ma nawet tego jednego dnia na powrót do zdrowia. Musimy jechać konno.

I pojedę - oznajmił Jamie, wychodząc z powozu. Był nieco blady, ale trzymał się na nogach dość pewnie. - Nie jestem dzieckiem w pieluszkach, Isabel. Dam sobie radę. Zawsze dajesz sobie radę, Jamie - odparła Isabel z tklwym uśmiechem. - Tylko się zanadto nie nadwerężaj.

Zamierzam ponadweręzać się tylko do Thornwynd, a potem będę spał sto lat.

Zamieniamy się miejscami, Dawkins - Brett zeskoczył z kozła. - Myślę, że nie zobaczymy się przez parę dni. Pojedziesz do Ravenscourt. Co do nas, to nie wiem, jakimi bezdrożami przyjdzie nam jechać, więc na pewno się nie spotkamy. Można jednak przedsięwziąć pewne środki ostrożności. Zaalarmuj ludzi w Ravenscourt. Mason może być pomocny. Zorientuj się czy nie dałoby się zorganizować kordonu bezpieczeństwa. Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś spróbował nas zaatakować w moim własnym domu.

Wolałbym zostać z panem, sir. Cztery pukawki to nie to co trzy.

Nie, Dawkins. Nie chcę, żebyś dłużej dla nas ryzykował. I tak zrobiłeś już więcej, niż ktokolwiek mógłby oczekiwać... Masz mnie słuchać. Jedziesz do Ravenscourt i podnosisz alarm.

Tak jest, sir - powiedział Dawkins ciężkim jak kamień głosem.

Dawkins - Isabel położyła mu dłoń na ramieniu - jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co dla nas zrobiłeś. - I pocałowała go w porośnięty siwą szczecinę policzek.

To była dla mnie przyjemność, panienko - powiedział mruklawie Dawkins, czerwieniąc się aż do linii włosów. - I zaszczyt, że mogłem panią poznać.

Dziękuję, Dawkins.

A ty, mały - zwrócił się woźnica do Jamiego - nie wystawiaj się więcej na kule, słyszysz?

Twoja mądra rada, Dawkins, przemawia do mojej wyobraźni - odparł Jamie. - Będę unikał zarówno kul, jak i mojego wuja Horacego.

Dawkins skłonił głowę i wszedł na kozioł. Brett wspiął się na stopień i powiedział do niego, zniżając głos:

- Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie, Dawkins. Chciałbym, żebyś ustalił, jakie powiązania istnieją między Isabel z Yorkshire a Jonaszem Babcockiem. Może sir Henry

Bevins będzie mógł ci pomóc w tej sprawie. Zwróć uwagę czy nie zdarzyło się coś szczególnego jakieś dziesięć - piętnaście lat temu. Będę potrzebował tej informacji natychmiast po przybyciu do Ravenscourt.

Nie podoba mi się to szpiegowanie młodej lady - powiedział uczciwie Dawkins. - To dobra panienska.

Nie jest mi potrzebna twoja opinia, a wyłącznie informacje, jakie zdołasz zebrać do siedemnastego - odparł Brett lodowatym tonem.

To nie jest w porządku, milordzie. I niepodobne to do pana.

Słyszałeś rozkazy, Dawkins. Ruszaj.

Woźnica przez chwilę wpatrywał się ponuro w swego pana, po czym odjechał niespiesznym truchtem.

Isabel wzięła dla siebie konia Dawkinsa zanim Brett zdążył pokłócić się z nią na ten temat. Podprowadził więc dwa pozostałe wierzchowce ku Jamiemu. Chłopak, gardząc jakąkolwiek pomocą, wdrapał się na siodło z zaskakującą łatwością; Brett poszedł w jego ślady.

Teraz, kiedy jesteśmy na koniach - powiedział - bezpieczniej byłoby, jak sędzę, poruszać się nocą. Pierwszą sprawą staje się zatem znalezienie bezpiecznej kryjówki.

Zdaje się, że las w Bowland dawał czasem schronienie bandytom i włóczęgom.

Przynajmniej tak słyszałam - zasugerowała Isabel.

Znakomita propozycja - zauważył Brett. - Wygląda na to, że zna pani tę okolicę dość dobrze, tajemnicza wygnanko. Las znajduje się jakieś piętnaście kilometrów stąd w kierunku Ravenscourt.

W takim razie już nas nie ma - podchwycił Jamie.

Choć kłębiaste obłoki przykrywały od czasu do czasu słońce, a lekki wietrzyk osuszała czoła z potu, dzień był mimo wszystko dość ciepły, a Jamie osłabiony na skutek utraty krwi. Musieli posuwać się dość wolno. Minęła godzina, potem druga... Jamie coraz częściej chwiał się w siodle. Isabel, jadąca obok, od niechcienia wspominała ich przygody na kontynencie, żeby oderwać uwagę chłopca od bólu, słabości i dopiekającego coraz bardziej słońca.

Dokładnie w momencie, gdy Jamie powiedział sobie w duchu, że dłużej już nie wytrzyma, wjechali w chłodny cień jednego z zagajników lasu Bowland. Brett, na czele pochodu, zaglądał za każdy krzak i każde drzewo, czy nie ukryli się tam ich wrogowie; Isabel, na końcu, sprawdzała, czy nie są śledzeni. Jamie koncentrował się wyłącznie na tym, by utrzymać się w siodle.

Przejechali tak mniej więcej kilometr. W końcu natrafili na cienistą polanę porośniętą miękką trawą, na której mógł położyć się Jamie. Przedtem jednak musiał zsiąść z konia. Jak przez mgłę widział jakąś stojącą obok postać.

- Wszystko w porządku, chłopcze. Trzymam cię - usłyszał.

Zaufał temu głosowi i ześliznął się, nieprzytomny, w ramiona Brett. Książę bez wysiłku złapał go i ostrożnie ułożył na ziemi. Isabel przyklękła obok chłopca i szybko odwinęła bandaż.

- Jest tak, jak się obawiałam. Rana znowu się otworzyła.

- Proszę wziąć tę menażkę. Pójdę zobaczyć, czy uda mi się znaleźć jeszcze trochę

wody.

Isabel bez pośpiechu założyła na ranę nowy opatrunek, zmieniła temblak, po czym dotknęła dłonią czoła nieprzytomnego chłopca. Zmarszczyła brwi: było gorące. Puls również był przyspieszony. Brett podszedł bezszelestnie.

- Jak z nim?

Przysiadła na piętach i uniosła ku niemu głowę. Starła się nie pokazać po sobie, jak bardzo jest zmartwiona.

Niezbyt dobrze, Brett. Nie wolno mu już dzisiaj wsiąść na konia. Chcę przez to powiedzieć, że w nocy też nie będzie mógł jechać.

A zatem musimy założyć obóz - Brett wręczył jej menażkę z wodą. - Ale nie tutaj. To miejsce jest zbyt odsłonięte. Poszukam lepszej kryjówki.

Isabel spojrzała na niego pytająco.

Brett?

Ktoś tu już był przed nami. Niedawno, w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Natrafiłem na ślady. Parę koni, pięć, może sześć... Ślady były niewyraźne.

A zatem las Bowland nie jest bezpieczny - stwierdziła Isabel.

Cała północna Anglia nie jest bezpieczna - odparł Brett sarkastycznie.

To prawda - uśmiechnęła się Isabel. - Niech pan uważa na siebie, Brett.

Pani też, Isabel, jeśli łaska.

Uśmiechnęła się znowu i z pistoletem w ręce usiadła obok Jamiego. Książę, skinąwszy głową od niechcenia, oddalił się niespiesznym krokiem.

Odprowadziła go spojrzeniem, patrząc, jak słońce lśni w jego płowych włosach.

Doprawdy, był rzeczywiście niezwykły... Zupełnie niepostrzeżenie wszedł w rolę herszta bandy i odgrywał ją tak nienagannie, jakby był do niej zrodzony. Ufała mu.

- Och, Jamie - westchnęła. - Tak bym chciała, żeby sprawy wyglądały zupełnie inaczej...

Brett wrócił po dwu godzinach, by ze zdumieniem ujrzeć lufę pistoletu Isabel wymierzoną prosto w jego serce.

- A to co? Rozbój?

Isabel z uśmiechem opuściła broń.

- Po prostu ostrożność. Czasy są niespokojne.

On także uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Znalazłem kryjówkę. Nie jest to miejsce równie przyjemne jak ta polana, ale znacznie bezpieczniejsze.

Isabel spojrzała na Jamiego.

Proszę się nie obawiać - uspokoił ją Brett. - Zaniosę go bez wysiłku.

Ale on nie jest zbyt lekki, sir.

To prawda, ale ja też nie.

Ukląkł obok chłopca i wziął go w ramiona. Jamie, wciąż nieprzytomny, jęknął.

Znalazłem dalsze ślady - mówił Brett, idąc przodem. - Ktoś był tu wczoraj. Może kłusownicy?

Może tak, a może i nie - odparła Isabel.

Po pół godzinie szybkiego marszu dotarli do wyszukanej przez Brett'a kryjówki. Isabel obejrzała ją z podziwem. Była to szczelina skalna na pochyłości wzgórza, nie jaskinia,

ale dość duża rozpadlina zarośnięta krzakami. Znakomicie chroniła przed słońcem i deszczem, a co ważniejsze, doskonale było z niej widać okoliczny las. Gdyby ktokolwiek ich szukał, natychmiast będą o tym wiedzieli.

- Jest pan wprost urodzony do awanturniczego życia, sir – orzekła Isabel.

Brett uśmiechnął się.

Ten tutaj musi być prawdziwym dziedzicem, Isabel, bo inaczej będę wściekły, że tyle musiałem przejść z jego powodu.

Och, sir! To drobiazg w porównaniu z tym, co pan będzie musiał przejść, kiedy już oficjalnie będzie pod pańską kuratelą.

Będę musiał od nowa przemyśleć uroki obowiązku - odciął się Brett. Zachichotała, i o to mu chodziło. Trudności, jakie przyszło jej dotąd pokonać, a teraz dodatkowo troska o zdrowie Jamiego, zebrały swoje żniwo. Oczywiście miała podkrążone. Była spięta. Brett wyczuwał to wyraźnie.

Wniósł Jamiego do kryjówki i delikatnie położył na ziemi. Isabel wcisnęła się obok chłopca. Brett zamaskował otwór zebranych wcześniej gałęziami, po czym usiadł obok Isabel. Ciepło jej ciała, szmer jej oddechu... Na chwilę zapomniał o jakimkolwiek niebezpieczeństwie.

Myślę, że powinniśmy postarać się tu porządnie wypocząć - przerwał szybko ciszę, jaka zapadła. - Kto wie, kiedy znowu będziemy mieli możliwość się wyspać? - Dotknął koniuszkami palców jej policzka i usłyszał gwałtowne zaczerpnięcie tchu. - Pierwsza wachta należy do mnie, Isabel, jeśli pani pozwoli - powiedział szorstko.

Och, Brett...

Madame, niech pani będzie tak dobra i pozwoli mi być rycerskim przynajmniej ten jeden raz.

Uśmiechnęła się.

No dobrze. Ale obudzi mnie pan, zanim zrobi się ciemno. Bo jeśli nie... - zawiesiła głos.

Cały się trzęsę ze strachu - zapewnił ją Brett.

- Wątpię, czy jest na świecie coś, przed czym pan drży, milordzie. Wypowiedziawszy te słowa, Isabel położyła się obok Jamiego i w następnej chwili już spała.

- Co za kobieta! - mruknął Brett, wpatrując się w śpiącą Isabel. Nachylił się i odgarnął jej z twarzy parę ciemnych pasm, przy czym jego palce pozostały na policzku o ułamek sekundy dłużej niż to było konieczne.

Tak jak obiecał, obudził ją, skoro tylko zaczęło zmierzchać. Momentalnie przytomna, już unosiła pistolet, dopiero usłyszawszy szybkie „wszystko w porządku” wypowiedziane przez Bretta, zrozumiała, że na razie nie ma bezpośredniego zagrożenia. Stali ramie przy ramieniu, wpatrując się w ciemniejący las.

Nic się nie działo? - spytała.

Nic. Ptaki ćwierkały, samey przebiegały w podskokach, słońce świeciło i żadna ludzka istota nie zakłóciła swoją obecnością tego sielskiego obrazka.

Niezwykle satysfakcjonujący raport.

Tak jest - wyszczerzył zęby. Isabel odpowiedziała mu takim samym uśmiechem. Ich spojrzenia spotkały się. Uśmiechy zbladły.

Isabel pierwsza spuściła wzrok.

Do spania, sir. Ja trzymam wartę.

I proszę koniecznie coś zjeść - Brett wręczył jej niewielką paczuszkę, zawierającą to, co pozostało z ich zapasów. - Nie będzie z pani żadnego pożytku, jeśli zemdleje pani z głodu.

Naturalnie, sir - odparła posłusznie. Potrząsnął głową, najwyraźniej nie przekonany jej skwapliwością, przeciągnął się, na ile tylko pozwalała ograniczona przestrzeń i momentalnie zasnął.

Isabel wpatrywała się przez chwilę w leżącego mężczyznę, po czym odwróciła oczy. Czujność, oto hasło dnia. A raczej nocy.

Sądząc z położenia gwiazd i księżycy było już po północy, gdy usłyszała ich po raz pierwszy. Zachowywali się dość głośno, stąd wiedziała, że to nie kłusownicy, a ludzie nieprzywykli do poruszania się wśród gęstwiny. W pewnym momencie dostrzegła ich pochodnie. Musieli znajdować się jakieś trzysta metrów stąd... W słabym świetle księżycy, a także na podstawie dobiegających ją głosów oceniła, że może ich być dziesięciu, może tuzin. Lekko dotknęła ramienia Brett'a. Nie musiała nawet wymawiać jego imienia - zerwał się w jednej chwili.

Wskazując ręką świetlne punkciki w mroku nocy, szeptem objaśniła sytuację.

Zbyt wielu ich dla nas dwojga - powiedział Brett, patrząc jej w oczy.

Wiem.

Kiedy przyjdzie czas, będziemy potrzebowali Jamiego, ale jeszcze nie teraz.

Sprawdzili broń. Poszukujący byli coraz bliżej.

- Czy mogą wysledzić nas w takiej ciemności? - wyszeptła.

Brett potrząsnął głową.

- Szukają na ślepo. Metodycznie, niemniej na ślepo. Nie wiedzą, gdzie jesteśmy.

Podejrzewają tylko, że gdzieś w pobliżu.

Zamilkli. Każdy odgłos mógł się przecież nieść dość swobodnie w czystym powietrzu nocy. Ścigający podchodzili coraz bliżej; w świetle pochodni widać już było ich twarze.

Isabel poczuła wewnętrzny dreszcz. To nie były żarty... Mężczyźni byli zarośnięci, ze szramami na twarzach, odziani w obszarpane łachy, uzbrojeni po zęby. Gdyby dostali ich w swoje ręce, nie znaliby litości.

- Hej! - w oddali dał się słyszeć okrzyk.

Dziesięciu mężczyzn z pochodniami zatrzymało się i zwróciło głowy w kierunku polany, na której Isabel, Jamie i Brett odpoczywali po raz pierwszy.

Konie! Znalazłem konie! - dobiegło znowu z dala.

Bailey i Childers, idźcie zobaczyć, co on tam znalazł - powiedział jeden z dziesiątki.

Dwójka mężczyzn odłączyła się od grupy i pobięła w kierunku polany.

Psiakrew! - zaklął szeptem Brett.

Tak jest, konie! - dobiegł krzyk. - Wypoczęte!

Robimy tyralierę - zakomenderował przywódca. - Muszą być niedaleko. Nawet oni nie byliby tak szaleni, żeby zostawić konie i iść do Thornwynd piechotą.

Dziewiątka ludzi rozproszyła się posłusznie i ze wzniesionymi pochodniami zaczęła przeszukiwać las.

Isabel wyciągnęła rękę, żeby obudzić Jamiego, ale Brett ją powstrzymał. Spojrzała na

niego pytająco. Serce zakolało jej w piersi: w oczach Bretta zobaczyła nowy, nieznany dotąd błysk.

- Na wypadek, gdybyśmy nie przeżyli - szepnął. Chwycił ją jedną ręką za szyję i przyciągnął jej głowę do siebie.

Wargi Bretta były zdecydowane, twarde, żądające i oddała mu swoje bez wahania.

Jęknęła, gdy poczuła w ustach jego język. Wydawało się, że pożar ogarnął całe jej ciało. Serce waliło tak mocno, że chyba miało za chwilę eksplodować.

Nie dbała o to. Nieważne było, że śmierć jest tak blisko, ani to, że on jest księciem, a ona awanturnicą. Jedyne, co czuła w tej chwili, to był Brett i ten pocałunek, trwający sekundę i wieczność, pocałunek, w którym spłonął cały otaczający świat. W końcu oderwali się od siebie, spazmatycznie łapiąc powietrze.

Najpierw zdała sobie sprawę z rumieńca palącego jej policzki. Potem z tego, jak brutalne i pełne żądz były jego usta. Wreszcie do świadomości dotarły okrzyki dochodzące ze stoku wzgórze. Automatycznie zwróciła się w kierunku prześladowców.

Trzej mężczyźni wspinali się po pochyłości, potracając kamienie, które z hurkotem toczyły się w dół.

- Hej! No i co wy robicie! - zawołał ze złością ktoś poniżej.

Nie przejęli się tym i nadal wytrwale pięli się pod górę. Położywszy Jamiemu dłoń na ustach, Isabel delikatnie potrząsnęła chłopca za ramię. Gorączka minęła; w sekundę był w pełni przytomny. Podała mu broń i przez chwilę jeszcze trzymała palec na jego wargach. Skinał głową.

Brett wskazał dłonią, który cel do kogo należy. Pokiwali głowami. Następnie uniósł w górę dwa palce i znowu wskazał dłonią. To były cele w drugiej fali atakujących.

Czołowa trójka wciąż pięła się pod górę, klnąc pod nosem skały, nierówności terenu i czepiające się nóg jeżyny.

Isabel natężyła do bólu słuch i wzrok, śledząc nieubłagane zbliżanie się grupki ludzi, którzy pragnęli ich śmierci. Wystarczył moment, by obliczyła, że jeśli każde z nich trojga strzeli idealnie celnie, położą sześciu. Pozostawało wówczas jeszcze pięciu oraz poważna wątpliwość, czy zdadzą ponownie załadować broń.

Trójka wspinających się była coraz bliżej. Isabel widziała teraz wyraźnie pierwszego z nich. W starym, zatłuszczonym kapeluszu na głowie, prawie bezzębny, w jednej ręce trzymał pochodnię, w drugiej broń; dwa dodatkowe pistolety wisiały mu u pasa. Jego towarzysze wyglądali równie groźnie. Jeden miał na twarzy potworną szramę biegnącą od czoła przez policzek aż do gardła i kryjącą się gdzieś w rozchełstany łachmanie koszuli; drugi był cienki niczym ostrze brzytwy, o ostrych, pełnych jadu rysach.

Nie więcej niż metr dzielił ich od kryjówki zbiegów. Prowadzący, ten w wyświechtanym kapeluszu, wyciągnął rękę, by rozgarnąć kryjące ją krzaki. Jamie, gdyż był to jego cel, pewnym ruchem uniósł pistolet, gdy wtem Brett gwałtownie zacisnął palce wokół jego przegubu. Jamie rzucił na niego zdumione spojrzenie. Brett potrząsnął głową.

- Auuu! - wrzasnął napastnik i odskoczył jak oparzony, przyciskając rękę do piersi. - O Jezu Chryste! Co to za miejsce, do pioruna!

I odstał na bok, nieco w górę stoku.

Wraz z towarzyszami przeszukiwali okoliczny teren jeszcze przez kwadrans. W końcu

ten, który się wystraszył, zawołał:

Nikogo tu nie ma!

Dobra - dobiegł głos herszta. - W takim razie schodźcie.

Cała trójka zaczęła gramolić się w dół. Dopiero gdy oddalili się o dobre sto metrów, Isabel zdała sobie sprawę, że nie oddycha, i poczuła ból palców kurczowo zaciśniętych na rękojeści pistoletu.

O Boże! - szepnął Jamie.

Tak - powiedział również szeptem Brett. - Byliśmy... blisko.

Na razie jesteśmy bezpieczni - stwierdziła Isabel. - Ale czy rano nie zaczną nas szukać na nowo?

14 maja 1804 roku, wczesny ranek
las Bowland, West Riding, Yorkshire

Powoli spływał świt, poprzedzony krzykiem niezliczonej liczby zamieszkujących las ptaków. Ku zadowoleniu Isabel, Jamiego i Bretta, nie przebijały przez koncert tego upierzonego chóru żadne dźwięki, które mogłaby wydać istota ludzka. Ich prześladowcy na razie się wynieśli. Pomyśleli więc, że postąpią słusznie, jeśli zrobią to samo.

Pomimo napięcia ostatnich dwudziestu czterech godzin, odpoczynek zrobił Jamieu niezwykle dobrze. Nie tylko nie opóźniał on teraz tempa marszu, ale nawet bez większego wysiłku dotrzymywał towarzyszom kroku. Isabel dbała o to, by co godzinę odpoczywali przez parę minut, ale poza tym Jamie nie potrzebował żadnych względów. Szli przez las Bowland, natężając wszystkie zmysły, by zawczasu wykryć, czy ktoś ich nie śledzi, nie podgląda. Nic nie było jednak słyhać w ciszy poranka, ani niczego podejrzanego nie dostrzegali. Posuwali się gęsiego: Brett na czele, Jamie w środku, Isabel zaś zamykała pochód. Milczeli. Starali się poruszać tak, by nie wydawać żadnych niepotrzebnych dźwięków.

W południe zatrzymali się nad niewielkim strumieniem, napili i zjedli resztki swoich żywieniowych racji. Las, nie pobłogosławiony jeszcze ciepłem letniego słońca, nie mógł zaoferować im żadnego pożywienia, żadnych jagód, orzechów czy owoców. Co do zwierząt, to było, rzecz jasna, mnóstwo ptaków i dziczyzny, ale niebezpieczeństwo rozpalania ognia było oczywiste dla wszystkich. Żadnego dymu, żadnego ostrzegawczego światła, które mogłyby naprowadzić prześladowców na ich ślad.

Tak jak Brett oczekiwał, ani Isabel, ani Jamie nie poskarżyli się choćby słowem. Wszelkie trudy i niedogodności przyjmowali z niezachwianym spokojem. Pomimo to Brett był zmartwiony. Jamie odzyskał już wprawdzie siły, choć jednak młody i z natury cieszący się dobrą kondycją, potrzebował wypoczynku i starannego odżywiania, by w pełni wrócić do zdrowia. A Isabel tak mało spała i jadła w ciągu ostatniej doby... Jak zdołają przejść siedemdziesiąt kilometrów, które dzielą ich od Ravenscourt?

Minęły może dwie godziny od ich skromnego lunchu. Szli właśnie przez świerkowy starodrzew, gdy wtem dał się słyszeć daleki odgłos końskiego rżenia. Brett zamarł. Jego oczy napotkały oczy Isabel. Zobaczył w nich lęk.

Nigdzie nie było żadnej skały, czy choćby kępy krzaków, za którą mogliby się schować. Tam! W górze! - dobiegł tryumfujący okrzyk. - Widzę kogoś, to chyba mały!

Shipley?

Tak! Za nim, chłopaki!

Jedenastu ludzi na koniach runęło przez las w ich kierunku. Dzielilo ich najwyżej dwieście metrów.

- Biegiem! - krzyknął Brett.

Jak jeden mąż zawrócili i pognali z powrotem w głąb lasu. Gonił ich trzask łamanych gałęzi i wrzaski ścigających. Niemal deptali im po piętach.

Jak oni nas znaleźli? - wydyszał Jamie.

Nie wiem - rzuciła Isabel. - Albo nas śledzili, albo nie mamy szczęścia. Nie wiem.

Naprzód, Jamie, naprzód!

Biegli, z trudem łapiąc oddech, z mięśniami palącymi jak ogniem od tego beznadziejnego wysiłku. Pokonali sto metrów. Dwieście. Jeźdźcy, choć grube pnie drzew opóźniały ich tempo, byli coraz bliżej.

Po nas, Jamie - wytchnęła Isabel.

Wiem - odparł chłopak. - Ale zamierzam zabrać paru ze sobą.

- Ja też - dodał Brett. Odwrócił się, uniósł broń i wypalił.

Bolesny skowyt rozdarł powietrze. Nagła cisza, która po nim nastąpiła, trwała moment.

Wystrzelił Jamie. Dał się słyszeć potok przekleństw.

- Dostałem! - rozróżnili wreszcie słowa. - O Boże, ile krwi!

Naprzód - ponaglił Brett. - Ładujemy! Biegnać w dół stoku, załadowali broń.

Ilu zostało, Brett? - wydyszała Isabel.

Od dziesięciu do ośmiu. Mimo wszystko zbyt wielu.

Brett, na lewo! - krzyknęła. - Jar!

Widzę!

Pięćdziesiąt metrów dalej znajdowała się ich jedyna szansa na przeżycie. Wydawało się, że to pięćdziesiąt kilometrów. Tętent końskich kopyt grzmiał im w uszach.

- Ty załatwiasz dziewczynę! Ja posyłam do diabła chłopaka! - krzyknął jeden ze ścigających.

Dwa strzały rozległy się echem wśród lasu. Isabel, Brett i Jamie biegli nadal. Tętent kopyt i wrzaski ludzi były coraz bliżej.

Jak jedno rzucili się do parowu, wyczołgali poprzez wrzosa i korzenie na jego krawędź i dali ognia.

Dwóch ścigających spadło z koni. Trzeci, ściskając ramię, z trudem utrzymywał się w siodle, gdyż wystraszony koń miotał się pomiędzy drzewami. Dwaj, którzy spadli, pełzli ku najbliższym drzewom, by skryć się i stamtąd strzelać.

Kule wzbijały fontanny ziemi na krawędzi wąwozu.

Pospiesznie ładując broń, Brett rzucił okiem w górę. Isabel czołgała się zboczem parowu w akcji oskrzydlającej. Gdyby zawołał ją teraz i kazał wracać, oznaczałoby to zdemaskowanie ich pozycji i pewną śmierć.

Isabel posuwała się naprzód. Wrzaski prześladowców, ogłuszający huk wystrzałów i kwik wystraszonych koni tłumiły odgłos czołgania. Wreszcie, gdy koń był niemal nad nią, nagle wstała. Zaskoczone zwierzę wydało krótkie rzenie i stanęło dęba, zrzucając jeźdźca. Wycelowała, wypaliła i w tym samym niemal momencie, nie zważając na wierzgające końskie kopyta, złapała wodze. Zdrętwiały ze zgrozy Brett strzelił do najbliższego napastnika w nadziei, że odwróci uwagę od Isabel. Ta jednym rzutem ciała wskoczyła na siodło. Koń zatańczył pod nią.

Zostało jeszcze pięciu napastników. Dwóch znajdowało się całkiem blisko niej.

Manewrując koniem, tak że częściowo kryły ją drzewa, krzyknęła grubym, ochryplym głosem:

- Tam są, chłopaki! Na wschód! - i wskazała ręką w stronę przeciwną niż ta, gdzie znajdowali się Jamie i Brett. - Uciekają w kierunku drogi! Za nimi!

Dwóch ludzi pomknęło naprzód.

- Isabel! - wrzasnął rozpaczliwie Brett.

Obróciła konia i wypaliła z drugiego pistoletu. Napastnik, którego wcześniej zranili, spadł niemal pod kopyta jej konia. Nie miała czasu, by nabić broń ponownie. Wyciągnęła szablę, spięła konia do galopu i rzuciła się między prześladowców, siekąc, kogo tylko mogła dosięgnąć.

- Isabel, nie! - krzyknął Brett.

Usłyszał odgłos wystrzału. Koń Isabel zakwiczał i upadł. Ledwo zdążyła uwolnić nogi ze strzemion. Z jękiem zmusiła się, by uklęknąć, i w tym samym momencie Brett wyskoczył z wozu i rzucił się ku niej.

Nie czuł, że biegnie. Istniała tylko klęcząca Isabel i typ ze szramą na twarzy, którego widzieli w nocy, stojący nad nią w pozie triumfu.

- Mam go! - krzyknął typ i spuścił kolbę karabinu na głowę Isabel.

Osunęła się bez życia na ziemię.

Brett nie miał czasu załadować ponownie pistoletu. Dopadłszy zbira o sekundę za późno, z furią rzucił się na niego, zwalając z nóg. Wyszarpnął pistolet z wiotkich palców przeciwnika, fiknąwszy koziółka wstał na nogi i z bliska wypalił. Nie było czasu, by odczuć przyjemność zemsty ani nawet sprawdzić, czy Isabel żyje. Dwóch pozostałych napastników nacierało na niego.

Chwycił z ziemi szablę Isabel i rzucił się ku nim, wrzeszcząc niczym celtycki wojownik-barbarzyńca. Konie, już i tak spłoszone walką, zaczęły kwiczeć i rzeć, wystraszone nieludzkim wrzaskiem i błyskami klingi. Jeden z jeźdźców spadł, drugi upuścił broń, przypadł do końskiej grzywy i puścił się panicznym galopem, lawirując między pniami drzew.

Ten, który spadł, podobnie jak Isabel, zdołał zaledwie podnieść się na kolana, gdy Brett wymierzył mu w głowę morderczy cios rękojeścią szabli. Bandyta osunął się bez zmysłów na ziemię.

Rozległ się kolejny wystrzał i ostry krzyk. Brett błyskawicznie poderwał z ziemi upuszczony przez jednego z napastników pistolet i rozejrzał się dookoła.

Jamie! - wrzasnął.

Żyję, Brett! Za tobą!

Brett odwrócił się i wypalił, tnąc równocześnie na oślep trzymaną w drugiej ręce szablą. Odpowiedzią był ostry krzyk. Człowiek, który chwilę wcześniej mierzył z pistoletu w jego plecy, ze skomleniem upadł na ziemię.

Brett okręcił się w oczekiwaniu kolejnego ataku, ale zaskoczony stwierdził, że stoi już tylko jeden człowiek i jest nim Jamie.

Nic ci się nie stało, chłopcze?

Skąd - wydyszał Jamie, podchodząc do niego niezdarnie. - A Isabel?

Nie wiem.

Isabel leżała bez ruchu obok napastnika, którego zabił Brett. Księżę dopadł jej pierwszy i porwał w ramiona.

Isabel! - jęknął, potrząsając nią i drżącymi palcami usiłując wymacać puls u nasady szyi.

Żyje! - wyrzucił z siebie. Jamie przyklęknął obok.

Jak ciężko ranna?

Nie wiem - Brett wpatrywał się, przerażony, w zakrwawioną dłoń obejmującą jej głowę. - I

nie mamy czasu, żeby to ustalić. Tych dwóch, którzy zostali wysłani na drogę, mogą zdać sobie sprawę z oszustwa i wrócić. Musimy uciekać, i to już. Pozbieraj tyle broni, ile zdołasz unieść, i za mną.

Ostrożnie wziął Isabel w ramiona i wstał.

Dokąd idziemy? - spytał Jamie, wciąż z trudem łapiąc powietrze. Twarz miał bladą, pokrytą kropelkami potu.

Znam tę okolicę. Jest tu domek myśliwski, jakieś dziesięć kilometrów stąd na zachód.

A nie będą nas tam szukać?

Nie, w każdym razie do jutra rana - odparł chmurnie Brett. - Squire Beechem woli polować na północy. Domek jest opuszczony co najmniej od dziesięciu lat i mało kto o nim pamięta. Dasz radę złapać któregoś konia?

Nie jestem taki zręczny jak Isabel, ale potrafię. Niech pan idzie. Ja połapię konie i niedługo do was dołączę.

Dopiero po dwudziestu minutach przymilnego nawoływania udało się Jamiemu schwytać dwa wystraszone wierzchowce. Wskoczył na jednego z nich i dzierżąc w dłoni wodze drugiego, ruszył w ślad za Brettem.

Brett, usłyszawszy galop, odwrócił się i uniósł pistolet, podtrzymując Isabel tylko jedną ręką. Byłby strzelił, gdyby Jamie nie zawołał go po imieniu.

Niech pan da mi Isabel. Powiozę ją- powiedział, zbliżając się.

Nie, twoje ramię jest jeszcze za słabe. Ja ją powiozę.

Z niewielką pomocą Jamiego Brett, z Isabel na ręce, wdrapał się na siodło drugiego z koni. Ruszyli galopem.

14

15 maja 1804 roku, południe

las Bowland, niedaleko Holden, Lancashire

Ból, co za ból... Isabel z jękiem usiłowała otworzyć oczy. Nie udało się.

- Ćśśś... Spokojnie, wszystko będzie dobrze - usłyszała łagodny głos. Jakieś ręce położyły jej chłodny okład na pulsujące czoło.

Zaufała temu głosowi i pogrążyła się na powrót w przyjazne, pozbawione wszelkiego czucia czarne głębin. Już po chwili jednak okazało się, że nie chcą jej już przyjąć.

Uparcie wypychały ją na powierzchnię, w królestwo pulsującego, szarpiącego, palącego bólu i gorąca. Zakłęta.

Usłyszała niski, przyciszony śmiech. Ból nieco zmałał. Na moment zdołała unieść powieki, ale, niewiarygodnie ciężkie, opadły niemal natychmiast.

- Brett? - chciała powiedzieć, ale to, co wydobyło się z jej ust, nie było nawet szeptem.

Poczuła, że ktoś odrobinę unosi jej ciało. Głowa spoczęła na czymś szerokim i przynoszącym niewymowną ulgę. Ciepłe wargi dotknęły jej czoła. Westchnęła. Poczuła na ustach brzeg naczynia i z bardzo daleka przypląnął głos:

- Pij.

Z wysiłkiem uchyliła usta. Coś chłodnego, słodkiego i smacznego spłynęło jej po języku do gardła.

Och, jakie to dobre! - udało się jej wyszeptać tym razem.

Komplementów nigdy za wiele - powiedział łagodny głos, a ręce ostrożnie ułożyły ją z powrotem na posłaniu.

Zirytowana, że mogłaby nie być w stanie pozostać w tym przynoszącym ulgę miejscu, uniosła powieki. Tym razem udało się jej utrzymać oczy otwarte, choć ostrość widzenia pozostawiała wiele do życzenia.

Brett?!

Jestem tutaj.

Z mgły wyłoniły się jego rysy. Wyglądał na wyczerpanego, tak jakby nie spał od wielu dni.

Błękitne oczy były podkrążone, twarz blada i napięta.

Co... się stało?

Wypiła pani trochę wina.

Nie o to jej chodziło! Cisnęła w niego przekleństwem z całym jadem, na jaki mogła się zdobyć przy pulsującej wściekle głowie.

Doskonale - zachichotał Brett, zachwycony, i nachylił się nad nią z uśmiechem. - Była pani na tyle nieostrożna, że dała sobie rozwalić czaszkę.

Och - zmarszczyła brwi, usiłując sobie przypomnieć. Nagle otworzyła szeroko oczy. - Tamci ludzie...

Wszystko w porządku - powiedział uspokajająco Brett, zdejmując jej z czoła okład. - Pojechali. Niebezpieczeństwo minęło.

Nawet jeśli wszystko mnie boli - odcięła się - to nie jestem niemowlęciem! - Nagle serce jej stanęło. - Gdzie jest Jamie?!

Wszystko w porządku, Isabel Niech mi pani zaufa - Brett położył jej nowy chłodny okład na czoło. - Poszedł na ryby.

Na ryby?! - zerwała się i usiadła. To był błąd. Pokój zatańczył wokół niej jak pijany. Zdawało się, że jakiś niewidzialny kowal rozbija jej mózg na papkę. Z jękiem opadła na posłanie.

To jego kolej - wyjaśnił rozsądnie Brett.

Gdyby nie to, że ledwo żyję, udusiłabym pana - wyjęczała Isabel. Chwilę milczała. - Jego kolej? Co pan ma na myśli? Gdzie my jesteśmy? Która godzina?

Jesteśmy w dawnym domku myśliwskim Squire'a Beechema. Minęło południe, ale nie tego dnia, o którym pani myśli. Walkę stoczyliśmy wczoraj.

Co? - wybuchnęła Isabel, omal znowu nie wstając. Na szczęście opamiętała się w porę i utkwiała w Brece błagalny wzrok. - Żartuje pan, prawda, Brett? Straciliśmy cały dzień?

Cały nieważny, bez znaczenia dzień - potwierdził Brett, uśmiechając się czule.

Ładny ze mnie opiekun - zaśmiała się gorzko Isabel.

Dosyć, dosyć, nie pozwolę, żeby pani obrażała siebie samą. Spisała się pani wczoraj w walce znakomicie, z wyjątkiem tego, że pozwoliła pani sobie rozbić głowę.

Dzięki - powiedziała słabo.

Niski, gardłowy śmiech Brett'a ogrzewał jej serce.

- Proszę, niech pani łyknie jeszcze wina. Zdaje się, że ma na panią niezwykle dobroczynny wpływ.

Wsunął rękę pod jej plecy i pomógł wstać.

Sama mogę się podnieść i pić! - warknęła, pomimo nowego ataku pulsującego bólu w czaszce.

Ależ z pani uparta kobieta - westchnął Brett, nie wypuszczając jej z objęć. - Czy nie może pani po prostu się rozluźnić i pozwolić, by raz dla odmiany ktoś się panią zaopiekował?

Podniosła na niego wzrok i poczuła, że traci nad sobą panowanie.

Przywykłam... wszystko robić sama - zająknęła się.

Rozumiem. Ale być od czasu do czasu obiektem czyjejś troski jest równie przyjemnie - powiedział miękko. - Proszę pić, Isabel.

Z walącym w piersi sercem pociągnęła łyk wina z filiżanki, którą przybliżył jej do ust.

Brett ułożył ją z powrotem na poduszce, odstawił wino na bok i zaczął gładzić jej czoło palcami. Nie miała siły, by odtrącić tę pieszczotę, budzącą rozkoszny dreszcz w całym ciele, aż do czubków palców.

Jak głowa?

Lepiej, dziękuję - mruknęła Isabel, nie otwierając oczu. Jego dotyk. .. Teraz zaczął obiema dłońmi delikatnie masować jej skronie. Przez moment wyobraziła sobie, że trzyma ją w ramionach, bezpieczną w tym silnym, ciepłym uścisku.

To cud, że nie jest pani ciężiej ranna - powiedział.

Zawsze miałam twardą głowę.

Zachichotał. Jego śmiech obudził nowy miły dreszcz w ciele Isabel.

To prawda, tyle że dotąd uważałem to za przekleństwo.

Po prostu nie lubi pan mieć do czynienia z kimś równym sobie.

Już nie, Isabel, zapewniam panią. Tylko niech pani nie wystawia się więcej na takie niebezpieczeństwo, dobrze?

Otworzyła oczy.

Martwił się pan o mnie?

Martwił?! Wczoraj zrobiła pani co mogła, żeby pożegnać się z życiem, a ja nie mogłem zrobić nic, żeby panią powstrzymać!

Sądziłam, że próbuję uratować życie Jamiego.

Są na to inne sposoby. Niech się pani nie waży, Isabel, zrobić mi czegoś takiego jeszcze raz.

Dobrze, Brett.

Uśmiechnął się. Rozkoszne ciepło przeniknęło jej ciało.

Gdybym wiedział, że cios w głowę zamienia panią w baranka, dawno postarałbym się o maczugę.

Książę Northbridge jest zbyt dobrze wychowany, by uciekać się do takich sposobów.

A Brett Avery?

- O, ten jest zdolny do wszystkiego!

Brett zaśmiał się i pocałował ją w czoło ciepłymi wargami. Z wrażenia aż skurczyła palce nóg pod okrywającym ją kocem.

W tym momencie drzwi otworzyły się z hałasem. Kowadełka w głowie Isabel zatłukły z nową siłą.

Sukces! Będziemy mieli królewski lunch! - rozległ się rzeński młodzieńczy głos.

Czy nikt nie nauczył cię dotąd, że do pokoju wchodzi się po cichu? - zbeształ Jamiego Brett. - Poszarpałeś na strzępy resztkę nerwów Isabel!

Co? Obudziła się? - wrzasnął chłopak i już klęczał obok jej pośłania. - Isabel! Isabel, jak się czujesz?

Powoli odwróciła głowę i spojrzała na chłopca, którego życie przysięgła ochraniać.

- Jak tylko stanę na nogi, własnoręcznie cię uduszę.

- Hura! - zawołał tryumfalnie Jamie. - Och, Isabel, tak się martwiłem!

Isabel skuliła się i zamknęła oczy. Ten krzyk rozsadzał jej czaszkę.

Skoro tak się o mnie martwiłeś, to czemu teraz ryczysz jak bizon? - Nagle otworzyła oczy. - A co ty tu jeszcze robisz? Thornwynd! Musisz dotrzeć do Thornwynd! Zostało tylko..., O Boże, nie mogę myśleć! Ile nam zostało dni?

Dwa, Isabel - uspokoił ją Brett. - Mamy przed sobą dwa dni, niespełna pięćdziesiąt kilometrów i konie, które nas poniosą. Proszę się nie martwić. Musi pani wypocząć i wrócić do zdrowia, zanim będziemy mogli ruszyć w drogę.

O Boże, dlaczego otaczają mnie sami idioci? - jęknęła Isabel i utkwiała w księciu wściekle spojrzenie. - Wyświadczy mi pan tę łaskę, Brett, wsadzi Jamiego na konia, sam wsiądzie na drugiego i zawiezie do Thornwynd już, teraz, natychmiast. Mam się zupełnie dobrze, sam pan powiedział. Świetnie dam tu sobie radę sama.

Dobrze! - zawołał kpiąco Jamie. - Ma na głowie śliwkę wielkości melona i ma się dobrze! Jamie - powiedziała Isabel - jeśli masz dla mnie choć odrobinę względów, pojedziesz do Thornwynd natychmiast. Brett cię zawiezie.

Brett zawiezie was oboje, jutro albo pojutrze - zareplikował książę. - Nie zostawimy pani samej, Isabel. Mamy czas, mamy konie, a od Thornwynd dzieli nas najwyżej dzień drogi. Proponuję, by pani teraz odpoczęła, a my z Jamieem przygotujemy coś do zjedzenia.

Pomimo irytacji i niepokoju o Jamiego, pulsujący ból głowy przekonał ostatecznie Isabel, że odpoczynek to dobry pomysł. Z wdzięcznością zamknęła oczy i zapadła w sen.

Kiedy się znów przebudziła, kowal w jej głowie uderzał już w kowadełko znacznie ciszej; przypominało to raczej lekki, niemal melodyjny werbel. Stwierdziła, że może bez trudu otworzyć oczy i utrzymać je w tym stanie. Mimo to zamrugła, gdy zobaczyła sielską scenę rozgrywającą się przed jej oczyma.

Brett stał przy ogniu, mieszając łyżką w osmolonym kociołku. Jamie siedział przy nieco chwiejnym stole i naprawiał coś, co wyglądało na prowizoryczną sieć. Pośrodku stołu w drewnianym kubku stał bukiet wiosennych kwiatów. Zwróciwszy lekko głowę w bok dostrzegła, że jej postanie stanowiła stara sofa o brylowatym kształcie. Pomieszczenie, które było obecnie ich domem, oświetlała pojedyncza świeca stojąca obok Jamiego i ogień w kominku. Dwa okna szczelnie okrywały ciężkie zasłony. Przypomniała sobie, że Brett wspominał coś o domku myśliwskim i o kimś, kto nazywał się Squire Beechem, ale kto to jest Squire Beechem i dlaczego przyjechali do tego domku, nie wiedziała. I nie chciała na razie wiedzieć. Po co? Wołała napawać się tym obrazem domowego życia, który miała przed oczami.

Brett odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej. Pod wpływem ciepła tego uśmiechu kowal w jej głowie zgodził się ściszyć werbel do cichutkiego pomruku.

- Obudziła się pani. To dobrze.

Jamie spojrzał na nią i również się uśmiechnął.

Wyglądasz znacznie lepiej.

O Boże - westchnęła - skoro czuję się tak, jak się czuję, a wyglądam znacznie lepiej, to wyobrażam sobie, jak musiałam wyglądać wczoraj.

Jak upiór - podsunął Jamie.

Jak widmo - poprawił go Brett.

No, pięknie - mruknęła Isabel.

Brett zaczerpnął nieco zawartości garnka, nalał na drewnianą miskę i zaniósł jej do łóżka.

A teraz pozwoli pani, że pomogę pani usiąść.

Sama doskonale... - zaczęła.

Nie - uciał Brett - sama pani nie zdoła.

Nieco zasmucona stwierdziła, że istotnie sama nie jest w stanie się podnieść. Brett delikatnie uniósł ją do pozycji siedzącej, podparł poduszką, podał miskę i łyżkę.

- Proszę jeść. Potrzebuje pani tego.

Zajrzała ostrożnie do miski, powąchała... Pachniało podejrzenie znajomo.

- Co to jest?

Potrąka z królika - wyjaśnił Brett. Utkwiła w nim wzrok.

Z królika?

- W ramach nieustającej pogoni za odgrywaniem nowych ról zabawiliśmy się z Jamiem w kłusowników. Proszę jeść.

Isabel zamrugła. Poprawny, traktujący z boską czcią wszelkie konwenanse księżę Nortbridge został kłusownikiem! Wpatrywała się w niego, oniemiała ze zdumienia.

- Chyba nie ma pani zamiaru wzgardzić moim kulinarnym wysiłkiem? - zauważył.

Isabel wróciła do rzeczywistości. Zaczerpnęła drewnianą łyżką króliczej potrawy, podniosła ją do ust i spróbowała. Nigdy nie przepadała za królikami, ale niezwykle wysiłek wymagał stosownej rekompensaty.

- Hm, niezłe - na tyle była w stanie się zdobyć.

Dzięki - Brett zgiął się w ukłonie. - Kucharz lubi, gdy go chwala. Znowu wpatrzyła się w niego ze zdumieniem.

Pan się cieszy!

- No pewnie, że się cieszę. Nigdy przedtem nie miałem okazji gotować - powiedział po prostu.

Bardzo dobrze wychodzą mu ryby - zaopiniował Jamie. - A ja znalazłem wino.

Czyżby? - spytała Isabel z roztargnieniem. - Cóż za przedsiębiorczość.

Jamie zaczerwienił się, Brett zaś roześmiał.

Była tu piwniczka pod korzeniem - wyjaśnił Jamie. - To, co w niej zostało, nie było zbyt ciekawe, ale w końcu znaleźliśmy parę butelek całkiem przyzwoitego wina. Trafiło się w samą porę.

Pięknie - orzekła Isabel. - Nie dość, że bizon, to w dodatku pijany. Czy naprawdę nic nam nie grozi, Brett? - spytała błagalnie.

W tej chwili nie. Jamie i ja na zmianę trzymamy wartę. W okolicy nie ma żywej duszy.

Czy to wieczór tego dnia, kiedy obudziłam się po raz pierwszy?

Tak.

I nadał mamy jeszcze dwa dni?

Tak! - włączył się Jamie. - Nie martw się, Isabel. Wszystko jest w największym porządku.

Isabel zmarszczyła brwi.

Chłopak, który dwa dni temu dostał kulkę w ramię i którego dwa dni dzieli od utraty dziedzictwa, uważa, że wszystko jest w porządku!

Proszę jeść - przywołał ją do porządku Brett.

Posłuchała go apatycznie. Okazało się jednak, że apetyt ma na tyle dobry, iż bez wstrętu pochłonęła zawartość miski i wypłała pół kubka wina. Kiedy Jamie i Brett również skończyli jeść, oznajmiła:

Jutro rano wyjeżdżamy.

Isabel.. - zaczął Brett ze znużeniem.

Powiedział pan, że dzieli nas od Ravenscourt dzień drogi - przerwała. - Kto wie, co może się zdarzyć w ciągu tego dnia? Proszę popatrzeć, co zdarzyło się dotychczas!

Nie podoba mi się to - powiedział Brett.

Mnie też nie - powiedział Jamie.

Współczuję wam - zadrwiła Isabel. - Jutro rano wyjeżdżamy.

Mężczyźni próbowali ją przekonać, ale na próżno. Isabel miała w sobie upór, którego, gdy wymagały tego okoliczności, nic nie było w stanie przełamać. Pocięszali się, że rano, kiedy spróbuje wstać i przekona się, jakie to nudne, ustąpi.

Brett stwierdził, że teraz jego wachta. Sprawdzał broń i wyszedł na zewnątrz.

Isabel chyba przez minutę wpatrywała się w drzwi.

- Tak się cieszę, że czujesz się lepiej, Isabel - powiedział miękko Jamie.

Oderwała wzrok od drzwi i spojrzała czule na chłopca.

- Jak to, czyżbyś martwił się o mnie, dzieciaku?

- Jak diabli. Byłem przerażony. Nie chcę cię stracić, Isabel, pamiętaj.

Zawahała się chwilę, nim powiedziała:

- Obiecałam, że dostarczę cię do Thornwynd, i zamierzam to zrobić.

Przez moment wpatrywał się w nią, spytał jednak tylko czy nie chciałaby jeszcze trochę wina lub wody, po czym zachęcił ją, by zasnęła.

Isabel, zmęczona rozmową, rozgrzana posiłkiem i winem, usnęła głęboko. Jamie czuwał obok niej.

Kiedy nazajutrz rano Brett się obudził, okazało się, że Isabel już wstała. Zdążyła odświeżyć swoją garderobę, wyszczotkować włosy i związać je porządnie z tyłu głowy.

Sądząc po naczyniach na stole, zdążyła również zjeść śniadanie.

- Zawzięta z pani kobieta - zauważył, podnosząc się z siennika.

Jamie, jak stwierdził z zadowoleniem, wciąż trzymał wartę na zewnątrz.

Odwróciła się ku niemu z promiennym uśmiechem.

- Owszem, sir. Jamie już jadł. Kiedy pan też będzie po śniadaniu, możemy ruszać.

Wyglądało na to, że trzyma się na nogach całkiem pewnie, była jednak blada. I jakaś... Jak głowa? - spytał.

O połowę mniejsza niż wczoraj.

To znaczny postęp - zgodził się z uśmiechem. - Czy jednak nie sądzi pani...

Nie, nie sądzę- powiedziała zdecydowanie.

Książę przyglądał jej się przez moment. Czy ta kobieta kiedykolwiek zgodzi się na coś, co on proponuje?

W pół godziny później siedzieli na koniach. Ponieważ mieli tylko dwa, Brett uparł się, by Isabel jechała z nim, i nie zważając na jej protesty chwycił ją i posadził w siodle. Sam usiadł za nią i objął ramionami w talii, by, jak niedbale wyjaśnił, mieć pewność, że nie spadnie z konia w kwadrans po wyruszeniu. Isabel wydała coś, co podejrzenie przypominało warknięcie, ale nie protestowała.

Jechali niezbyt szybko, tak by konie były w miarę wypoczęte, gdyby wynikło jakieś niebezpieczeństwo. Brett upierał się, by co godzinę zatrzymywać się na dziesięciminutowy odpoczynek. Isabel byłaby się sprzeciwiała podobnej zwłoce, gdyby nie to, że szybko odkryła, iż naprawdę potrzebuje wytchnienia. Siedziała więc w milczeniu, wyprostowana, z pulsującą bólem głową w pełni świadoma obejmujących ją ramion Brett'a, pożerana zdradzieckim pragnieniem, by wesprzeć się na jego piersi i pozwolić się piastować. Jazda stawała się dla niej coraz bardziej męcząca.

Jechali tak cały ranek i przedpołudnie, unikając dróg i jakichkolwiek śladów cywilizacji. Zrobili godzinną przerwę na lunch, po czym znowu wsiedli na konie i ruszyli na zachód. Głowa ciążyła Isabel niczym kula armatnia. Świat zalany był słonecznym blaskiem, ona jednak z każdym oddechem marzyła tylko o tym, by położyć się w miękkiej pościeli i zasnąć.

Ku jej wielkiej uldze, tuż po czwartej wjechali w chłodny cień gęstego starodrzewu.

Gdzie jesteśmy? - spytała. - Czy daleko do Ravenscourt?

To już teren Ravenscourt - odparł Brett zniżonym głosem, przybliżając usta do jej ucha.

Jakie to było dziwnie... intymne. - Ale od domu dzieli nas jeszcze siedem kilometrów.

Minęło dwadzieścia minut, potem trzydzieści. Isabel czuła dreszcz podniecenia. Byli tak blisko! Tak blisko bezpieczeństwa, dziedzictwa Jamiego i... i jej nocnego koszmaru, Jonasza Babcocka. I tak blisko końca wszystkiego, co łączyło ją z Jamiem i Brettem. Ekscytacja zamieniała się powoli w czarną rozpacz.

- Stać! - rozległ się nagle głos. - Jeden ruch i po was!

15

16 maja 1804 roku, późne popołudnie

Ravenscourt, Lancashire

Isabel szarpnęła cugle. Koń zatrzymał się, wściekle rzucając głową, oburzony na tę brutalność. Trzymała rękę na pistolecie, ale dłoń Brett, ciepła i pewna, zacisnęła się wokół jej nadgarstka.

Nie tak szybko. Poznaje ten głos. To ty, Mason? - zawołał.

Tak, sir! - dobiegł uszczęśliwiony głos. - Strasznie się cieszę, że widzę pana całym i zdrowym!

Wysoki mężczyzna o piersi jak beczułka wyszedł spomiędzy drzew. Broń beztrząsco wisała mu w ręce.

Czekamy na pana od dwóch dni, sir, a nawet dłużej!

Mieliśmy nieprzewidzianą zwłokę - wyjaśnił Brett.

Teraz pokazali się pozostali ludzie. Isabel naliczyła sześciu. Wszyscy byli uzbrojeni.

Co to znaczy? - spytał Brett.

Ach, to Dawkins, sir. Upierał się, że musimy otoczyć dom, i tak też zrobiliśmy. Przez trzy dni złapaliśmy pół tuzina ludzi. Mówili, że są zwykłymi wędrowcami, a jeden twierdził nawet, że jest kłusownikiem. Myślałby kto, że to prawda... Wszystkich zamknęliśmy w Scorton.

Dobra robota, Mason! - pochwalił go Brett.

Nie, milordzie, to Dawkinsowi powinien pan podziękować. Stary nie gada wiele, ale ma łeb. Na pewno dobrze się spisał wobec pańskich... towarzyszy.

Tak jak powinien. No, to naprzód! Czyste ubrania i porządny posiłek! - zadysponował Brett.

Isabel osłabła z ulgi. Są bezpieczni! Są w Ravenscourt! Najchętniej wsparłaby się o coś bezwładnie, ale mogła się wesprzeć tylko o pierś Brett. Co to, to nie... Szarpnęła cugle i ruszyli. Ludzie księcia otaczali ich ochronnym kordonem.

- Na wszelki wypadek, milordzie - wyjaśnił Mason.

Isabel od razu go polubiła.

Z cienistego parku wyjechali na żwirowy podjazd, który, okrążając gazon, prowadził do wielkiej gotyckiej rezydencji. Białe kamienne ściany odbijały słoneczny blask; iglice wież zdawały się sięgać nieba. Isabel policzyła piętra: było ich cztery, nie licząc pokoi mansardowych i być może jakichś pomieszczeń piwnicznych.

Dobry Boże, przecież ten dom jest wielki jak Blenheim! - wykrzyknęła.

Nie, nie - zapewnił ją Brett. - O połowę mniejszy. Ma tylko trzy tysiące pokoi.

Isabel odwróciła się w siodle i spojrzała na niego z przerażeniem.

- Nic dziwnego, że taki z pana despota - oznajmiła bez namysłu. - Dziwię się, że wytrzymałam i nie dałam panu po głowie.

Był tak blisko, że bardziej poczuła, niż usłyszała, iż zaniósł się niskim, gardłowym chichotem.

Coraz więcej ludzi księcia wychodziło spomiędzy drzew, by go pozdrowić i powitać w domu. Coraz więcej ludzi otaczało trójkę wędrowców, gdy posuwali się podjazdem ku masywnym drzwiom wejściowym.

Isabel, choć niechętnie, przyznała się sama przed sobą, że jest wstrząśnięta. Odkrycie, iż Brett jest aż tak bogaty, że jest właścicielem tak rozległego obszaru i tak kolosalnego domu, to było za wiele na jej skolatane nerwy. Milczała. W milczeniu przyjęła pomoc Brett, gdy schodziła z konia, kiedy jednak stanęła na ziemi, odtrąciła jego ramię i zamiast tego przytrzymała się siodła. Wspaniale przyodziały majordomus i lokaj w liberii schodzili z frontowych schodów.

- Witamy w domu, milordzie - zaintonował uroczyście majordomus.

W domu? Isabel zadarła głowę, próbując ogarnąć wzrokiem gmaszysko. To ma być dom?

- Dziękuję ci, Gregory. Dobrze jest wrócić na własne śmieci - odparł Brett. - Potrzebne są pokoje dla moich przyjaciół, kąpiel dla nas wszystkich, czysta odzież, porządny posiłek i wino. Znajdzie się w domu coś takiego?

- Tak jest, milordzie - odpowiedział służbiście główny kamerdyner.

Weszli do hallu. Był dobre pięć razy większy niż domek myśliwski Squire'a Beechema. Podłoga wyłożona była biało-czarnymi marmurowymi płytkami; z sufitu zwisał ogromny kandelabr. Na prawo prowadziły na górę ogromne kamienne schody.

Czy przyjechała pani Fanny, Gregory? - spytał książe.

Tak, sir. Jest w Pawim Pokoju.

- Nonsens - rozległ się damski głos. - Miałabym siedzieć w tym wielkim, pełnym przeciągów pomieszczeniu, kiedy mogę być świadkiem najdziwniejszej procesji, jaką kiedykolwiek miałam zaszczyt oglądać?

Wszyscy zwrócili głowy w kierunku głosu i ujrzeli niedużą, pulchną kobietkę w empirowej sukni z brązowo-złotego muślinu, wyłaniającą się z salonu na prawo. Blond włosy i długi prosty nos nieodwołalnie łączyły ją z księciem. Była brzemienna, co najmniej w szóstym miesiącu.

- Fanny! - wykrzyknął Brett drżącym ze wzruszenia głosem. Podszedł szybkim krokiem i ujął w dłonie jej ręce. - Moja kochana siostrzyczka - ucałował ją w oba policzki. - Jak to dobrze, że przyjechałaś, choć termin tak blisko.

Lady Fanny Clotfelter wpatrywała się w brata z nie ukrywanym zdumieniem. Na jej twarzy pojawił się komiczny wyraz.

Brett, czy ty... - zająknęła się - na pewno dobrze się czujesz?

Mam za sobą ważne dwa tygodnie. Później opowiem ci wszystkie moje przygody - ujął ją pod ramię. - Chodź, musisz poznać moich przyjaciół. To jest - podprowadził ją bliżej - panna Isabel...

Seton - poddała pospiesznie Isabel.

Doprawdy? - mruknął Brett, unosząc brew.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie i zwróciła się z powrotem do Fanny.

Witam panią, lady Clotfelter.

Miło mi panią poznać, panno... Seton - Fanny najwyraźniej odebrało mowę na widok stroju Isabel, ale robiła co mogła, by tego po sobie nie pokazać. Ujęła dłoń Isabel. - Czy nie sądzi pani, że już się wcześniej spotkałyśmy? Pani twarz wydaje mi się znajoma.

Nie sądzę, lady Clotfelter - powiedziała ostrożnie Isabel. - Większość mojego życia

spędziłam za granicą.

Jestem pewien, Fanny - wtrącił brat - że znajdziesz w pannie... Seton miłe towarzystwo. Mam nadzieję, że zostaniecie przyjaciółkami.

Obie kobiety utkwily w nim zdumiony wzrok.

Ten zaś młodzieniec - ciągnął książkę beztrąsko - utrzymuje, że jest Jamesem Shipleyem, dziedzicem Thornwynd.

Wcale nie utrzymuję - odparował Jamie. - Ja jestem Jamesem Shipleyem, dziedzicem Thornwynd. Jak się pani miewa, lady Clotfelter? - szarmancko uniósł jej dłoń do ust.

Chyba jestem trochę... oszołomiona - odparła Fanny. - Tak, jestem oszołomiona, Brett - zwróciła się do brata. - Co to wszystko znaczy?

Wyjaśnię ci wszystko we właściwym czasie, Fanny. Przedtem musimy załatwić pewne kwestie praktyczne. Mamy za sobą długą podróż i potrzebna jest nam kąpiel, świeże ubranie i toaleta. A panna... Seton musi się położyć. Jest ranna i nie wróciła jeszcze całkiem do zdrowia.

Och, moja droga! - wykrzyknęła Fanny, rzucając się ku Isabel. - Jest pani ranna?

To tylko guz na głowie, milady - uspokoiła ją Isabel. - Pani brat przesadza.

Ależ Brett nigdy nie przesadza!

I tym razem też nie - pospieszył Brett, zanim Isabel mogła wypowiedzieć własną opinię. - Idzie pani do łóżka, Isabel.

- Naturalnie, milordzie - powiedziała z powagą, ale w oczach miała łobuzerski błysk. - Ma niezwykle apodyktyczny sposób bycia, nieprawdaż? - zwróciła się do Fanny.

Kobieta wlepiła w nią oczy.

- Isabel - powiedział Brett ze znużeniem - niech pani nie niszczy, proszę, respektu, jaki ma dla mnie moja siostra.

Tym razem Fanny wlepiła wzrok w niego. Co się dzieje? Czyżby świat zwariował, a ona tego nie zauważyła?

Gregory, przyslij do mnie Dawkinsa - zadysponował Brett ze stoickim spokojem. - Chcę jeszcze przed kąpielą zamienić z nim parę słów. Przedtem jednak bądź tak dobry i zaprowadź moich przyjaciół na górę.

Naturalnie, milordzie - skłonił się sztywno Gregory. Isabel miała nieodparte wrażenie, iż zazwyczaj ma on do czynienia z bardziej eleganckimi gośćmi. - Proszę za mną, sir - zwrócił się do Jamiego - i - spojrział dwukrotnie na Isabel - pani, panienko.

Zanim jednak zaczęli wchodzić po schodach, powietrze przeszył rozdzierający krzyk:

- Panicz James! Panna Isabel!

Wszyscy odwrócili się gwałtownie. Do hallu wbiegał mały człowieczek z kępką siwych włosów na głowie. Ostre rysy jego twarzy rozjaśniała radość.

Dick! - zawołał Jamie i rzucił się człowieczkowi w ramiona. - Dick, ty stary sępie! Jak to dobrze, że widzę cię całym i zdrowym!

To samo mogę powiedzieć o paniczku - odparł Dick, pospiesznie ocierając łzy. - I o panience.

Och, Dick, tak strasznie nam cię brakowało - Isabel mocno uściskała starego.

Nie ma panienka pojęcia, co ja przeszedłem przez ostatnie miesiące. Drżałem o was dniem i nocą. Jak pomyślałem o tych wszystkich złych przygodach, które mogą was

spotkać... Ze zmartwienia większość włosów mi wypadła.

I tak nigdy nie miałaś ich zbyt wiele - zadrwił czule Jamie.

Proszę liczyć się ze słowami, paniczu - odparł szorstko Dick. -No, w każdym razie widzę, że martwiłem się niepotrzebnie, bo oboje jesteście cali i zdrowi, i nawet niespecjalnie zmordowani.

Nic a nic - Isabel uśmiechnęła się zagadkowo. - Och, Dick, tak się cieszę, że jesteś. Mam ci tyle do opowiedzenia!

Proszę się najpierw odświeżyć i zjeść coś niecoś - poradził Dick. -Mamy przed sobą mnóstwo czasu na opowieści.

Mój drogi Dick - Isabel pocałowała go w łysiejącą głowę.

W dwadzieścia minut później zanurzyła się w wannie pełnej gorącej, pieniącej się wody. W głowie kręciło jej się od tej gwałtownej zmiany życiowych okoliczności. Czy naprawdę jeszcze wczoraj jadła potrawkę z królika na starej, wytartej sofie w opuszczonej myśliwskiej chacie? Ten ogromny pokój o szmaragdowozielonych draperiach, z dwoma ozdobnymi marmurowymi kominkami i - Isabel rzuciła okiem na sufit - freskiem przedstawiającym Artemidę kąpiącą się w strumieniu na leśnej polanie, zdawał się być wytworem fantazji. Uderzenie w głowę musiało być silniejsze, niż sądziła, i jej umysł nieco szwankuje. Było to jedyne sensowne wyjaśnienie.

Do łazienki wbiegła pokojówka, nieduża, rezolutna dziewczyna w wykrochmalonym białym fartuszk, i położyła na ogromnym dębowym łożu suknię i bieliznę.

Proszę, panienko. Jego lordowska mość sądził, że zechce pani przebrać się po podróży i kąpieli w świeżą odzież.

Czy nazywasz się... Eliza?

Tak, panienko - pokojówka podbiegła do wanny. - Czy woda jest dość gorąca? -

Sprawdziła temperaturę wody, wkładając do niej rękę. -O tak, wystarczająco. A może zechciałaby pani, żebym umyła pani głowę, panienko? -

O, tak... Chciałaby, i to jeszcze jak! Nie, to niewątpliwie musi być spowodowana wstrząsem halucynacja.

Eliza delikatnie namydliła włosy Isabel i zręcznymi palcami masowała powoli jej głowę.

Pulsowanie w czaszce osłabło, pozostał jedynie lekki szum.

Jesteś najwspanialszą halucynacją, jaką można sobie wyobrazić, Elizo - mruknęła Isabel.

Dziękuję, panienko - powiedziała Eliza, splukując jej włosy gorącym strumieniem.

Następnie owinęła głowę Isabel ręcznikiem i wyszła. Isabel z westchnieniem zanurzyła się na powrót w wonnej kąpieli. Ktokolwiek powiedział Brettowi o jej najskrytszych marzeniach, niewątpliwie opisał szczegóły wyjątkowo wiernie. Jak przyjemnie... Gorąca kąpiel, czyste rzeczy, a na kolację coś innego niż potrawka z królika... Isabel, uszczęśliwiona, zapadła w błogą drzemkę.

Panienko?

Hmm...

Panienko...

Hmm...

Panienko, pora ubierać się na kolację!

Delikatne, ale stanowcze potrząsanie za ramię zmusiło w końcu Isabel do otwarcia oczu. Pochyliła się nad nią lekko zaniepokojona twarz jej pokojówki.

Jej pokojówki?

Isabel gwałtownie wróciła świadomość.

Na kolację? - powtórzyła.

Tak, panienko. Wszyscy na panią czekają.

Fantazja zderzyła się z rzeczywistością. Isabel podniosła się pospiesznie. Woda była już zaledwie letnia.

Która godzina?

Po siódmej - odparła Eliza, okręcając ręcznikiem swoją panią. - Zasnęła panienka w wannie, a ja nie chciałam pani budzić po tym wszystkim, co pani przeszła.

Isabel, zaalarmowana, spojrzała na pokojówkę.

A co ci wiadomo o moich przejściach?

Ależ nic, panienko! Tyle tylko, że miała pani mnóstwo przygód.

To prawda - mruknęła Isabel, wychodząc z wanny, wsparta na ramieniu Elizy. - Dałby Bóg, żeby się już nie powtórzyły.

Zaciekawiona podeszła do łóżka. Ktoś, kto wybierał dla niej strój, wykazał doskonały gust. Suknia była uszyta z bawełny w kolorze błękitnego nieba, miała bufiaste rękawy i przybranie z satyny.

Rozbawiony uśmiech zaigrał na jej wargach.

Czy książkę Northbridge zawsze ma w pogotowiu zapas kobiecych strojów?

Och, nie, panienko. To pani Fanny je przywiozła.

Pani Fanny?

Lady Clotfelter, panienko. Siostra księcia. Poślubiła sir Roberta Clotfeltera jakieś trzy czy cztery lata temu.

Tak, chyba się spotkałyśmy... Ale ona jest mniejsza ode mnie - Isabel przyłożyła do siebie suknię i z zaskoczeniem stwierdziła, że pasuje na nią idealnie.

Tak, panienko. Lady Clotfelter jest mała i pulchna, jak jej matka. Śliczna jak obrazek, trzeba przyznać, ale zupełnie niepodobna do pani.

W takim razie skąd ta suknia?

Nie wiem, panienko. Po prostu dała mi ją i powiedziała, żebym pani zaniosiła.

Ta zagadka wymaga wyjaśnienia - mruknęła Isabel, przyglądając się uważnie odbiciu własnej okręconej w ręcznik sylwetki w wielkim lustrze w złoczonej ramie, stojącym obok garderoby. - Nie jestem pewna czy w obecnym stanie mogę pokazywać się w towarzystwie.

- Naturalnie, że nie, panienko - powiedziała zdecydowanie Eliza.

W trzydzieści minut później sytuacja uległa zmianie. Isabel ubrała się szybko, fryzura jednak wymagała znacznie większej uwagi, zwłaszcza że należało ukryć guz z tyłu głowy. Obecnie miał on wielkość kaczego jaja. Oglądając końcowy efekt, Isabel z trudnością mogła uwierzyć, że dama w lustrze i wymachująca szablą Walkiria, jaką była zaledwie trzy dni temu, to jedna i ta sama osoba.

Błękitna suknia pięknie opływała ciało; zakończony w szpic stanik sugerował raczej, niż ukazywał wyraziście, co kryje się pod nim. Na rękach miała odpowiednio dobrane

rękawiczki, na nogach błękitne pantofelki; czarne loki lśniły w świetle kandelabru. Wstydziła się tego, ale cieszyła się na myśl, że Brett raz przynajmniej zobaczy ją elegancką i wytworną.

- Jesteś cudowna, Elizo - zawołała.

- Dziękuję, panienko - dygnęła zarumieniona pokojówka.

Poprowadziła Isabel krętymi korytarzami. Podłogi wystlane były chińskimi i arabskimi dywanami, ze ścian spoglądały portrety przodków i dzieła sztuki pędzla dawnych i nowych mistrzów. Dobięły je dalekie odgłosy śmiechu. W miarę jak schodziły głównymi schodami, odgłosy stawały się coraz wyraźniejsze. Dotarły na pierwsze piętro i znów ruszyły korytarzem, aż wreszcie ich oczom ukazał się duży salon o podwójnych, szeroko otwartych drzwiach. Buchało z niego światło i śmiech.

- Dziękuję, Elizo - mruknęła Isabel, przyglądając się wnętrzu salonu. Był ogromny. Ściany pokrywały rozległe płaszczyzny średniowiecznych gobelinów; nad nimi widniał bajecznie rzeźbiony drewniany strop. Na ogromnym renesansowym kominku z białego marmuru płonął ogień, na którym można by upiec wołu. Umeblowanie było zarówno wczesnogeorgiańskie, jak i współczesne, w jakiś sposób równocześnie skromne i wystawne.

Brett i Jamie, także po kąpieli, ubrani byli z nienaganną elegancją. Ciemnobrązowy surdut Brett'a o podwójnych klapach pięknie opinał jego szeroką pierś i ramiona; płowej barwy spodnie i białe pończochy uwydatniały długie, umięśnione nogi. Krawat był dziełem sztuki: piękny, ale bez ostentacji; włosy, starannie uczesane, lśniły złotem w blasku tysiąca świec. Wyglądał, jakby nigdy nie wytknął nosa poza ściany tej rezydencji, nie miał pojęcia co to kurz i błoto... Szokiem było dla Isabel widzieć Brett'a stojącego z taką swobodą pośród tego, co było najwyraźniej jego żywiołem. Nie mogła sobie wyobrazić innego pana tego domu.

Stał teraz z boku, przy stoliku z trunkami i, nalewając sobie porto, rozmawiał z niedużą pulchną kobietką w różowej sukni, siedzącą na sofie. Isabel od pierwszego wejrzenia polubiła Fanny Clotfelter i nie widziała powodu, by zmieniać tę opinię obecnie. Fanny była ciepła, spontaniczna, z zabawnym, nieco łobuzerskim błyskiem w niebieskich oczach. Na jakie próby musiała wystawiać swojego opanowanego, poprawnego starszego brata!

Drugi mężczyzna znajdujący się w pokoju nie był Isabel znany. Nie tak wysoki jak Brett, musiał być o dobre czterdzieści kilogramów cięższy. Masywne ciało rozpychało modny strój do granic możliwości. Włosy miał szpakowate, oczy czarne i przenikliwe. Gdy Brett zakończył opowiadanie, śmiał się równie serdecznie jak Fanny i Jamie, Isabel podejrzewała jednak, że jego umysł nieustannie zajęty jest analizowaniem tego, co zdawało się być skryte pod powłoką tego towarzyskiego spotkania.

Wtem Brett zwrócił głowę w jej kierunku. Ich oczy się spotkały. Serce Isabel skoczyło do gardła, a płuca gwałtownie zaczerpnęły powietrza. Co za szczęście, że poświęciła na toaletę całe pół godziny! Zdawało jej się, że unosi się ponad podłogą, a każdy cal jej skóry płonie. W najśmielszych snach nie wyobrażała sobie, że Brett może patrzeć na nią w ten sposób!

Rozległ się gwizd uznania. Isabel, z najwyższym wysiłkiem ukrywając, że brakuje jej

tchu, zwróciła spojrzenie na Jamiego.

No - ocenił chłopak - to się nazywa strój stosowny do okazji. Warto było dożyć tej chwili. Dziękuję - odparła Isabel, za wszelką cenę usiłując wyglądać normalnie. Okazuje się, że nawet w wieczorowym stroju trzeba czasem walczyć o życie...

Podszedł Brett.

- Pięknie pani wygląda... milady - powiedział zniżonym głosem.

Podał jej ramię i podprowadził ku sofie. - Widzisz, Fanny, pasuje jak ulał!

Isabel wyłoniła się z różowej mgły, w jakiej pogrążyła ją pierwsza część wypowiedzi, i szturchnęła księcia łokciem.

Wygląda uroczo, tak jak podejrzewałam - odparła Fanny. W oczach miała śmiech.

Zdaje się, że powinnam pani podziękować, lady Clotfelter, za tę piękną suknię - powiedziała poważnie Isabel.

Wystarczającą nagrodą jest widzieć w niej panią, droga panno Seton - odparła Fanny z błyskiem w oku. - Wygląda pani olśniewająco. Cieszę się, że Brett nie pomylił się co do rozmiaru i koloru.

Wiedziała, że księżę Northbridge maczał w tym palce - mruknęła Isabel, usiłując opanować zdradziecki rumieniec.

Ja tylko zwróciłem się do siostry listownie, żeby nabyła dla pani parę nowych rzeczy i zagrała pani przyzwoitkę - powiedział niewinnie Brett.

Isabel wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem. Pozostali wpatrywali się w nią zdumieni.

Przepraszam! - zdołała wreszcie wykrztusić. - Ale po tych dwóch tygodniach pomysł, że miałabym potrzebować przyzwoitki, jest doprawdy szalenie zabawny!

Zszargane nerwy - orzekł Jamie.

Zaburzenia umysłowe - Brett pokiwał głową z miną mędrca. -Może trochę wina?

Jamie potrząsnął głową.

Tylko się jej pogorszy.

Dosyć, dosyć, przestańcie - Isabel zdołała w końcu opanować śmiech. - Samo umeblowanie tego wnętrza powinno wam powiedzieć, że nie jesteśmy w myśliwskiej chacie Squire'a Beechema. Nie zapominaj o etykietach, jeśli łaska - zwróciła się do Jamiego. - A pan zechce dawać mu lepszy przykład - spojrzała na Brettę.

Fanny patrzyła na nią z rosnącym zdumieniem. Kim jest ta kobieta?

- Proszę o wybaczenie - powiedział Brett z ukłonem, ale w jego oczach nadal igrały wesołe isierki.

Kiedyż to Fanny miała okazję widzieć w nich śmiech? Czyżby nastąpił koniec świata i nikt jej o tym nie powiedział?

Pozwoli pani - ciągnął Brett, zwracając się do Isabel - przedstawić sobie sir Henry Bevinsa, sędziego północnego Lancashire. Sir Henry, oto panna Isabel... Seton.

Jak się pani miewa panno Seton? - sir Henry wstał i uściśnął jej rękę. - To prawdziwa przyjemność poznać kobietę o takiej odwadze i pomysłowości. Ten fircyk w Oldcotes to była perłka.

Hm... dziękuję, sir Henry - bąknęła Isabel, rzucając pytające spojrzenie na księcia.

Opowiedziałem wszystko sir Henry'emu, z przyczyn, które wyjaśnię później - odparł. -

Teraz chodźmy na kolację. Jestem głodny jak wilk.

To specjalność Jamiego - zauważyła Isabel, przyjmując Zaoferowane przez niego ramię. Po prostu powtarzam to, co mówi bez przerwy od godziny.

Cóż za subtelna reprimenda! Przepraszam, że zeszałam tak późno. Zasnęłam w kąpieli. Brett zwolnił na chwilę.

Cóż za uroczy obrazek! Nie ma dżentelmena, który by nie wybaczył najgorszego nawet opóźnienia po takim wyznaniu.

Chyba będę musiała dać panu po uszach, zanim wieczór dobiegnie końca - zauważyła. Śmiejąc się, wprowadził ją do rodzinnej jadalni. Była ona, jak z ulgą stwierdziła Isabel, o połowę mniejsza od salonu, i w porównaniu z resztą domu - raczej przytulna. Tutaj mogła pozwolić sobie na zapomnienie o całej okazałości, która pozostała za drzwiami.

Brett posadził Isabel po swojej prawej ręce, Fanny usiadła naprzeciw niego, Jamie i sir Henry zaś - po jego lewej stronie. W czasie kolacji rozmawiał najczęściej z Isabel, ona zaś czerpała z tego podwójną przyjemność, gdyż patrzył na nią inaczej niż w Lennox, Bilby czy choćby w Swanson Hall. W jego błękitnych oczach nie było podejrzliwości, nie popatrywał na nią ukradkiem, czy nie zrobi jakiegoś fałszywego kroku, nie uchybi zasadom dobrego tonu przy stole, nie skompromituje się w rozmowie. Było raczej tak, jakby jego spojrzenie otaczało ją i w naturalny sposób czyniło częścią tego wytwornego pomieszczenia. Isabel zdała sobie sprawę, iż zachowuje się nie jak Charlotte Hampstead czy nawet jak miss Seton, ale po prostu jest sobą tak jak była sobą w czasie ich wspólnej podróży, na balkonie Beaufortów czy w domku myśliwskim Squire'a Beechema.

Często nachylał się ku niej, by przekazać jej jakieś spostrzeżenie czy żart, ona zaś spotykała ten gest w pół drogi, tak że niemal stykali się głowami, a ich oddechy mieszały się. Intymność tej sytuacji była równa intymności pocałunku.

Isabel nie знаła dotąd takiego szczęścia.

W dwie godziny od rozpoczęcia kolacji zmieniono nakrycia, ustawiono na stole kryształowe karafki z brandy, porto i bordeaux i pięcioro biesiadujących odchyliło się na oparcia krzeseł z westchnieniem satysfakcji. Westchnienie Isabel było szczególnie szczere: w żadnym z dwudziestu czterech dań, jakie przewinęły się przez stół, nie było ani odrobiny królika.

- No dobrze - powiedział Brett, trzymając w dłoni kieliszek brandy i patrząc, jak bursztynowy płyn powoli rozlewa się po ściankach naczynia - myślę, że przyszła pora, bym opowiedział państwu o moich planach.

Isabel zamarła.

- Chętnie posłuchamy - powiedziała.

Brett uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem.

Najważniejszą sprawą, rzecz jasna, jest dotrzymanie terminu suk-cesji Thornwynd. Jutro rano jedziemy więc do Thornwynd, towarzyszyć zaś nam będą sir Henry, pan Babcock, lord Farbel i wielbny Dillingham. Pełnią oni funkcje, jakie określa legat, to jest: urzędującego sędziego, właściciela ziemskiego, najbliższego sąsiada i miejscowego duchownego. Ach, i Nigel Clark też musi być obecny.

To absolutnie niezbędne - powiedział sir Henry - by drugi w kolejności męski spadkobierca uznał sukcesję nowego barona Thornwynd.

Jamie i Isabel wymienili spojrzenia. Odczytawszy nieme ostrzeżenie, Jamie ugryzł się w język.

- A co z Horacym Shipleyem i jego fałszywym Jamiem? – spytała spokojnie Isabel. - Czy nie będą przeciwdziałać przeprowadzeniu tej procedury?

Sir Henry nerwowo poruszył się na krześle.

Na razie nie mamy dowodów, że chłopiec, który przebywa w Thornwynd, nie jest prawdziwym dziedzicem. Pani Jamie, panno Se-ton, musi ponad wszelką wątpliwość dowieść swojej tożsamości wobec Babcocka, Farbela, Dillinghama i Clarka. No i mnie, rzecz jasna.

A jeśli dowiedzie, co wtedy? - spytała Isabel. - Mamy sporo rachunków do wyrównania. Zauważyła, że księżę i sir Henry wymieniają spojrzenia.

- Jeśli chodzi o Horacego Shipleya - Brett pociągnął łyk brandy - to omówiłem nasze niedawne przygody z sir Henrym i doszliśmy do wniosku, że nie można oskarżyć Horacego o zamordowanie Monty'ego.

Jamie splonął rumieńcem. Otworzył usta, by zaprotestować, i momentalnie je zamknął. Dostrzegł, że Isabel lekko uniosła dłoń ponad stołem. Utkwił oczy w jej twarzy.

Jak to, sir? - spytała spokojnie.

Nie mamy dowodów - odparł równie spokojnie Brett.

W każdym razie nie ma wystarczających dowodów, by uwięzić obywatela za morderstwo popełnione na terenie innego kraju - uściślił sir Henry. - Zresztą sędziowie przysięgli nie lubią oglądać w sądzie przedstawicieli najlepszych rodów Lancashire.

A zatem Horacy nie będzie oskarżony o zamordowanie Monty'ego - powiedziała Isabel, wpatrując się w sygnet Brett'a, którego dotąd nie zdjęła. Jej palce przesuwaly się wzdłuż trzonka kieliszka, w górę i w dół, rytmicznie, niemal leniwie. - A co z taką drobnostką, jak oszustwo, którego usiłuje teraz dokonać w stosunku do bratanka, podstawiając fałszywego spadkobiercę?

Czuła na sobie świdrujący wzrok Brett'a, nie chciała jednak na niego patrzeć. Nie mogła. Jedyne co mogła, to utrzymywać się na krześle.

Horacy przedstawił równie wiarygodną wersję - powiedział spokojnie Brett. - On również twierdzi, że Monty przysłał do niego syna z prośbą, by sprawował opiekę nad tymże.

Jeśli pani Jamie udowodni, że jest prawdziwym spadkobiercą, Horacy będzie mógł się domagać, by uznano go za ofiarę oszustwa ze strony tego drugiego chłopca i na tym sprawa się zakończy. Dla sądu jest nietykalny, Isabel. Ja jednak mu nie daruję, obiecuję to pani. Musi zapłacić za tę awanturę. Dopilnuję, by skończył jako nędzarz. Cała reszta jego marnego życia będzie pokutą.

I to, rzecz jasna, wyrówna wszelkie rachunki.

Nie mogę działać wbrew prawu - powiedział spokojnie Brett.

Nawet jeśli nadal dręczy pana tyle wątpliwości?

Sprawiedliwość musi zostać uszanowana, Isabel.

Obawiam się, milordzie, że pańska koncepcja sprawiedliwości znacznie różni się od mojej.

Zmusił ją wzrokiem, by na niego spojrzała.

Być może mniej, niż zdaje się pani sądzić.

Brytyjskie prawo i brytyjska sprawiedliwość to nie jest jedno i to samo, Brett!

- Panno Seton! - zaprotestował z oburzeniem sir Henry.

Stłumiła gniew i z uśmiechem zwróciła się do sędziego:

- Proszę mi wybaczyć, sir Henry. Nie zamierzałam nikogo obrażać. Dyskusje filozoficzne mają to do siebie, że w pogoni za zwycięstwem często traci się z oczu prawdę.

Powinnam, doprawdy, czytać więcej poezji. Jaki jest pański ulubiony poeta, sir Henry?

Konwersacja trwała kolejną godzinę. Rozmawiano o poezji, sztuce, niemieckich filozofach... Isabel przez cały czas myślała jednak o Montym i Horacym, i o mieczu, który przeciął życie jej opiekuna i przyjaciela.

O wpół do jedenastej Fanny Clotfelter wstała z krzesła i głosem nie znoszącym sprzeciwu oznajmiła, że podróżnicy niewątpliwie muszą być wyczerpani po tak obfitującej w przygody wędrownicy i marzą o pójściu do łóżek. Szczęśliwa jest, że mogła spotkać się z sir Henrym, ale pora odpocząć. Sir Henry nazwał ją niegrzeczną dziewczynką, połaskotał pod brodą, po czym, z niejakim wysiłkiem podniósłszy się z krzesła, wyraził przypuszczenie, iż sir Robert Clotfelter musi być zadowolony, że choć na krótko pozbył się z domu takiego kaprała, i życzył wszystkim dobrej nocy.

Fanny wzięła Isabel pod rękę i ruszyły wzdłuż hallu. Brett i Jamie postępowali za nimi.

Gdyby nie trzymać mężczyzn krótko - powiedziała Fanny półgłosem - do niczego by człowiek nigdy nie doszedł.

Święte słowa, milady - odparła nieco chmurnie Isabel.

Chwileczkę, przecież miała mi pani mówić po imieniu, pamięta pani? Brett tyle mi o pani opowiadał, że mam wrażenie, iż jesteśmy siostrami.

Isabel z trudem udawało się iść noga w nogę ze swoją przewodniczką.

Bardzo to miłe z pani strony... Fanny.

No no, nie trzeba... jestem osobą otwartą, tak samo jak pani, zmorą matki, brata, a czasami także męża. No, ale sir Robert jest takim barankiem, że nigdy nie złości się na mnie za moje dziwne wystąpienia. Za to Brett zawsze patrzył na mnie niezwykle srogo... A dzisiaj go po prostu nie poznaję! Kiedy widzieliśmy się ostatni raz był zupełnie innym człowiekiem.

A kiedy widziała go pani ostatni raz?

W marcu.

Isabel zamrugła.

No cóż, powiada się, że przygody mogą zmienić mężczyznę.

Kobieta też. No, to jesteśmy na miejscu! Dobranoc, moja droga.

Fanny zatrzymała się pod drzwiami sypialni Isabel, pocałowała ją w oba policzki i

wepchnęła do pokoju, zanim Isabel zdążyła powiedzieć „dobranoc” Jamiemu i Brettowi.

Drzwi zamknęły się, zatrzaśnięte pewną ręką przewodniczki. Wewnątrz czekała na Isabel Eliza; na łóżku leżała koszula nocna i szlafrok.

A więc nowe stroje nadal pojawiają się w magiczny sposób? -zauważyła Isabel.

Resztę rzeczy, które przywiozła dla panienki pani Fanny, powiesiłam w szafie, panienko - odparła Eliza. - Razem z tymi, które zdołał ocalić z waszych podróży Dawkins.

Niewiele ich jest, obawiam się - westchnęła melancholijnie Isabel. - Był wśród nich taki okropny kapelusz... Chciałabym go zachować.

Papłając beztrosko, pozwoliła, by Eliza pomogła jej się przebrać w nocną koszulę i wyszczotkować włosy, i położyła się. Eliza otuliła ją starannie i, zgasivszy świecę, na palcach wyszła z pokoju.

Isabel byłaby jej wdzięczna za tę troskę, gdyby miała zamiar spać, o czym zresztą gorąco marzyła. Nie mogła sobie jednak na to pozwolić. Odrzuciła kołdrę, wstała, wciągnęła szlafrok i boszo zaczęła powoli przemierzać pokój. Od czasu do czasu spoglądała na ogień płonący w kominku lub wpatrywała się przez któreś z wysokich okien w ciemność parku. Nasłuchiwała, jak w domu powoli cichną odgłosy życia. Zaciągnęła ponownie zasłony, zapaliła świecę obok łóżka i czekała.

Zegar zaczął wybijać północ. Drzwi sypialni uchyliły się bezgłośnie i równie bezszelestnie zamknęły.

Musimy porozmawiać - powiedział Jamie.

Tak - odparła Isabel.

17 maja 1804 roku, południe

Ravenscourt, Lancashire

Ranek wstał ponury. Z ciężkich chmur, które szczelnie zakrywały całe niebo, zdawało się, w każdej chwili mogą lunąć na pogrążony w mroku świat potoki deszczu. Isabel niewiele jednak z tego widziała. Obudziła się dopiero o dziesiątej, pokazała zaś ludzkim oczom dopiero w południe, kiedy to zeszła do jadalni. Witana dobrotliwymi zarzutami ze strony mężczyzn, iż zachowuje miejskie obyczaje, i uprzejmymi pytaniami kobiet, czy dobrze spędziła noc, zajęła miejsce przy stole.

Głowa zdawała się wracać już do normalnych rozmiarów. Guz był ledwie dostrzegalny. Isabel czuła się wypoczęta i gotowa do działania. Na razie działanie to ograniczało się do kosztowania niezliczonej ilości stojących przed nią dań i prowadzenia z Fanny niezobowiązującej konwersacji na temat ostatnich ulepszeń fortepianu, instrumentu, który obie uwielbiały. Równocześnie jednak każda uncja jej energii skierowana była na wznoszenie i podtrzymywanie muru, którego pan tego domu nie będzie w stanie zburzyć dzisiejszego dnia.

Zanim skończył się lunch, niebiosa otworzyły się i lunęło. Potoki wody spływające po szybach skryły przed oczyma ludzi świat zewnętrzny. W oddali zagrzmiało. Isabel prawie nie zwróciła uwagi na burzę. Poczowała jedynie przelotne zadowolenie na myśl, że dzięki niepogodzie będzie mogła włożyć płaszcz, zapobiegliwie włączony przez Fanny do garderoby, którą przywiozła dla niej do Ravenscourt.

Była w rozpacz. Tak czy inaczej, utraci dziś Jamiego. I Brett. A także ujawniona zostanie tajemnica, z jaką żyła od trzynastu lat.

Ciekawe czy przeżyje zbliżające się spotkanie z Jonaszem Babcockiem i oskarżenie, które niechybnie po nim nastąpi. Przez większość nocy, a i teraz, w czasie lunchu, zmagala się z wątpliwościami, czy powinna powiedzieć Brettowi o nakazie jej aresztowania. Lepiej, żeby usłyszał tę wiadomość z jej ust, a nie od Babcocka.

A poza tym nie chce dalszych kłamstw czy przemilczeń między nimi.

Dwie rzeczy jednak stały na przeszkodzie temu wyznaniu. Po pierwsze nie miała na to siły, po drugie zaś sprawą najważniejszą było objęcie sukcesji przez Jamiego. Gdyby już teraz powiedziała Brettowi o przestępstwie, jakie popełniła w dzieciństwie, wówczas jego poczucie obowiązku kazałoby mu prawdopodobnie zająć się jej aresztowaniem, zanim jeszcze Jamie znajdzie się w Thornwynd. A Jamie liczył na jej pomoc.

Siedziała więc przy stole, trawiona smutkiem, równocześnie wesoło paplając z Fanny.

Książę spojrział na zegarek i wstał.

Myślę, że powinniśmy ruszać. Deszcz rozmył drogi i nie da się jechać zbyt szybko.

Muszę się przebrać - Jamie spojrział ze zmarszczonymi brwiami na swój surdut z błękitnej wełny. - Ten nie nadaje się na tę okazję.

A ja muszę włożyć płaszcz - Isabel siłą woli zmusiła się, by nie wypaść z roli, ostatniej, jaką przyszło jej zagrać w towarzystwie Brett.

- W takim razie spotkamy się za kwadrans w głównym hallu - zdecydował książę.

Powrót Isabel do sypialni to było sceniczne studium pogody i beztrioski. Skoro tylko jednak Eliza na jej polecenie opuściła pokój, przebrała się pospiesznie, wciąż

sprawdzając gorączkowo, czy spod grubego płaszcza, jakim się owinęła, nie przebijają zdradzieckie wyrzuszenia. Przećwiczyła chodzenie i siedzenie. Wreszcie uznała, że robi to swobodnie i że nie wzbudzi niczyich podejrzeń.

Po upływie kwadransa zeszła do hallu. Jamie już tu był. Miał na sobie granatowy surdut i pelerynę, okrywającą go od podbródka aż do kostek. Fanny również była gotowa do jazdy, pomimo wcześniejszych napomnień Isabel, że ceremonia objęcia sukcesji będzie długa i zbyt męcząca dla kobiety w jej stanie.

- E tam, głupstwo! - odparła wówczas Fanny. - Jestem zdrowa jak koń. Proszę spytać sir Roberta!

Jako że sir Roberta nie było pod ręką, a zdrowie Fanny wyglądało na pierwszorzędne, Isabel poddała się i nie próbowała już więcej uchronić swojej gospodyni przed uczestnictwem w tym, co wkrótce miało się wydarzyć.

Po raz kolejny Dawkins znalazł się na koźle. Cztery osoby wsiadło do ciemnozielonego powozu ze złotym krzyżem Northbridge na drzwiczkach, zaprzężonego w czwórkę wspaniałych rasowych kasztanów. Dwunastu konnych jego lordowskiej mości otaczało pojazd w charakterze eskorty.

Aby utrzymać resztę towarzystwa w przekonaniu, że w ciągu nocy nic się nie zmieniło, Jamie i Isabel podtrzymywali lekką, niezobowiązującą konwersację. Opowiadali Fanny niektóre ze swoich przygód na kontynencie, spierali się ze sobą, który z domów gry jest bardziej popularny wśród kontynentalnej arystokracji - w Brukseli czy w Wiedniu...

- Twoja podróż dobiegła końca, James - oznajmił spokojnie Brett.

Zaskoczony, Jamie wyciągnął szyję i wyjrzał przez okno. Przejeżdżali właśnie pod czarnym żelaznym łukiem, dźwigającym krzyż Thornwynd.

- Jaki ładny park - zauważył miękko Jamie. - Nawet w deszczu.

Swobodnie rosnący starodrzew powoli ustępował miejsca rozległemu, uporządkowanemu ogrodowi, o zmatowiałych w szarości dnia kolorach. Droga skręciła na prawo - i oto mieli przed sobą Thornwynd Manor, efektowną, rozległą budowlę w stylu Tudorów, o biało-szarych ceglanych ścianach.

- Dom - powiedział Jamie.

Łzy napłynęły do oczu Isabel. Przerażona, powstrzymała je siłą woli. Nie będzie płakać nad tym, że Monty nie zdołał wrócić do domu; nie będzie płakać, że Jamie nie miał domu do tej pory; a już z pewnością nie będzie płakać nad tym, że ona sama nie ma domu i rodziny, których uosobieniem jest ta posiadłość. Nie czas na smutek. Będzie smucić się później.

Myślisz, że wytrzymasz w tych wspaniałościach? - spytała, gdy mogła już zaufać głosowi.

Chyba będzie całkiem miło - wyszczerzył zęby Jamie.

Zawsze miałam sentyment do Thornwynd - westchnęła w zadumie Fanny. - Jest taki elegancki i majestatyczny... a równocześnie ma w sobie coś z pirackiego statku.

Tak, uśmiechnęła się do siebie Isabel. Pasowałby do Monty'ego znakomicie.

Dawkins zatrzymał powóz przed frontowymi schodami. Brett wyszedł pierwszy i podał dłoń Isabel, a następnie Fanny. Ostatni ukazał się Jamie. Stał na wybrukowanym cegłą podejździe i utkwiał spojrzenie w domu przodków.

Życzę szczęścia, sir - powiedział Dawkins.

Dziękuję, przyjacielu - Jamie uśmiechnął się do ponurego woźnicy. - Chyba będzie mi się tu podobało - oznajmił, gdy szli w deszczu do głównego wejścia.

Zanim Jamie zdążył pociągnąć za uchwyt dzwonka, drzwi otworzyły się i ukazał się w nich kamerdyner o łysej, lśniącej w świetle lampy czaszce. Z dumną wyniosłością zmierzył Jamiego od czubka głowy do pięt i wreszcie coś na kształt uśmiechu pojawiło się na jego wargach.

No, ten jest o wiele lepszy. Witam w domu, milordzie - wygłosił. - Jestem Griffith, pański kamerdyner.

Czyżby ten dawny Krwawy Griffith z czasów dzieciństwa mojego ojca? - wykrzyknął Jamie.

Ten sam, sir - odparł kamerdyner bez śladu rumieńca.

No, to zrobiłeś karierę! Ależ Monty byłby dumny! Był największym urwisem wśród lokajów - wyjaśnił skonfundowanej Fanny. Isabel знаła tę historię doskonale; twarz Brett'a pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. - Brał udział we wszystkich wybrykach mojego ojca, a nawet go do nich nakłaniał. Te nietoperze w łóżku biskupa!... Przypomnijcie mi, żebym wam przy okazji opowiedział.

Wszyscy są na miejscu, Griffith? - spytał Brett nawróconego na właściwą drogę kamerdynera.

Tak jest, sir. Zgodnie z pańskimi wskazówkami ulokowałem ich w bibliotece.

Chodźmy, James - Brett ujął go za ramię - pora na konfrontację z twoim sobowtórem. Isabel poczuła mrowienie w całym ciele. Fanny pogodnie wzięła ją pod rękę i weszły do domu.

Biblioteka wyglądała dokładnie tak, jak opisywał ją Monty, wspominając dzieciństwo. Był to długi, wąski pokój. Trzy ściany od podłogi do sufitu zajmowały półki z książkami; czwarta, przeciwległa, dźwigała na sobie co najmniej dwa tuziny rodzinnych portretów. Isabel z zaskoczeniem patrzyła, jak z pokolenia na pokolenie powtarzają się na tych portretach charakterystyczne rodzinne rysy. Autor legatu słusznie wybrał bibliotekę jako miejsce przekazania sukcesji Thornwynd. Rodzinne podobieństwo mogło pomóc dziedzicowi, i może pomóc Jamiemu.

Jej wzrok przykuło nagle znajome spojrzenie. Pośród innych portretów widniała twarz Montague'a Shipleya. Nie srebrnego lisa, jakiego znała, ale kasztanowatego żrebaka, jakim był jako chłopiec, być może odrobinę starszy niż obecnie Jamie.

Pomóż nam, Monty - szepnęła. - Liczymy na ciebie.

Niech się pani nie martwi, moja droga - Fanny poklepała ją po ręce. - Brett na pewno zadbał, żeby wszystko poszło jak należy. On zawsze wszystkiego dopilnuje.

Z rzeźbionego sufitu zwisały trzy wielkie kryształowe kandelabry. W odległym końcu pokoju stało biurko i dwa wyściełane skórą krzesła; w drugim znajdowała się sofa, dwa fotele i szeslong. To było całe umeblowanie.

Isabel patrzyła na nie z ponurą satysfakcją. Tak, ten pokój będzie w sam raz.

Pośrodku biblioteki stało czterech mężczyzn. Pierwszym był Henry Bevins; drugim lord Farbel, najbliższy sąsiad Jamiego, wysoki, chudy dżentelmen około siedemdziesiątki.

Trzeci, wielebny Dillingham, krzepko zbudowany, mniej więcej czterdziestodwuletni pastor, przypominał wyglądem raczej myśliwego niż duchownego. Ostatni, Jonasz

Babcock, był krępy męczyzną o surowej powierzchowności, ubranym w bryczesy i staroświecki surdut.

Isabel poczuła dławienie w gardle. Była to starsza kopia jej ojczyma! Nie tak wysoki, być może, miał jednak tę samą ostrość rysów i te same, prawie białe tęczy, które nadawały mu diabelski niemal wygląd.

Na szczęście jeszcze jej nie zauważył, mogła więc opanować gwałtowny stukot serca i odzyskać kontrolę nad płucami, które na chwilę odmówiły posłuszeństwa. Siłą woli przeniosła spojrzenie na męczyznę stojącego obok jej przybranego wuja.

Nigel Clark, kuzyn Jamiego, być może o cal od niego wyższy, aczkolwiek nie tak barczysty, był szatynem o piwnych oczach. Isabel z miejsca poczuła do niego antypatię. Było w tym człowieku coś, być może w twardej linii jego ust, co świadczyło, że uważa się za lepszego od reszty świata.

A zatem to drugi pretendent, tak? - powiedział, wyciągając dłoń do Jamiego. - Witaj w Thornwynd, młodzieńcze.

Dziękuję... kuzynie- odparł Jamie, lekko zmieszany. Widział krewnego po raz pierwszy. Brett przedstawił Isabel obecnym dżentelmenom.

Czy jest pani... przyjaciółką rodziny? - spytał stary lord Farbel.

Bliską przyjaciółką - pospieszył Jamie. - W przeszłości wiele razy uratowała mi życie.

Doprawdy? - wybuchnął wielebny Dillingham. - No cóż, istnieje precedens... istnieje precedens. Biblia pełna jest przykładów kobiet, które bronią swego potomstwa przed całym światem. Witam panią serdecznie, panno Seton.

Zdawała sobie sprawę, że od pierwszej chwili, gdy tylko została przedstawiona, Jonasz Babcock nie spuszcza z niej badawczego spojrzenia.

- Do kroćset, przecież to nie żadna panna Seton! - zawołał nagle. - To morderczyni!

Wszystkim odebrało mowę. Jamiemu również.

O czym pan mówi, Babcock? - spytał wreszcie Nigel Clark.

Mówię wam, że to nie panna Seton! To pasierbica mojego brata, Gleana Isabel Dalton! Zamordowała go!

Witam pana, panie Babcock - powiedziała Isabel. - Jak to niemiło, że znów się spotykamy.

Sir Henry! - zawołał Babcock. - Proszę natychmiast zaarrestować tę kreaturę!

Isabel - Jamie, blady jak ściana, ścisnął ją za ramię - czy to prawda?

Tak, dzieciaku - odparła łagodnie Isabel.

Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?!

Nie chciałam, żebyś czuł się winny, że chroniąc ciebie, wystawiam się na dodatkowe niebezpieczeństwo. Miałaś wystarczająco dużo własnych zmartwień.

O Boże - jęknął Jamie - więc to jest ten nakaz aresztowania, o którym mówiłaś w Wiedniu... Wiedziałaś, że będzie tu Babcock! Wiedziałaś, że idziesz prosto na szubienicę!

Dałam Monty'emu słowo, że dowiozę cię bezpiecznie do Thornwynd i dopilnuję objęcia sukcesji. I rzeczywiście - podniosła głos, przekrzykując spór, jaki toczył Babcock z sir Henrym, lordem Farbelem i wielebnym Dillinghamem - po to się tu przecież zebraliśmy, panowie, nieprawdaż? Aby osadzić w Thornwynd nowego dziedzica! Inne sprawy mogą z

pewnością poczekać, dopóki nie załatwimy najpilniejszej.

Będziesz wisieć, Gleana! - wrzasnął Jonasz Babcock.

Dosyć. Proszę wszystkich o ciszę - odezwał się Brett w ten tak typowy dla niego władczy sposób. Wszyscy natychmiast umilkli. - Sukcesja jest sprawą pierwszoplanową.

Natychmiast po jej załatwieniu zajmiemy się oskarżeniem, jakie padło z ust pana Babcocka.

Ale to morderczyni, mówię wam! - wybuchnął Babcock.

Na wszystko przyjdzie czas - powtórzył Brett.

Patrzeć na twarzą, nieprzejednaną twarz księcia to było patrzeć na własną śmierć.

Wszystko skończone. Pozostało jedno: Jamie.

Czy spełniliśmy warunki legatu? - spytała.

Naturalnie - włączył się Jamie, wpatrując się w nią przez moment. Wyglądało na to, że podjął jakąś decyzję, gdyż momentalnie przybrał jowialny wyraz twarzy. - Ale gdzie jest mój wuj? - zwrócił się do pozostałych. - Chcę go wreszcie poznać!

Isabel uśmiechnęła się w duchu. Monty nauczył syna tego co należy.

- Nie zapomniałem o panu Shipleyu - rzekł Brett. - Mason!

Do pokoju wszedł Mason z bronią w rękach.

- Co to znaczy? - wybuchnął lord Farbel, już i tak wytrącony z równowagi wszystkim, w czym przyszło mu dotąd uczestniczyć.

Za Masonem postępował chłopiec mniej więcej siedemnastoletni, być może odrobinę niższy od Jamiego, a z pewnością szczuplejszy. W brązowych oczach widać było przerażenie. Jego ubiór był absurdalnie, ostentacyjnie wytworny - biała satyna haftowana obficie złotym jedwabiem. Kołnierzyk miał tak potężny, że Isabel poczuła lęk, iż chłopak lada moment się udusi. Niemniej miał nos Shipleyów... To było szokujące.

Za chłopcem kroczył oszust. O dobre pięć centymetrów wyższy niż Jamie, muskularny, bez jednej uncji tłuszczu, miał siwe włosy, przypominające kolorem zasnucone chmurami niebo, brązowe lśniące oczy i srebrzystopopielaty strój. Dawno temu Isabel nauczono, jakich ludzi należy unikać za wszelką cenę; ten był jednym z nich, najniebezpieczniejszym ze wszystkich, jakich dotąd spotkała. Popatrzyła na Jamiego. Twarz chłopca pozostała nie wzruszona, jedynie policzki zabarwiły się lekkim rumieńcem, gdy patrzył na mordercę swego ojca.

Horacy Shipley i podstawiony przez niego pretendent zostali otoczeni przez Masona i pięciu innych uzbrojonych ludzi księcia.

Sir Henry! - ryknął Horacy tak, że co najmniej dwóch obecnych podskoczyło. - Żądam, żeby tego człowieka natychmiast aresztowano!

Pod jakim zarzutem? - spytał sir Henry, zażywając niuch tabaki.

Włamania!

Wielebny Dillingham parsknął rubasznym śmiechem. Horacy Shipley załzał się rumieńcem. Rzekomy Jamie skulił się ze strachu.

Chwileczkę, chwileczkę, panie Shipley - powiedział uspokajająco sir Henry. - Jestem pewien, że pan przesadza.

Przesadzam?! - zawołał Shipley. - Jeśli uzbrojeni ludzie wpadają do mojego domu i zamykają mnie na klucz w sypialni, terroryzują mojego biednego bratanka i wbrew mojej

woli trzymają mnie pod bronią, to chyba nie jest przesadą mówienie o włamaniu, a może nawet o kidnapingu!

Co to wszystko znaczy? - spytał wielebny Dillingham.

Zwykle nieporozumienie - powiedział uspokajająco Brett.

To ty! - zwrócił się Horacy do księcia. - Ta zniewaga to twoja robota. Cały ten brudny interes cuchnie Northbridge'em!

Mój brat - włączyła się surowym tonem Fanny - znany jest w całym kraju z nieskazitelnej uczciwości. Northbridge nigdy nie dopuściłby się czegoś takiego jak włamanie.

Włamanie! Rzeczywiście!

Dziękuję ci, Fanny - powiedział książę z czułym uśmiechem, po czym zwrócił się do Shipleya: - Zależało mi po prostu, Horacy, żeby był pan obecny na dzisiejszej ceremonii. Bądź co bądź jest to wydarzenie o doniosłym znaczeniu dla rodziny Shipleyów. Nie chciałem, by brakowało pana w czasie zaprzysiężenia pańskiego bratanka.

Isabel uważnie obserwowała księcia. Mówił szczerze. Być może nie powinna była tak na niego naskakiwać w czasie ich wspólnej podróży... Najwyraźniej kierował podejrzenia w obie strony.

Mason - powiedział - ty i pozostali możecie już iść. Zajrzyjcie do kuchni; z pewnością Griffith znajdzie dla was coś gorącego do zjedzenia.

Doskonale, milordzie - odparł Mason i wraz z towarzyszami wycofał się z biblioteki, zamykając za sobą drzwi.

Pozwoli pan, Horacy - zwrócił się łagodnie Brett do patrzącego spode łba Shipleya - chyba nie miał pan dotychczas okazji poznać swojego bratanka. Jamie, to jest ten łajdak, przed którym chronił cię ojciec.

Wszystkim obecnym zabrakło tchu. Twarz Horacego miała kolor cynobru.

Wyzwę cię za tę zniewagę, Northbridge!

Kiedy to nie zniewaga - powiedział niewinnie Brett. - Po prostu cytuję to, co usłyszałem parę dni temu. No cóż, panie Shipley, co pan myśli o tym chłopcu?

Horacy zmierzył Jamiego spojrzeniem pełnym szyderstwa.

Zaprzeczam, by ten wyrostek o ciastowatej twarzy mógł mieć jakiegokolwiek roszczenia wobec Thornwynd! Uważa się pan za niezwykle rozumnego, Northbridge, ale został pan wystrychnięty na dudka! Ten chłopak to oszust!

Popełniłem w życiu wiele pomyłek - powiedział chłodno Brett -ale wystrychnięcia na dudka nie ma w ich liczbie.

Isabel aż się skuliła.

- Pora ostatecznie rozwiązać tę szaradę - ciągnął Brett. - Przyjrzyjmy się warunkom legatu.

Usiadł przy biurku i zaczął odczytywać tekst pożółkłego pergaminu. Pozostali uformowali wokół niego półkole; Jonasz Babcock wciąż rzucał groźne spojrzenia na Isabel.

Legat Thornwynd, sporządzony w archaicznej angielszczyźnie, na której można było połamać sobie język, przez jakiegoś prawnika sadystę z czasów Tudorów, określał dość szczegółowo wymagania, jakie muszą być spełnione przy obejmowaniu dziedzictwa przez kolejnego barona Thornwynd. Pierwszym było przekonujące wykazanie przez niego własnej tożsamości wobec kilku godnych szacunku osób, wymienionych w legacie.

Drugim - stwierdzenie w obecności tych samych osób przez kolejnego męskiego spadkobiercę tytułu baroneta, że taki a taki jest jedynym prawym dziedzicem. Trzecim i ostatnim zaś był własnoręczny, poświadczony przez obecnych, podpis sukcesora na tymże pergaminie, złożony pod podpisem jego poprzednika.

A zatem - powiedział Brett, kładąc z powrotem dokument na biurku i podnosząc się z krzesła - jako egzekutor testamentu Montague'a Shipleya...

Protestuję! - przerwał Horacy Shipley.

Och, proszę się wreszcie zamknąć - powiedział ze znużeniem Brett. - Myślę, że nikt poza nim nie kwestionuje moich uprawnień do działania w tej sprawie? - spojrzał na zgromadzonych. Nikt się nie sprzeciwił.

- Spijamy słowa z pańskich ust, sir - zapewnił go Jamie.

Cień uśmiechu zaigrał na ustach Bretta.

- Moim obowiązkiem jako egzekutora testamentu - ciągnął - jest ustalenie, który z dwóch pretendentów jest prawdziwym Jamesem Shipleyem, który zaś oszustem. Proszę, by obaj młodzieńcy stanęli obok siebie.

Niczym Garrick reżyserujący Komedię omyłek, książę Northbridge ustawił obu chłopców ramię w ramię obok biurka, naprzeciw nich zaś stanęli świadkowie wraz z Shipleyem.

Jak widzimy - ciągnął książę - nie sposób dociec, który z chłopców jest prawdziwym dziedzicem, wyłącznie na podstawie wyglądu, gdyż obaj mają rysy Shipleyów. Są jednak inne sposoby ustalenia prawdy. Poprośmy ich o przedstawienie dowodów tożsamości. Ty - wskazał na fałszywego Jamiego - zacznasz. Podaj swoje pełne nazwisko, imiona rodziców oraz datę i miejsce urodzenia.

Nazywam się... - chłopak odchrząknął i zaczął jeszcze raz, ponaglony spojrzeniem Horacego - nazywam się James Montague Shipley. Jestem synem Montague'a i Clary Shipleyów. Urodziłem się piątego grudnia 1787 roku, w... we Florencji. Mam ze sobą świadectwo chrztu.

Wyciągnął z kieszeni surduta powalany ziemią dokument i drżącą ręką podał go Brettowi. A ty? - zwrócił się książę do Jamiego.

To farsa! - ryknął Horacy. - Ten chłopak nie jest...

Cicho! - sir Henry szturchańcem w żebra przywołał go do porządku. - Chcę słyszeć, co mówi.

Nazywam się James Montague Shipley - powiedział dumnie Jamie czystym, wyraźnym głosem. - Jestem pierwszym i jedynym dzieckiem Montague'a Wentwortha Shipleya i Clary Honorii Shipley z domu Robinson. Urodziłem się piątego grudnia Roku Pańskiego 1787 przy dość malowniczym placu w mieście Florencji. Byłem, co naturalne u Shipleyów, urodziwym niemowlęciem.

Brett uśmiechnął się.

A jaki dowód własnej tożsamości możesz przedstawić tym oto dżentelmenom?

Żaden, wyłącznie moje słowo i mój charakter.

Ha! - z satysfakcją zawołał Horacy. - I tak się kończą roszczenia tego oszusta. To - położył dłoń na ramieniu przedstawionego przez siebie pretendenta - jest prawdziwy James Shipley.

Nie tak szybko - Brett podał jedyny przedłożony dokument do wglądu świadkom.

Podawali go sobie kolejno; również Fanny zdołała rzucić na niego okiem. Isabel stała w milczeniu w kącie obok biurka.

Wydaje się w porządku - stwierdził lord Farbel.

Niemniej dokumenty - powiedział Brett - co, jak sędzę, pan Shipley potwierdzi, mogą być sfałszowane. Dlatego nie możemy w pełni polegać wyłącznie na tym kawałku papieru.

Jak inaczej zatem możemy ich zidentyfikować? - spytał wielebny Dillingam.

Pomocny może okazać się zdrowy rozsądek - odparł Brett. - Prawdziwy James Shipley zna wielu ludzi, którzy mogą potwierdzić jego tożsamość.

Ta morderczyni, jak sędzę? - powiedział szyderczo Horacy, wpatrując się w Isabel.

Istnieje wiele osób, które spotykały prawdziwego Jamesa Shipleya w towarzystwie ojca - ciągnął chłodno Brett.

No właśnie! - zatriumfował Horacy. - Ja spotykałem mojego bratanka wielokrotnie w ciągu minionych lat. To ten!

Bzdura - odparował Jamie ku rozbawieniu wszystkich, z wyjątkiem Isabel. - Monty bardzo dbał, by uchronić mnie od zepsucia, jakie mógłby spowodować kontakt z tobą, wuju. Dlatego nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

Są jeszcze inni świadkowie, na których opinii możemy polegać - przerwał Brett. - Dick! Panie Harvey!

Do pokoju weszli Dick Rowan oraz mężczyzna niemal tak mały jak on, aczkolwiek o znacznie obfitszym owłosieniu.

Sędzę, że sir Henry może poświadczyć - rzekł Brett - iż dżentelmen po prawej stronie to pan Bartolomew Harvey z biura prawnego „Cookson i Synowie” z Londynu.

Istotnie, mogę - potwierdził sir Henry. - A zatem Northbridge zwał i pana do uczestnictwa w tej grze, Harvey?

Tak jest, sir Henry - odparł pan Harvey starannie modulowanym głosem.

Ale po kiego diabła? - spytał Jonasz Babcock.

Ponad trzy lata temu - wyjaśnił Harvey - zlecono mi podróż na kontynent w celu odnalezienia Montague'a Shipleya i poinformowania go o ataku, jakiego doznał jego ojciec, a także służenia pomocą prawną podczas wizyty w Anglii. Prawnik nieboszczyka sir Barnaby, pan Stone, jest kuzynem moich pracodawców, Cooksonów.

Czy znalazł pan wówczas pana Shipleya? - spytał lord Farbel.

Istotnie, milordzie. W Brukseli. Byli wówczas z nim panicz James i miss Richards. Witam panią, panno Richards.

Dzień dobry, panie Harvey - odparła swobodnie Isabel. - Jak to miło znów pana zobaczyć.

Sądziłem, że ona nazywa się Seton - mruknął wielebny Dillingham.

Nie, nie, Dalton - szepnęła Fanny.

A zatem przebywał pan wówczas w towarzystwie zarówno Montague'a Shipleya, jak i jego syna - podjął Brett. - Czy jest pan pewien, że na tej podstawie mógłby pan obecnie zidentyfikować dla nas Jamesa Shipleya?

Och, bez wątplenia - powiedział pan Harvey z usprawiedliwionym w tej sytuacji poczuciem własnej ważności. - Nigdy nie zapominam twarzy. Jest to częścią mojej pracy, rozumiecie, panowie. - Podeszedł do chłopców, przypatrzył się każdemu z nich, po czym

położył dłoń na ramieniu Jamiego. - To jest James Shipley.
Dziękuję panu, panie Harvey - powiedział Jamie z uśmiechem.
Stop, stop, Horacy - Brett uniósł dłoń. - Widzę, że zamierza pan zakwestionować tę identyfikację. Na pańskich ustach drży słowo „przekupstwo”. Właśnie dlatego jest tu z nami Dick. Pamięta pan Dicka, prawda, milordzie? - zwrócił się do lorda Farbela.
Lord zmierzył Dicka uważnym spojrzeniem.
Dick Rowan, brat mojego służącego, Daniela - powiedział.
Jak to dobrze, że pan mnie pamięta, milordzie - ucieszył się Dick. - I miło mi słyszeć, że mój brat zaszedł tak wysoko.
O tak, to bez wątpienia Dick Rowan - poinformował pozostałych lord Farbel. - Pracowałeś jako służący Montague'a Shipleya, nieprawdaż?
I nie odstępowałem go na krok aż do dnia jego śmierci, milordzie - odparł stary sługa.
Dick zatem powinien rozpoznać Jamesa Shipleya, czyż nie tak, panowie? - zwrócił się do obecnych Brett.
Niewątpliwie - odparł wielbny Dillingham.
A zatem, Dick? - spytał Brett.
Miałbym nie rozpoznać dzieciaka, którego wychowałem od kołyski? - Dick poklepał Jamiego po plecach. - To jest James Shipley. Nie ma dwóch zdań.
Wszystko to puste gadanie i łgarstwa! - wybuchnął Horacy. - Służącego też można przekupić. Ten oto mój bratanek, prawdziwy Jamie, ma typowe dla Shipleyów rysy twarzy, potrafi wyrecytować historię rodziny, zna hasło Thornwynd, i tylko on ma dokument poświadczający jego tożsamość!
Muszę to zakwestionować - powiedział łagodnie Brett i wyciągnął z kieszeni surduta jakiś pakiet. - Mam tu jedynie tuzin spośród setek listów, jakie napisał do mojego ojca i do mnie Montague Shipley w ciągu trzydziestu lat. Sir Henry i pan Harvey byli tak dobrzy, że zbadali autentyczność tych listów i poświadczyli, iż są to oryginały pisane ręką Montague'a. W każdym z listów, pisanych od dnia narodzin syna, Monty daje wyraz dumie z jakiegoś kolejnego najnowszego osiągnięcia Jamiego. Między innymi... och, zajrzyjmy do listu- Brett przerzucił arkusiki papieru, Isabel zaś patrzyła na niego z rosnącym zdumieniem - pisze, że Jamie biegle zna kilka języków, między innymi francuski, niemiecki, hiszpański i włoski, jest dobrym szermierzem, znakomicie strzela, jeździ konno i tańczy, a także ma wrodzony talent aktorski i potrafi naśladować każdego, od chłopca stajennego po księżęcego syna.
Isabel stała z otwartymi ustami. Brett... ten podejrzliwy książę Northbridge dowodził, że prawdziwym dziedzicem jest Jamie!
- Rozumiejąc naturalną ojcowską dumę z osiągnięć syna – ciągnął Brett - myślę równocześnie, że możemy wykorzystać te własnoręczne pisemne świadectwa Monty'ego w celu zidentyfikowania prawdziwego spadkobiercy. Przebywałem w towarzystwie obu chłopców, miałem więc możliwość przyjrzeć się im dokładnie. Ten tutaj - położył dłoń na ramieniu Jamiego - znakomicie radzi sobie z koniem, bronią palną, na parkiecie, a także jest pierwszorzędnym aktorem. Co więcej, często używa w mowie typowych dla Monty'ego zwrotów i jest równie odważny i dzielny jak ojciec. Nie da się tego powiedzieć o drugim z pretendentów - spojrzał chłodno na drżącego chłopca stojącego u boku

Horacego. - Myślę jednak, że rozstrzygający okaże się test językowy. Jak wiemy, Monty podróżował po całym kontynencie i zgodnie z tym, co twierdzi, jego syn biegle zna kilka języków. Czy byłby pan tak dobry -zwrócił się do lorda Farbela - i przeegzaminował chłopców?

- Naturalnie, Northbridge - powiedział ze zrozumiałą satysfakcją stary lord. - Możemy zacząć od czegoś stosunkowo prostego, a potem przejdziemy do kwestii trudniejszych, dobrze? A zatem - zwrócił się do popielatego na twarzy chłopca stojącego u boku Horacego Shipleya - comment vous appelez-vous?

-Je m'appelle James Shipley, monsieur.

Isabel utkwiała w nim przerażony wzrok. Mówił po francusku jak urodzony Francuz! Lord Farbel zadawał chłopcu coraz bardziej skomplikowane pytania. Młodzieniec nie pomylił się ani razu. Kiedy jednak lord przerzucił się na hiszpański, spanikowane brązowe oczy spojrzały bezradnie na Horacego. Lord spróbował po włosku. Chłopak zaczął drżeć jak liść. Kiedy egzaminator przeszedł do niemieckiego, egzaminowany był już tylko jedną kupką strachu.

Et vous? - zwrócił się lord do Jamiego. - Comment vous appelez-vous?

Je m'appelle James Montague Shipley, naturellement - odparł Jamie płynnie, po czym przez pięć minut rozmawiał z lordem Farbelem o historii Thornwynd. Przeszedł na włoski, by podyskutować o edukacji, jaką otrzymał na kontynencie, potem na hiszpański, by opowiedzieć szczegółowo o wspianym koniu, którego dostał na czternaste urodziny, i wreszcie na niemiecki, by zwierzyć się z mąk, jakie przechodził, ucząc się na pamięć Fausta. Zaczął również wypowiedź po łacinie na temat filozofii Sokratesa, ale lord Farbel uniósł dłoń.

Wystarczy, dziękuję. Panowie - zwrócił się do pozostałych - jestem w pełni przekonany, że to jest prawdziwy dziedzic Thornwynd.

Ja również - oświadczył Nigel Clark.

Ja już od jakiegoś czasu mam pewność, że to syn i spadkobierca Montague'a Shipleya - powiedział sir Henry Bevins.

Och, nie ma co do tego wątpliwości - dołączył swoją opinię wielebny Dillingham. - Łacina tego młodzieńca jest nienaganna. A skoro zarówno lord Northbridge, jak i lord Farbel zechcieli łaskawie...

Nieźle draństwo nam pan tu zorganizował - powiedział szyderczo do Horacego Jonasz Babcock.

Wszyscy czekali na reakcję Shipleya. Ten zwrócił się ku chłopakowi i jednym uderzeniem powalił go na podłogę.

- Ty szelmo! - wrzasnął. - Kłamałeś, oszuście! Powiedziałeś, że jesteś synem mojego brata, nazywałeś mnie wujem i opiekunem, a wszystko to było ohydne łgarstwo! - Zwrócił się do poblądłej, zdumionej widowni. - Jest oczywiste, że to ja zostałem wyprowadzony w pole przez tego oszusta. Mam nadzieję, sir Henry, że zostanie on niezwłocznie osądzony i uwięziony.

Nie! - krzyknął piskliwie chłopak.

Rozczarowuje mnie pan, Shipley - skrzywił się Brett. - Jest pan do znudzenia łatwo przewidywalny. A ty? - zwrócił się do przerażonego pretendenta. - Powiedz nam prawdę,

a być może sprawy ułożą się dla ciebie mniej niepomyślnie.

Po czole chłopaka spływał pot. Był tak blady, że Isabel pomyślała, iż za chwilę zemdleje. To on! - zawołał i wskazał na pana Shipleya, po czym błyskawicznie przetoczył się po podłodze, by uniknąć kolejnych ciosów. - To on kazał mi to zrobić! To mój naturalny ojciec.

To wyjaśnia sprawę rodzinnego podobieństwa - zauważył wielebny Dillingham.

Powiedział, że uczyni mnie bogatym - szlochał chłopak. - Mam pod opieką sześcioro braci i sióstr. W Paryżu. Nasza matka umarła. Jak mogłem odmówić?

Czyżbyście zamierzali panowie - powiedział z niesmakiem Horacy - dać wiarę raczej słowu tego kłamliwego cudzoziemca, niż słowu Shipleya?

Niż pańskiemu słowu? - uściślił chłodno Brett. - Tak. Niech pan już nic nie mówi, Shipley.

Niczego bardziej nie pragnę niż tego, by resztę swoich dni spędził pan w więzieniu!

Proszę się nie rozpędzać, Northbridge - powstrzymał go lord Far-bel. - Nie chcę, by baron Thornwynd miał wuja w więzieniu. To byłby skandal. Nie, to nie do przyjęcia.

Właśnie - powiedział z goryczą Brett. - Dlatego otrzymuje pan, Horacy, coś w rodzaju zawieszenia wyroku. Choć jest pan mordercą i oszustem, nie pójdzie pan do więzienia.

Zostanie pan odesłany statkiem do Kanady.

Do Kanady? - wrzasnął Horacy. - Co do diabła miałbym robić w Kanadzie?

Cierpieć dziesięć razy bardziej, niż cierpiał przez pana Jamie - odparł Brett.

Nie ma pan prawa...

Proszę nie doprowadzać mnie do ostateczności, Shipley! - powiedział Brett morderczo lodowatym tonem, jakiego Isabel nigdy przedtem u niego nie słyszała. - A teraz będzie pan świadkiem zaprzysiężenia pańskiego bratanka jako nowego barona Thornwynd.

Jamie złożył przysięgę, a następnie podpisał się na pożółkłym dokumencie.

Kiedy panowie wraz z Fanny, która uparła się, że również wystąpi w roli oficjalnego świadka, zebrali się wokół biurka, by złożyć z kolei swoje podpisy, Isabel odeszła niepostrzeżenie w przeciwną stronę pokoju. Zdjęła płaszcz, powiesiła go starannie na poręczy krzesła i wyjęła ukryte dotąd w wewnętrznych kieszeniach pistolety. Miała na sobie skórzane spodnie i białą, rozpiętą pod szyją koszulę. W obu rękach trzymała gotową do użycia broń.

Jesteśmy zatem zgodni - powiedział Brett, gdy lord Farbel jako ostatni złożył swój podpis - że testament Monty'ego jest prawdziwy i że jestem prawnym opiekunem Jamiego do czasu osiągnięcia przez niego pełnoletności?

O tak, naturalnie - rozległ się ogólny pomruk.

Dziękuję. Horacy - zwrócił się do Shipleya, przewiercając go chłodnym, błękitnym spojrzeniem - oskarżam pana wobec tych oto świadków, że nastawał pan na życie i zdrowie Jamesa Montague'a Shipleya, barona Thornwynd. Jeśli kiedykolwiek zły los dosięgnie dom Thornwynd, będzie pan za to osobiście odpowiedzialny. Dopadnę wtedy pana i zabiję jak psa, i jak mordercę, którym pan niewątpliwie jest.

Przeholował pan, Northbridge! - syknął Shipley. - Czy to w taki sposób zamierza pan chronić swojego bezcennego podopiecznego? Zmuszając mnie, bym wyzwał pana na pojedynek?

Nie, nie - powiedziała Isabel, idąc spokojnie w kierunku biurka - to przywilej Jamiego.

Fanny i Brett, jak również wszyscy pozostali, gdybyście byli państwo tak uprzejmi i stanęli pod tą ścianą, za biurkiem, byłabym wam niezwykle zobowiązana. Oba pistolety wymierzone były w zgromadzonych. Głos miała jednostajny, bez śladu emocji.

Isabel, co to do diabła... - zaczął Brett.

Jesteśmy świadkami pewnej nie zakończonej historii - powiedział Jamie. Pistolet, schowany dotąd w fałdach jego peleryny, wymierzony był prosto w głowę Horacego Shipleya.

To jest obraza! - wybuchnął lord Farbel. - Proszę natychmiast odłożyć broń!

We właściwym czasie, milordzie. We właściwym czasie - powiedziała uspokajająco Isabel. - Obecnie proszę wszystkich, by stali spokojnie i nie przeszkadzali nam w załatwieniu ważnych spraw rodzinnych.

Mówiłem! Mówiłem! - zawołał Jonasz Babcock. - To morderczynie. Spójrzcie tylko na jej oczy. Jest szalona! Z zimną krwią pozabija nas wszystkich!

Och, niech pan się zamknie, Babcock - powiedziała ze znużeniem Isabel.

- Isabel - Brett postąpił krok w jej kierunku - to szaleństwo. Musi pani zdawać sobie z tego sprawę.

Ukryła się za murem, jaki wzniosła we własnym sercu.

Proszę wrócić do siostry, Brett, inaczej pana zastrzelę. Spojrzał jej prosto w oczy.

Nie może mnie pani zabić.

- Nie - zgodziła się spokojnie. - Ale mogę pana zranić na tyle mocno, by uniemożliwić panu przeciwdziałanie.

Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem. Wreszcie Brett cofnął się i stanął obok Fanny. Droga panno... eeee... Dalton - zaczął wielebny Dillingham ze sztuczną swobodą - wszystko to jest niezwykle melodramatyczne, nieprawdaż. .. ale niezbyt stosowne dla pani delikatnej płci.

Brett - powiedziała Isabel - niech pan będzie tak dobry i poinformuje siostrę oraz tych dżentelmenów, że bez wahania zastrzelę każdego, kto wykona najmniejszy ruch.

Fanny, panowie, panna Dalton jest kobietą, która nie rzuca słów na wiatr i strzela nadzwyczaj celnie - powiedział spokojnie Brett. ~ Radzę państwu stać bez ruchu.

Wciąż trzymając obecnych pod lufą, Isabel cofnęła się ku najbliższym drzwiom i zawołała:

- Dick!

Dick Rowan, który poprzednio wysunął się dyskretnie z pokoju, wrócił obecnie, niosąc w dłoniach dwie szable. Za pas wetknięty miał pistolet. Położył szable na biurku i wyjąwszy pistolet zza pasa, skierował go w serce Horacego. Jamie opuścił broń i zrzucił pelerynę. Podobnie jak Isabel, ubrany był w skórzane spodnie i białą koszulę.

- Chyba żartujesz - powiedział drwiąco Shipley.

Jamie uderzył go wierzchem dłoni w twarz. Odgłos plaśnięcia rozległ się echem po pokoju. W kąciu ust Horacego pojawiła się odrobina krwi.

Jestem śmiertelnie poważny - syknął Jamie. - Zabiłeś mojego ojca. Musi być pomszczony, i będzie.

Ja? Zabiłem twojego ojca? - twarz Horacego, gdy dotykał dłonią kącika ust, wyrażała

pełne zaskoczenie. - Jak to możliwe? Cały ostatni rok spędziłem we Francji, a mój biedny brat, o ile mi wiadomo, umarł w Wiedniu.

Zginął na twoje zlecenie, wuju. Nie będę dyskutować z tobą na ten temat. Wymierzam sprawiedliwość. Wybieraj szablę.

Jamie, nie! - krzyknęła Fanny. - On jest znakomitym szermierzem!

Jamie, nie wolno ci w ten sposób szafować życiem! - powiedział Brett cicho, ale stanowczo. - Dopiero je zaczynasz, masz Thornwynd. Twoje ramię nie jest jeszcze w pełni sprawne, a Horacy Shipley ma o trzydzieści lat więcej doświadczenia niż ty. Zabił już w pojedynkach paru mężczyzn.

Ale mnie uczył szermierki Monty - odparł spokojnie Jamie. - To wyrównuje szanse, nie sądzi pan?

Isabel, musi pani powstrzymać to szaleństwo - wybuchnął Brett. -Przysięgła pani Monty'emu i jest odpowiedzialna za bezpieczeństwo Jamiego. Niech mu pani nie pozwoli ryzykować życiem!

Wczoraj wieczorem pan i sir Henry daliście do zrozumienia wystarczająco jasno, że Jamie nie ma co liczyć na pomoc prawa - powiedziała Isabel. Jej twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. - Śmierć Monty'ego musi zostać pomszczona. Ciężar tej sprawy spoczywa na nas obojgu. Proszę wybrać szablę, panie Shipley.

Z oczami utkwionymi w wylocie lufy jej pistoletu, Horacy Shipley odgarnął płaszcz i poklepał rękojeść własnej szabli.

Ta będzie odpowiednia.

Dick, pilnuj naszych przyjaciół - Isabel wręczyła małemu człowieczkowi jeden ze swoich pistoletów. - Panowie - zwróciła się do Horacego i Jamiego - proszę za mną.

Poprowadziła ich na środek pokoju, po czym, odwróciwszy się, położyła dłoń na ramieniu Jamiego.

Pamiętaj - powiedziała spokojnie -jeśli będziesz walczył nienawiścią, a nie głową, zabije cię.

Tak jest - Jamie utkwiał oczy w wuju - będę pamiętał.

Ja podam sygnał rozpoczęcia - powiadomiła ich Isabel. - Za jakiegokolwiek odstępstwa od zasad fechtunku grozi kula, panie Shipley.

Cóż to będzie za przyjemność położyć trupem tego chłopaka u pani stóp! - warknął Shipley.

Obaj przeciwnicy stanęli w pozycji wyjściowej. Uniesione szable stykały się czubkami.

- Panowie, en garde! - zawołała Isabel i cofnęła się pośpiesznie.

W pokoju rozległo się pierwsze szczęknięcie stali o stal. Horacy zrobił wypad i długimi pchnięciami zmusił Jamiego do cofania się. Jamie jednak odpierał każdy cios, po czym wykonał nagły zwód ciałem. Horacy poleciał do przodu. Szabla Jamiego błysnęła w świetle kandelabru. Na prawym ramieniu Horacego pojawiła się cienka krwawa kreska. Rozwścieczony, zaczął nacierać na przeciwnika szybkimi, krótkimi uderzeniami. Pokój rozdzwonił się, bowiem każdy morderczy cios napotykał szablę Jamiego. To cofając się, to posuwając do przodu, okrążyli całą bibliotekę. Ubrania obu przesiąkły potem.

Horacy ciął Jamiego w brzuch.

Jamie uskoczył i roześmiał się.

Zwalniasz tempo, wuju!

A ty - wybuchnął Shipley, nacierając ponownie -jesteś odrobinę zbyt pewny siebie, szczeniaku!

Skądże znowu, wuju - Jamie odparł atak, spychając przeciwnika do tyłu - to twoja wada! Nagle okręcił się i czubkiem szabli dosięgnął piersi pana Shipleya, pozostawiając na niej cienką krwawą kreskę.

- Dwa razy ranny, za trzecim martwy - zanucił, uskakując do tyłu przed wściekłym atakiem wuja.

Ten rzucił się z furią do przodu, tnąc na oślep. Jamie upadł na kolana. Wszyscy w pokoju byli pewni, że już po nim.

Isabel, drżąc, uniosła pistolet.

Kiedy jednak klinga przeciwnika spadała w dół, Jamie przetoczył się, unikając ciosu, i stanął na nogi. Shipley stracił równowagę. Jamie rzucił się do przodu i zwałił wuja na ziemię.

Horacy, podnosząc się na kolana, wznosił szablę w geście obrony. Jamie jednak jednym potężnym ciosem wytrącił mu broń z ręki i posłał w przeciwny kraniec pokoju.

Stanął nad wujem, dysząc, ze wzniesioną do ciosu klingą.

- Jamie, nie! - krzyknął Brett.

Właśnie tego momentu wahania potrzebował Horacy. Błyskawicznie wyciągnął kieszonkowy pistolet i skierował go w serce Jamiego.

Padł strzał. Pistolet wysunął się z palców Horacego. Przerażony, patrzył, jak z ramienia spływa mu krew.

Jamie, kochany - Isabel rzuciła się ku chłopcu. Jamie z uśmiechem uniósł dłoń.

Wszystko dobrze. Zawsze miałaś pewną rękę.

Dziękuję, kochany - uściskała go.

Jamie uchylił się i nagle wznosił szablę. Krzyk Horacego rozdarł powietrze. Świadkowie zadrżeli. Jamie ciął przeciwnika w twarz.

- Jesteś teraz naznaczony na resztę twojego nędznego życia, wuju - powiedział Jamie takim tonem, jakby splunął. - Posłuchaj mnie uważnie: jeśli kiedykolwiek przekroczysz Atlantyk i wrócisz do Anglii albo na kontynent, zabiję cię. Zabiję cię tak, jak powinienem zrobić to dzisiaj.

Cisnął szablę na podłogę i wrócił do Isabel. Ta odłożyła pistolet na stolik i objęła go.

- Panie i panowie - powiedziała spokojnie, choć każda komórka w jej ciele wibrowała z emocji - ogłaszam koniec dzisiejszego przedstawienia.

Przez moment w bibliotece panowała zupełna cisza.

- Dick, pomóż wstać panu Shipleyowi - powiedziała Isabel.

Mały człowieczek położył pistolety na biurku i podszedł do drżącej masy, jaką stał się Horacy Shipley.

- Niech pan będzie mężczyzną- pouczył go. - Myślałby kto, że nigdy wcześniej nie widział pan własnej krwi. Przy pańskim prowadzeniu się...

W tym momencie do pokoju wpadł Mason i pięciu jego towarzyszy z gotowymi do strzału pistoletami.

Słyszeliśmy strzały, milordzie!

To tylko drobna sprzeczka, Mason - powiedział lekko Brett. - Nie ma powodu do alarmu. Możesz teraz wziąć Horacego Shipleya na hol i odeskortować go do Liverpoolu, zgodnie z moją wcześniejszą instrukcją. Upewnij się, że odpłynie „Amandą Lee” do Montrealu. Płyn za nim, jeśli będzie trzeba, ale musisz mieć pewność, że jest na tym statku. Naturalnie, sir - odparł niewzruszenie Mason. Chwytał zdrowe ramię Horacego Shipleya i wyprowadził go z pokoju w asyście pięciu pozostałych strażników.

A co zrobimy z tym tutaj? - spytał wielebny Dillingham.

Ma pan na myśli biedaka, którym posłużył się Horacy? - Brett spojrzął na chłopaka, obecnie zielonego z przerażenia. - To istotnie niejaka komplikacja. Nie mam wątpliwości, że został zastraszony i wciągnięty do gry pod presją.

Nie chcę, żeby został ukarany - zabrał głos Jamie. - Ja również nie mam wątpliwości, że przez ostatni miesiąc żył w lęku o własne życie, tak samo jak ja. On nie odpowiada za to, co zrobił. A poza tym jest moim kuzynem. Nie chcę, żeby stała mu się jakakolwiek krzywda.

Wypowiedź godna dziedzica Thornwynd - mruknął lord Farbel.

Jak sobie życzysz - powiedział Brett. - Niemniej musimy z chłopakiem coś zrobić. - Pomyślał chwilę. - Panie Harvey - zwrócił się do prawnika - czy nie znalazłoby się miejsce dla nowego urzędnika w firmie Cookson i Synowie?

Jestem szczęśliwy, że mogę wyświadczyć panu tę grzeczność, milordzie - skłonił się Harvey.

Zajmę się sprowadzeniem z Paryża twojego rodzeństwa - zapewnił Brett oniemiałego chłopca. - Przypuszczam, że znajdzie się praca dla nich wszystkich.

A teraz, czy zechce pan wysłuchać moich zarzutów wobec tej ohydnej kobiety? - spytał Jonasz Babcock.

Jeszcze nie - powiedział Brett. - Pozostała do wyjaśnienia drobna kwestia: kto usiłował zamordować Jamiego w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Panie Clark, czy mógłbym zamienić z panem parę słów?

17

17 maja 1804 roku, popołudnie

Thornwynd Hall, niedaleko Scorton, Lancashire

Clark? - zawołali jak jeden mąż Isabel i Jamie.

O czym pan mówi, do diabła? - zażądał odpowiedzi Jonasz Babcock.

No właśnie, co tu ma do rzeczy pan Clark? - dołączył swój głos lord Farbel.

A jednak ma, i to sporo - powiedział książę. - Nieprawdaż, Nigel?

Nie mam najłżejszego pojęcia, o czym pan mówi, Northbridge - odparł obojętnie Clark.

A ja sądzę, że mimo wszystko pan ma - Brett przysiadł na krawędzi biurka. Isabel i Jamie patrzyli na niego w zdumieniu. - W ciągu ostatnich dwóch tygodni ktoś stracił mnóstwo czasu, energii i pieniędzy, usiłując przeszkodzić Jamiemu w dotarciu do Thornwynd. Na początku byłem tym zaskoczony. Można było przypuszczać, że to Horacy Shipley pragnie śmierci Jamiego, wiedziałem jednak również, że jego kieszenie są puste. Jak więc mógł opłacić zbirów atakujących Jamiego, Isabel i mnie w czasie naszej podróży na północ? Nie mógł, oto jedyna odpowiedź. Kto zatem, zapytywałem sam siebie, mógłby zyskać na śmierci Jamiego? Odpowiedź była oczywista: następny w kolejności dziedzic Thornwynd, Nigel Clark.

To jest absolutny nonsens - prychnął Clark. Wszyscy obecni wpatrywali się w niego w napięciu. - Mam dość własnych pieniędzy. Nie potrzebuję fortuny Thornwynd.

Tak by się istotnie wydawało - powiedział Brett. - Ale to właśnie pańska fortuna była pierwszym powodem, dla którego zacząłem pana na serio podejrzewać. Ma pan wystarczająco dużo pieniędzy, by wynająć i nasłać na nas parę tuzinów rzezimieszków. Niepokoiliła mnie jednak myśl, że taka demonstracja siły nie jest w pańskim stylu, Nigel. Nie jest pan człowiekiem, który używałby tępych narzędzi, skoro sztyletem można załatwić sprawę znacznie czystiej i bez hałasu... chyba że byłby pan zdesperowany. A co, zastanawiałem się, może przywieść do desperacji człowieka o pańskiej inteligencji i zamożności?

Dobry Boże, stan majątku! - wykrzyknął sir Henry. - Miał uprawnienia pełnomocnika sir Barnaby. Zarządzał Thornwynd przez ostatnie trzy lata jego życia. I jest egzekutorem jego ostatniej woli!

Isabel spojrzała na Bretta.

Czy Clark czerpał nielegalne dochody z Thornwynd?

Regularnie - odparł Brett, rzuciwszy jej pełne uznania spojrzenie.

To kłamstwo! - wybuchnął Clark i postąpił krok w kierunku księcia, z przyciśniętymi do boków rękami.

Och, to było doskonale ukryte, zapewniam pana - ciągnął Brett, niezrażony tą groźną postawą. - Większą część ostatniej nocy zajęło mi studiowanie raportów finansowych Wyndhama, żeby natrafić na ślad malwersacji. Pańska własna fortuna mimo wszystko nie była wystarczająca, nieprawdaż, Clark? Niewystarczająca dla człowieka o pańskiej ambicji. A Thornwynd to był taki tłusty kąsek... Aż się prosił, żeby go podskubać. Wylew, jakiego doznał sir Barnaba, i jego zależność od pana dawały znakomitą sposobność, by robić to, o co panu chodziło. I tak też się stało.

To wszystko czysty wymysł - syknął Clark. - Czy nie widzicie, co on robi? - zwrócił się do

pozostających. - Kiedy usunie mnie z drogi, będzie mógł bezkarnie plądrować Thornwynd! To nieprawda, Clark, i dobrze pan o tym wie - powiedział sir Henry.

Mój brat - odezwała się wyniosłym tonem Fanny - należy do najuczciwszych i najbardziej poważanych ludzi w Anglii. Nikt jednak nie powie tego o panu, panie Clark.

Gdyby pani była mężczyzną... - warknął Clark.

Wtedy z największą przyjemnością dałabym panu w twarz! - odparowała Fanny.

Isabel nawet nie usiłowała stłumić chichotu.

Ale przecież gdyby Clark czerpał nielegalne dochody z Thornwynd, musiałby zdawać sobie sprawę, że malwersacje zostaną wykryte przez kolejnego właściciela - włączył się wielebny Dillingham. - Czy ta świadomość nie powstrzymałaby go przed popełnieniem tak ohydnej zbrodni?

Nie żyje pan wśród nas zbyt długo, pastorze - odparł Brett. - Sir Barnaba był samolubnym, chciwym, okrutnym człowiekiem. Ośmielę się przypuszczać, iż mógł sugerować Clarkowi, że zapisze Thornwynd właśnie jemu. Nawiasem mówiąc, dlaczego by nie? Horacy był wydziedziczony, Monty prowadził życie wagabundy i odwiedził ojca w ciągu trzydziestu lat dokładnie raz. A Nigel od lat starał się przypodobać dziadkowi. Tytuł dziedziczył Monty, ale co do posiadłości, to dlaczego sir Barnaba nie miałby jej przekazać raczej synowi córki, niż drugiemu z kolei synowi, który go rozczarował? Niestety, Nigel nie wziął pod uwagę ogólnie znanej złośliwości dziadka.

Zamiast odziedziczenia tego, co zrabował, Nigel stanął w obliczu nieuchronnego wykrycia jego przestępstwa - powiedziała Isabel, wpatrując się z podziwem w twarz księcia.

Dokładnie tak - potwierdził Brett. - Jego jedyną szansą było powstrzymanie Monty'ego przed spełnieniem warunków legatu. Musiało to być dla pana kolosalną ulgą, Nigel, dowiedzieć się, że Horacy już usunął Monty'ego. Jedyne Jamie stał teraz panu na drodze. Niewątpliwie miał pan własne dowody na to, że pretendent jest jedynie pretendentem. Wszystko, co potrzebował pan zrobić, to uniemożliwić Jamiemu dotarcie do Thornwynd na czas, a wtedy dziedziczył pan wszystko, włącznie z dowodami malwersacji. No i miał pan tarczę w osobie Horacego. Jeśli cokolwiek stałoby się Jamiemu, odpowiedzialny byłby Horacy, nie pan.

Wszystko to bzdury, Northbridge - Clark wsparł się biodrem o biurko. - Nie jest pan w stanie niczego mi udowodnić.

Ma pan rację jedynie częściowo - powiedział Brett, wstając zza biurka i podchodząc do Clarka. - Nie mam wystarczających dowodów, że na różne sposoby usiłował nam pan zaszkodzić w czasie naszej podróży, a nawet nas zabić. Mogę jednak udowodnić malwersacje. Niestety, grozi panu za to więzienie. Ponieważ jednak, jak zapewnił nas lord Far-bel, nic takiego nie może mieć miejsca, proponuję panu emigrację w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, jeśli chce pan zachować coś więcej niż ubranie na grzbiecie. Griffith! - zawołał.

Łysy kamerdyner wszedł do biblioteki z pistoletem w ręce. Najwyraźniej według niego w dniu dzisiejszym było to wskazane.

Weź pół tuzina moich ludzi i odeskortujcie pana Clarka do jego domu - zadysponował Brett.

Najpierw znajdziesz się w piekle! - ryknął Clark. Złapał z biurka nóż do otwierania korespondencji i uniósł go nad Brettem, mierząc w serce.

Brett! - krzyknęła rozdierająco Fanny.

Krzyk przyszedł za późno. Zanim ktokolwiek zdążył wykonać ruch, księżę błyskawicznie chwycił Clarka za nadgarstek. Nóż zawisł między nimi.

- Przemoc fizyczna nie jest twoją mocną stroną, Nigel – powiedział łagodnie Brett. - Odkryłem jednak, że moją, owszem, jest.

Clark zawył. Nóż upadł na podłogę.

- Moja ręka! Złamał mi rękę!

Brett puścił go i odstąpił o krok.

- Och, jak to brzydko z mojej strony - powiedział. - Griffith, zabieraj Clarka. Możesz wezwać do niego lekarza, kiedy się już spakuje.

Ściskając nadgarstek i klnąc, Nigel Clark opuścił pokój, popędzany przyciśniętą do jego pleców lufą pistoletu.

Isabel wpatrywała się w Brett'a, drżąc ze zgrozy na myśl o tym, co mogło się zdarzyć.

- Wspaniała akcja! - eksplodował zachwytem wielebny Dillingham. - Po prostu wspaniała! Dobrze rozegrane, kuratorze - powiedział z uśmiechem Jamie. - Nawet Monty nie zrobiłby tego lepiej.

Czuję się pochlebiony, wychowanku - skłonił się Brett.

Nic panu nie jest, sir? - spytała cicho Isabel.

Uśmiechnął się.

Wszystko w porządku, Isabel.

To dobrze. A zatem - zaczerpnęła oddechu - powierzam Jamiego pańskiej opiece do czasu pełnoletniości i życzę panu powodzenia w wypełnianiu tego obowiązku.

Dziękuję - powiedział poważnie Brett, choć w błękitnych oczach igrał błysk rozbawienia. - Myślę, że podobne życzenia będą mi niezwykle potrzebne.

Mam nadzieję - Isabel podeszła z kolei do Fanny i ujęła jej drobną, pulchną dłoń - że podniecenie nie zaszkodziło pani za bardzo.

Och, mam się doskonale - zapewniła ją Fanny. - Lubię, jak się coś dzieje.

Zapowiada to bez wątpienia przyszły charakter twojego pierwородnego - zauważył Brett.

- Strach pomyśleć...

Będą musieli państwo mi to szczegółowo opisać w listach - powiedziała Isabel, zbierając pistolety i płaszcz - ponieważ muszę powiedzieć wszystkim adieu. Dick zapewni mi bezpieczne opuszczenie tego domu. Przyślę państwu mój adres, kiedy już będę go miała. - I z uniesionym pistoletem zaczęła cofać się ku drzwiom biblioteki.

Niech ją ktoś zatrzyma! - wrzasnął Jonasz Babcock. - Sir Henry, żądam aresztowania morderczyni mojego brata, Hirma Babcocka!

Ani wyjazd panny Dalton, ani jej aresztowanie nie są konieczne - stwierdził spokojnie Brett.

Jeszcze raz muszę być odmiennego zdania, sir - powiedziała równie spokojnie Isabel, choć mur w jej sercu zachwiał się w posadach. Gdyby tylko nie patrzył na nią w ten sposób! - Nie lubię wisieć na szubienicy.

Była już koło drzwi.

Zatrzymać ją! Aresztować ją! - wrzeszczał Babcock.

Nie zrobię nic podobnego - powiedział z irytacją sir Henry. Nigdy nie lubił Babcocka.

Wobec tego zaaresztuję ją sam! - oznajmił Jonasz i postąpił ku Isabel.

Duża dłoń Bretta spoczęła na piersi Babcocka i unieruchomiła go.

- Proszę się tak nie spieszyć, Babcock. Nie ma pan prawa.

Isabel wlepiała w niego oczy.

- Nie mam prawa? - rzucił się Babcock. - Mam wszelkie prawa! Ona zamordowała mojego brata!

- Istnieją osoby, w tej liczbie i ja, które utrzymywałyby - i będę to robić - że panna Isabel zabiła Hirma Babcocka w obronie własnej. Ale ten sporny punkt jest w zasadzie bez znaczenia, gdyż nakaz aresztowania został unieważniony.

O ile Isabel dotychczas była zdumiona, teraz po prostu odebrało jej mowę. Stała, wpatrując się w niego bez słowa.

Unieważniony? - wyjąkała w końcu.

Isabel, Isabel, Isabel - książę z westchnieniem potrząsnął głową, idąc ku niej przez pokój

- od dwóch tygodni usiłuję pani zaimponować moją pozycją i władzą. Nawiasem mówiąc, sir Henry lubi panią.

Sir Henry?! - wykrzyknęła, kompletnie zdezorientowana.

To spisek! - zawołał Jonasz Babcock.

Banialuki - powiedział zwięźle sir Henry. - To w pełni legalne uwolnienie od wszelkich zarzutów.

- Ale jak... - zająknęła się Isabel.

Uśmiech księcia był obeszladniająco łagodny.

Od jakiegoś czasu podejrzewałem, że pani prawdziwe nazwisko to Gleana Isabel Dalton.

Od paru lat znałem pani ciotkę, Eleonorę Gunthorpe. Nawiasem mówiąc, bryluje ona obecnie w wyższych sferach Londynu, wyszła bowiem dobrze za męża. Jest pani bardzo podobna do pani Gunthorpe. Fanny zauważyła to natychmiast.

Moja ciotka? Podejrzewał mnie pan z powodu ciotki?!

Tylko częściowo. W swoim czasie gazety dokładnie opisywały śmierć Hirma Babcocka.

Byłem już pewien, ale dopiero kiedy Dawkins zebrał dla mnie informacje, o które go prosiłem, i kiedy Fanny zapewniła mnie, że jest pani żywym odbiciem swojej ciotki, poczułem się uprawniony, by zwrócić się do sir Henry'ego i wyłożyć mu całą kwestię.

Babcockowie są mozną rodziną, to prawda, ale sądzę, że moja moc jest nieco większa.

Z moją protekcją sir Henry nie wahał się wystąpić przeciwko nim. Nakaz aresztowania pani jest naprawdę raz na zawsze unieważniony, Isabel.

Po raz pierwszy w życiu Isabel była bliska omdlenia. Ciężko padła na najbliższą sofę. Niemożliwe.

Wręcz przeciwnie. Nie ma rzeczy niemożliwych dla księcia Northbridge.

Isabel wpatrywała się w Bretta, jak gdyby nagle wyrosły mu dwie głowy. Uśmiechnął się.

Jest pani wolna, Isabel. Może pani bezpiecznie pozostać w Anglii do końca życia.

O, tak - powiedział złowróźnie Jonasz Babcock. - Może zostać. Ale sprawiedliwości stanie się jeszcze zadość!

- Niech pan spróbuje tknąć palcem pannę Dalton - w głosie księcia pobrzmiwały

mordercze tony - a zniszczę pana, Babcock.

Przez chwilę mierzyli się oczami. Babcock opuścił wzrok pierwszy i z przekleństwem na ustach wyszedł z pokoju.

- A zatem, panie i panowie - powiedział Brett z promiennym uśmiechem - na dzisiaj koniec rozrywek. Pani Worth, ochmistrzyni Thornwynd, przygotowała dla nas w salonie doskonałą herbatę.

Propozycja spotkała się z gorącym uznaniem. Wszyscy mieli już na dzisiaj dosyć awantur. Fanny ujęła pod ramię Jamiego i wyszli, prowadząc za sobą resztę towarzystwa.

Chwileczkę, panno Dalton - Brett chwycił Isabel za nadgarstek i przytrzymał. - Chciałbym zamienić z panią parę słów na osobności.

To może poczekać. Najpierw musimy uczcić toastem Jamiego - powiedziała niepewnie Isabel. Jej serce znowu ścisnął lęk.

Nie, nie może.

Proszę mnie puścić!

We właściwym czasie - powtórzył Brett, wypychając z biblioteki ostatniego świadka ceremonii zaprzysiężenia. Zamknął drzwi, na wszelki wypadek przekręcił klucz w zamku i dopiero wtedy puścił jej rękę.

Powiniennem przerzucić panią przez kolano, Isabel, i wlepić parę klapsów za to, co pani tu dzisiaj wyczyniała.

- Niech pan spróbuje - odparowała Isabel.

Brett zachichotał.

- Po tym, jak zamierzała mnie pani zastrzelić, gdybym ośmielił się wtrącić?

Czemu on jest taki zadowolony? Powinien raczej być na nią wściekły!

Jest pani kobietą z piekła rodem, co niejednokrotnie miałem okazję stwierdzić - ciągnął. - Ale dlaczego, na Boga, pozwoliła pani Jamie-mu ryzykować życiem? Przecież naprawdę mógł zostać zabity!

Nie miałam wyboru - odparła spokojnie Isabel. - Ani Jamie, ani ja nie mogliśmy pozwolić, by Monty nie został pomszczony. Gdyby nie pojedynek, Jamie po prostu zamordowałby wuja. Nie zdołałabym go powstrzymać. .. To było jedyne rozwiązanie, które Jamie zdołał zaakceptować. Prawie godzinę zajęło mi przekonywanie go, żeby nie dobijał Horacego, jeśli zwycięży.

A gdyby Shipley zabił chłopca?

Isabel wzruszyła ramionami.

Wtedy ja zabiłabym jego, i taki byłby koniec tej historii. Brett wznosił oczy do nieba w geście rozpacz.

- Z drobnym uzupełnieniem, że zostałaś pani ujęta i powieszona za morderstwo!

Nie zamierzałam stać i czekać, aż mnie zaaresztują - poinformowała go łagodnie Isabel.

Podjęliście oboje ogromne ryzyko - upierał się Brett.

Wysłanie Horacego do Kanady to nie jest zadośćuczynienie za śmierć Monty'ego!

Naturalnie, że nie. Mam jednak w Kanadzie... towarzyszy. Umiałbym sprawić, by jego życie w tym kraju było piekłem.

Isabel wpatrywała się w Brettta. Powoli zaczynała rozumieć.

Cieszę się, że nie należę do pańskich wrogów.

Ja również - powiedział cicho Brett z dziwnym wyrazem twarzy, którego nie była w stanie rozszyfrować. - Postąpiła pani mądrze, odwołując mnie od pierwotnego pomysłu... Ale nie powinna była pani ryzykować życiem Jamiego.

Dick powiedział mi wczoraj w nocy, że wysłał pan ludzi, żeby pilnowali Horacego. Gdyby pan tego nie zrobił, załatwiłabym sprawę sama.

Brett spojrzał na nią. Na jego twarzy z wolna pojawiał się uśmiech.

Cieszę się, że nie jest pani moim wrogiem. A teraz proszę mi powiedzieć, dokąd się pani wybiera?

Wybiera? - zająknęła się Isabel.

Niech pani nie udaje przede mną niewiniątka, panienko. Dobrze wiem, jakimi drogami chodzą pani myśli. Niech zgadnę: została pani uznana za morderczynię, wkrótce zatem dowie się o tym całe towarzystwo i pani obecność może wyłącznie zaszkodzić pozycji Jamiego i utrudnić mu podtrzymywanie korzystnych znajomości, jakich życzyłby sobie dla niego Monty. Coś w tym rodzaju?

Wszystko to jest prawdą - powiedziała Isabel niepewnie. - Jamie jest obecnie pod pańską opieką. Potrzebuje pańskiej wiedzy i umiejętności, a nie towarzystwa morderczynie. Ja... ja chciałam sama opowiedzieć panu o Babcocku, sir. Ostatecznie jestem to panu winna. Przepraszam, że musiał pan samodzielnie dochodzić do prawdy.

Wciąż jeszcze może pani to zrobić - odparł książę. - Ja wiem tylko tyle, że była pani zmuszona zabić swojego ojczyma. No więc - powiedział łagodnie, w jakiś sposób zmuszając ją, by spojrzała mu w oczy - czy nie zechciałaby pani opowiedzieć mi teraz, co zdarzyło się trzynaście lat temu?

Tak, pomyślała Isabel. Może mu dać tę chwilę prawdy i zaufania... Splotła dłonie i utkwiała w przestrzeni nieruchome, nie widzące spojrzenie.

- Mój ojciec - zaczęła - zmarł, kiedy miałam pięć lat. Moja matka była... kobietą niesamodzielną i bezradną. Nie umiała żyć bez mężczyzny. Kiedy minął okres żałoby, wyszła za mąż za Hiram Babcocka. Wiedział, jak zdobyć przychylność bogatej wdowy. Umiał być... czarujący.

Wzięła głęboki oddech.

- Wkrótce po ślubie pokazał swój prawdziwy charakter. To był pijak, cudzołożnik, potwór. Sprawiało mu przyjemność torturowanie i zabijanie zwierząt, znęcanie się nad służbą... Codziennie bił moją matkę i mnie. Terror we Francji to nic w porównaniu z tym, co wyczyniał Babcock. Nie było dokąd uciec. Moi dziadkowie nie żyli, a ciotka Eleonora wyparła się mamy, kiedy ta wbrew jej radom poślubiła Babcocka. Byłyśmy w pułapce - usta Isabel zacisnęły się w ponurą linię. - Bezradne.

Zdała sobie sprawę, że Brett trzyma jej lodowate dłonie w swoich. Bez tego nie byłaby chyba w stanie kontynuować opowieści.

- Pewnego dnia... pewnego dnia Babcock w pijackim szale zaczął dusić moją matkę. Próbowałam go powstrzymać, ale on był silniejszy. Płakałam, krzyczałam.. Na próżno. Służba od dawna nauczyła się unikać ataków wściekłości Babcocka. Pobiegłam więc po strzelbę... ale kiedy wróciłam, moja matka już nie żyła.

Uświadomiła sobie, że drży na całym ciele.

- Babcock ruszył do mnie. W oczach miał coś takiego... żądzę krwi. Strzeliłam. Nie zamierzałam go zabić, chciałam go tylko powstrzymać. Dopiero po chwili zrozumiałam, że nie żyje. Po dłuższej chwili zdałam sobie sprawę z konsekwencji. Babcock, jak pan wie, był młodszym synem bardzo możnej i wpływowej rodziny, znanej z bezwzględności i okrucieństwa. Nie było wątpliwości, że zostałambym powieszona.

Upuściłam strzelbę, wybiegłam z biblioteki i pobiegłam do mojego pokoju. Wrzuciłam do walizki parę rzeczy i po najwyżej pięciu minutach od zabójstwa Babcocka opuściłam dom. Przez parę dni się ukrywałam. W końcu obciąłam włosy, przebrałam się za chłopaka i poszłam do miasteczka, żeby zorientować się, czy są jakieś wiadomości. Kupiłam za pensja gazetę i dowiedziałam się z niej, że Babcockowie istotnie oskarżyli mnie o morderstwo. Był tam wydrukowany list gończy.

Czy Monty o tym wiedział? - spytał cicho książę.

O, tak - na twarzy Isabel pojawił się cień uśmiechu. - Monty zawsze wiedział o wszystkim. Przez parę miesięcy siedziałam jak mysz pod miotłą, aż wreszcie udało mi się dostać do trupy aktorskiej. Byli przekonani, że jestem chłopcem. Ale Monty'ego nie zwiodłam. Kiedy odwiedzał przyjaciół w Warwickshire, przyszedł na jedno z naszych przedstawień. Po spektaklu wziął mnie na bok i wkrótce wyciągnął ze mnie całą historię. Był niespokojnym duchem, widziałam to w jego oczach, ale równocześnie dawał niezwykle poczucie bezpieczeństwa. Nigdy nie spotkałam nikogo takiego jak on. Zaproponował mi opiekę... i przyjęcie do rodziny. Następnego dnia wyjechaliśmy na kontynent. Resztę pan zna.

Dziękuję, że mi to pani opowiedziała - powiedział cicho Brett. - Doceniam pani zaufanie i jestem za nie wdzięczny.

A teraz - Isabel odetchnęła głęboko i uwolniła dłonie z jego uścisku - pora odciąć Jamiego od mojej przeszłości i opuścić Lancashire, by cieszyć się przyszłością, którą tak wspólnie mi pan ofiarował.

Bzdura.

Brett...

Nie może pani wyjechać, dopóki nie spytam, czy zechce pani zostać moją żoną.

O ile dotąd Isabel była blada, to obecnie jej twarz przypominała popiół.

- Ż-ż-ż-żoną?

Książę pogładził lekko jej policzek.

Jestem beznadziejnie w pani zakochany, Isabel. Musi pani za mnie wyjść. Potrzebuję pani. Bez pani moje życie jest jałowe.

Pan oszalał!

Brett westchnął ciężko.

Isabel, całowałam panią już dwa razy. W niektórych kulturach jest to równoznaczne ze ślubem.

A-a-ale pan wie, kim ja jestem, co zrobiłam, jak żyłam dotychczas! Jak pan może mnie poślubić?

Zwyczajnie. W kościele, z obrączkami, w obecności świadka. Fanny zgodziła się już wystąpić w tej roli.

Czy mógłby pan zacząć w końcu mówić do rzeczy? - Isabel nie mogła powstrzymać

drzenia. - Dobry Boże, człowieku, niech pan tylko pomyśli o tych wszystkich awanturach, przebierankach, domach gry, włóczędze, ucieczkach przed milicją! Na moich rękach jest krew! Panu potrzebna jest żona szlachetnego rodu, ze znaczną fortuną, o nienagannej przeszłości! Ja się nie nadaję na narzeczoną księcia Northbridge!

- Ale jest pani jedyną odpowiednią żoną dla Brett'a Avery - odparł księżę.

Zagarnął ją w ramiona i pocałował. I jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze.

Wszystkie mury runęły. Objęła go i oddawała mu pocałunki gorączkowo, namiętnie, zapominając o całym świecie.

Kochasz mnie, prawda? Prawda? - szepnął z naciskiem.

Nie mogę myśleć, kiedy całuje mnie pan w ten sposób! - zdołała wyrzucić z siebie.

To dobrze - powiedział Brett i znowu ją pocałował. - Oczekuję odpowiedzi od pani serca, a nie głowy. Marzę, żeby przestała pani mówić do mnie „sir”. Chcę być pani małżonkiem, przyjacielem, opiekunem, kochankiem, partnerem w zabawie... Kocham panią, Isabel.

Niech pani przestanie wreszcie mieć się na baczności i powierzy mi swoje szczęście. Nigdy nie zawiodę pani zaufania. Czy zgadza się pani mnie poślubić?

Nie mogła odpowiedzieć, gdyż Brett zamknął jej usta pocałunkami.

- Och, proszę! - zdołała w końcu odsunąć się na tyle, by móc mówić, choć jego ramiona nadal trzymały ją w uścisku. - Niech mnie pan nie rozprasza, kiedy muszę dać jasną odpowiedź.

- Isabel - powiedział księżę groźnie.

- Och, tak, Brett, kocham pana.

Mars na twarzy księcia rozpląnął się w uśmiechu. Isabel użyła całej siły, jaka jej pozostała, żeby utrzymać go w bezpiecznej odległości.

Jeszcze nie skończyłam! Kocham pana wbrew rozsądkowi, Brett. Niech pan jednak pomyśli o swojej matce, która będzie musiała zaakceptować synową-morderczynię!

Och, to tylko wzbogaci jej reputację o szczyptę egzotyki, której blask zaćmi nawet wiedeńskie śniadania lady Jersey. Będzie zachwycona.

A Fanny...

Już teraz traktuje panią jak siostrę.

A-a-ale co powiedzą pańscy przyjaciele? Sąsiedzi?

Niewiele spraw na tym świecie obchodzi mnie mniej niż ich opinia.

Ale...

Księżę zamknął jej usta pocałunkiem. Długim i mocnym... Wreszcie ocknęła się z policzkiem spoczywającym na jego szerokiej piersi, w której dudnił równy, mocny rytm serca.

Ale powinno to pana obchodzić - szepnęła. Powinien pan pamiętać o swojej pozycji, szacunku, jakim pan się cieszy, obowiązku...

Do diabła z obowiązkiem!

Isabel wlepiła w niego oczy w najwyższym oszołomieniu.

Będzie pani moją żoną i już - ciągnął zdecydowanie. - Ma już pani mój pierścionek - uniósł do ust jej dłoń. - Czy przyjmie pani wraz z nim miłość jego właściciela?

Och, no dobrze już, dobrze - westchnęła Isabel z udanym rozdrażnieniem. - Ale tylko

dlatego, że najwyraźniej dostał pan pomieszania zmysłów i potrzebuje kogoś, kto by się

panem opiekował.

Brett roześmiał się tak radośnie i szczerze, jak nigdy dotąd nie zdarzyło się jej słyszeć.

Będziemy znani z najgwałtowniejszych kłótni powiedział - i najkrótszego okresu narzeczeństwa.

Jak możemy się kłócić, skoro odczytuje pan najskrytsze pragnienia mego serca?

Utkwił płonący wzrok w jej oczach.

- Najkrótszy okres narzeczeństwa - szepnął i zamknął jej usta pocałunkiem.